

DWADZIESCIA JEDEN  
PISMO SPOŁECZNO  
POLITYCZNE • POGLĄ  
DY • IDEE • GOSPODAR  
KA • SPRAWY SPOŁE  
CZNE • ROZMOWY • PO  
LEMKI • DOKUMENTY  
**nr 2      sierpień 86**

## SPIS TREŚCI

Kecimera Błakowiczówna - Rozstrzelano moje serce w Poznaniu .....	3
Sergiusz Kowalski - "Solidarność" wobec tradycji .....	5
Tedeusz Mazowiecki, Henryk Samsonowicz, Andrzej Wielowieyski, Piotr Brożyno, Jan Skórzyński - O umowie społecznej dawniej i dziś - dyskusje .....	12
Szymon Jakubowicz - Kompromis i okolice .....	19
Jan Gierski - Troska partii .....	36
Tedeusz Kowalik - Płace a Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ Solidarność .....	39
Ryszard Bugaj, Krzysztof Hagemajer - Błędne koło inflacji .....	47
L.T., W.F. - Reforma prawa karnego - program minimum .....	53
Jan Bard - Wizja pewnej gospodarki .....	60
Włodzimierz Wesiołowski - O systemach politycznych, interesach i koalicjach .....	73
Karol Grodkowski - Polska - Niemcy - Przyszłość .....	94
Janusz Jankowiak - Moc - rozmowa z ks. kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem .....	100
Justyn - O całą wiorstę .....	108
Karol Grodkowski - Węzeł Gor... baczowa .....	119
Obserwator - Co po XXVII zjeździe KPZR? .....	125
T.K. - Tradycja wobec zmian .....	133
Tedeusz Taski - Inteligent przeciw inteligentom .....	137

Numer zamknięto 04.07.1986 r.

Copyright



Redakcja dziękuje nieistniejącemu już wydawnictwu "V"  
za dotychczasową współpracę

Przedstawicielem pisma "21" na Zachodzie  
jest Waldemar Kuczyński

## Rozstrzelano moje serce w POZNANIU

Chciałam o kulturze napisać  
naprawdę inteligentnie,  
lecz zaczęły kule świstać  
i szyby dygotać i pękać.  
"Pochyliłam się", jak każde przepis,  
nad dziejami dwunastolecia,  
sile z pióra kleks czerwony zleciał  
i kartki ktoś krwią pozelepił.

Rym się na gromadę zwióła,  
Jest go dosyć... Tyle pokoleń!  
Lecz zbrzyzgano mózgiem bruk  
i bruk się wzdyma powoli,  
myśleć zaczął, choć ledwo się dźwiga  
i do zapytań ośmiela:  
"Czemu zawsze rządzi inteligent,  
a do robotników się strzela?"

Niemy dotąd - warknął koci łeb,  
splunęła granitowa kostka:  
"Znowuśmy się dali wziąć na lep,  
położono nas - jak zawsze - mostem..."  
A ja na tym moście jak kiep  
do essay'u oczy przystaniam.  
Krew nie płynie już, już tylko skrzep...  
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.

O kulturze?... Próba wzniosłych syntez,  
artystycznych intuicji zgranie...  
Ja nie mogę... Ani kwarty, ni kwinty!  
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.  
Ni gorące ono, ani zimne:  
Szkoda kul, szkoda leków na nie.  
Moje serce - wszak to tylko rymy...  
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.

4 lipca 1956 r.

# SOLIDARNOŚĆ wobec tradycji

Między sierpniem 1980, kiedy powstała Solidarność, a grudniem 1981 który zakończył okres jej legalnego działania, wszyscy w Polsce, którzy mieli na to ochotę, mogli w sposób nieskrępowany wypowiadać się publicznie na wszelkie tematy dotąd zakazane lub ujęte w ramy oficjalnie zalecanych wzorów. W tych warunkach ujawniły się, jak sądzę, rzeczywiste poglądy obecne w polskim społeczeństwie; w szczególności te, które składają się na całościową, wizję zbiorowej przeszłości Polaków i Polski. Wątek historii i tradycji był nader szeroko eksploatowany w całym solidarnościowym piśmiennictwie i jest też zasadniczym tematem tych rozważań; mówiąc precyzyjniej, nie tyle podzielałem zainteresowanie związkowców tradycją, co chcę prześledzić i zinterpretować jawne lub ukryte przesłanki fascynacji tym, co minione i wysunąć pewne hipotezy dotyczące ideologicznych funkcji tradycji, a także społecznych wzorów posługiwania się włączanymi w jej zakres treściami.

Nie będę silić się na pobieżną, choćby rekonstrukcję owych treści, nie tylko zresztą z braku miejsca. Idąc za sugestiami np. Edwarda Shilsa, w: /"Tradycja i nowoczesność", Warszawa 1984/ uwagę zwrócić chcę nie na wartość merytoryczną, solidarnościowych tradycji, ale samą ich tradycyjność /podawane przykłady mieć będą jedynie walor ilustracyjny/. Kontynuując te zastrzeżenia, czuję się jeszcze w obowiązku wyjaśnić, że jakkolwiek niektórym moim teozom przypisuję pewną uniwersalność - użyteczność wykraczającą poza rozważany przypadek - nie przypuszczam, by były one szczególnie odkrywcze. Rad będę, jeśli okaże się, że potwierdzają one wcześniej i przez innych poczynione spostrzeżenia dotyczące roli tradycji w społeczeństwach żyjących w warunkach systemów opresyjnych, narzucających pewien model ideologicznego użytkowania przeszłości.

## 1.

Przejdźmy do rzeczy. Press i inne publikacje związkowe tworzące alternatywny względem oficjalnego obieg idei szczególnie dużo miejsca poświęcały sprawom przeszłości. Dlaczego? Jakie były zbiorowe potrzeby związkowej społeczności, które starała się ona w ten sposób zaspokoić? Odpowiedzi na to pytanie udzielę w ramach perspektywy interpretacyjnej, którą /za Jackiem Kurczewskim i podobnie jak on nie całkiem serio/ określić chcę mianem "funkcjonalizmu dialektycznego": wskażę trzy funkcje zasadniczo świadomie /choć raczej niejawnie/ przypisywane tradycji przez poszukującą jej zbiorowość, oraz trzy odpowiadające im, i co do skutków przeciwstawne, funkcje praktyczne i nieintencjonalne zbiorowych zabiegów dokonywanych nad przeszłością.

## 2.

Po pierwsze tedy, historia poznana, poddana działaniom porządkującym,

w selekcjonowana podług kryteriów ważności i sławności, wreszcie usensowana przez wyposażeńie w podbudowę etnologiczną i w tej postaci stająca się całościowym przekazem gotowym do dalszej społecznej reprodukcji, tj. historia przetworzona w tradycję, służąca dowartościowaniu narodu, który, choć dziś pogiębiony, odtanywany i pozbawiony należnych praw, miał kiedyś - powiada się - chwile wielkości, liczne duchowe, kulturalne i polityczne osiągnięcia mogące być dla współczesnych Polaków powodem do usprawiedliwionej dumy.

Lista owych historycznych dokonań byłaby, gdybyśmy chcieli ją zestawić, niezmiernie długa. Wskażmy głównie pojawiające się wątki. Bardzo często wskazywano na demokracizm, tolerancyjność i umiarkowanie wolności, jako cechy swoiście polskie i właśnie tradycyjne, a jednocześnie stanowiące dowód naturalnej przynależności Polski do świata zachodniego. Swoistość tych cech miała w perspektywie historycznej zapewnić narodowi poczesne miejsce w europejskiej rodzinie cywilizacyjnej. Jednocześnie samo ich posiadanie miało nie tyle wyróżniać Polskę, określać jej pozycję jako w pozytywnym sensie unikalną, co dać jej odmówioną np. Rosji kartę wstępu do Europy.

Powłada się więc: Polacy demokracji nie mają, ale byli w niej pierwsi /najwyżej drudzy, po steńczykach/; mieli Wojciecha z Brudzewa, Frycza Modrzewskiego, rzeczpospolitą szlachecką i Konstytucję 3 Maja. Wiem /również z osobistych rozmów z autorami historyzoficznych tekstów drukowanych w prasie związkowej/, że pewni ludzie zdolni byli odczuwać niekłamany satysfakcję z powodu tych dość dawnych dokonań, zapominając jednocześnie o nieco świeższych - związanych z osobą skądinąd uwielbianego marszałka Piłsudskiego i datą 26 maja 1926 r. - polskich kłopotach z demokracją.

Również o tolerancji mówiono często, posługując się zazwyczaj kliszą językową "tradycje polskiej tolerancji". Przypisywana Polakom szczególna i tradycyjna tolerancyjność mogła, rzecz jasna, być powodem do dumy, nadto, łączyła się w luźnym skojarzeniu z wyobrażeniem dawnej Polski mocarstwowej: "Chcemy ... pozostać wierni tradycji Rzeczypospolitej wielu narodów" - deklarowali uczestnicy i Krajowego Zjazdu Delegatów Solidarności w uchwale wyrażającej postulat tolerancyjnego traktowania mniejszości narodowych. Umiarkowanie wolności uznawane było za najistotniejszy i niekwestionowany składnik polskiej tradycji. Polacy zawsze wolność kochali, walczyli o nią i walczyli nadal /z tym samym zresztą, co dawniej, wrogiem, tj. Rosją/.

Zwrócić uwagę na dwie okoliczności. Po pierwsze, motyw dowartościowania narodu polskiego przy pomocy jego chlubnej przeszłości i sławnych dokonań jego wielkich synów i córek wspólny jest tak oficjalnie promowanej /min. w podręcznikach szkolnych/ wizji Polski i jej historii, jak wizji opozycyjnej, alternatywnej, obecnej w piśmiennictwie solidarnościowym. Za każdym razem mamy do czynienia z tym samym zamysłem wyrażającym się hasłem "Polak potrafi".

Odmienność przytaczanych egzemplifikacji - jest to druga okoliczność, którą chcę podkreślić - w pierwszym przypadku wynika z obowiązku lojalności wobec Związku Radzieckiego i jego przeszłości, w drugim zaś z uciążliwymi skrajnie odmiennymi: niechęci opozycji do posługiwania się "oklepanymi" argumentami strony przeciwnej z uporem eksplloatującej od lat postacie Kopernika, Pałaskiego, Kościuszki, Chopina i Curie-Skłodowskiej /którzy ponad to, że mówi o nich "wiedza", nie "społeczeństwo" nie zawinił/ i tego, że strona, by tak rzec, "oficjalna" pragnie dowartościować przy pomocy tradycji nie tylko, jak strona "społeczna", naród, ale i państwo, które ma być zwieńczeniem dotychczasowej historii - Polską Rzeczpospolitą Ludową /o tym rozróżnieniu powiemy więcej w dalszym ciągu/.

Charakterystyczne jest dla świadomości potocznej dążenie do uprosz-

czenia i rozdziału tradycji; my mamy swojego np. Traugutta, a lepiej Piłsudskiego i Andersa /sytuację Traugutta pogarsza to, że jakkolwiek był on przywódcą antyrosyjskiego powstania, to jednak ma dziś ulicę swego imienia/, w miejscach naszego Waryńskiego, Dzierżyńskiego i Bieruta. Znamienne zaskoczenie było niegdyś opublikowanie w wydawnictwie niezależnym księżeczki, znanego składniad z podręczników szkolnych, Żeromskiego, o treści wybitnie nieuczynialnej.

## 3.

Odwoływanie się do historii jako źródła zbiorowej satysfakcji w przypadku Polski ma jednak pewną szczególną konsekwencję: oto przeglądając swoją przeszłość Polacy z konieczności - tak się sprawy ułożyły - natrafiają na nieporównanie mniej niż, dajmy na to, Brytyjczycy powodów do obiektywnie uzasadnionego zadowolenia. Jest to nader stary polski dylemat - jak klęski i niepowodzenia uczynić przestanką narodowej dumy.

Dylemat ten bywał, ogólnie rzecz biorąc, rozwiązywany drogą wyposażenia cierpienia w sens: polityczny, metafizyczny lub moralny (oczywiście można było też odmówić zgody na napawanie się doznanymi niepowodzeniami). Pozwól sobie w tym miejscu powołać się na Tomasa Manna, który pisząc o formach wielkości i dostojęstwa stwierdza: "Choroba ma dwójakie oblicze, pozostaje w dwojakim stosunku do człowieka i jego godności. Z jednej strony jest jej wrogiem, gdyż przez podkreślenie roli ciała, ograniczając i redukując człowieka do jego ciała, ma działanie odczuwające, deprecjuje go tym zamknięciem w sferze cielesnej. Ale z drugiej strony można pojmować i odczuwać chorobę jako coś w najwyższym stopniu godnego ludzkiej istoty. Bo jakkolwiek byłoby przesadą twierdzić, że choroba to tylko, co duch, albo nawet, co byłoby już bardzo tendencyjne, że duch jest chorobą, to przecież oba te pojęcia mają wiele wspólnego" (T. Mann, "Goethe i Tolstoj" w: "Eseje", Warszawa 1964). Pożądana wielkość Polski, jeśli pominąć historycznie odległą epokę Jagiellonów, nie mogła być wielkością tryumfalną; dla tych, którzy chcieli w nią wierzyć, musiała ona być dostojęstwem i szlachetnością uciemiężonych - cierpiącego narodu podobnego uduchowionemu chorobą człowiekowi.

Polska umiejętność czerpania satysfakcji z doznawanych jako naród niepowodzeń, swego czasu ostro krytykowana przez ojca polskiego nacjonalizmu Romana Dmowskiego, była wielokrotnie opisywana i analizowana. Nie zamierzam tematu tego kontynuować; chcę tylko zaznaczyć, że i związkowcy - nie wyłamując się z przyjętego z dawna obyczaju - czcili pamięć minionych porażek społeczeństwa. Historia nowożytna znacząca nazwami miesięcy pisanych z dużej litery - były to kolejno Czerwiec '56, Październik '56, Marzec '68, Grudzień '70, Czerwiec '76 - i z namaszczeniem celebrowana, była przecież, podobnie jak historia polskiej powstania narodowych od 1794 do 1944 r. sekwencja niepowodzeń społeczeństwa i zwycięstw władzy.

Niepowodzenia te inkorporowane przez tradycję będącą przede wszystkim tradycją walki, zaczynały być, paradoksalnie, tytułem do chwaly. W jaki sposób? Tak, że stawały się dowodem odwagi narodu, jego przywiązania do ideałów i wartości itp., a zarazem jawnym świadectwem moralnej nędzy przeciwnika. Naddo, przez swą powtarzalność, pokazywały jak mocna i niezniszczalna jest wola walki, co po kolejnej klęsce może być okolicznością pokrzepiającą.

Tak tedy poszukiwanie tradycji mogącej odegrać rolę pocieszycielki w opresji, prowadzi wzrok szukającego ku długiej sekwencji klęsk, te zaś jak się okazuje, z powodzeniem mogą spełniać funkcję dowartościowującą. Jednak, ceną takiego zabiegu jest nie tylko niemożność zakwestionowania, z pragmatycznego punktu widzenia, sensu martyrologii, włączonej uprzednio w

tradycje, ale i ogólnie, że tradycja jest czymś, co nie może być w pełni rozumiane, rozrost merytoryki. Tradycja jest czymś, co nie może być w pełni rozumiane, staje się już tylko samą w sobie, a nie jest czymś, co może być rozumiane do chwasty dla jednych i potępiana dla drugich. Tradycja nie może być, by było czymś nierozsądnym przypominaniem rzeczy, które w pewnych sprawach cierpi na daleko posuniętą miarzość; jej liczyli i wielkich grzechów, to jednak nie mogą oprzeć się wrażeniu, że konsekwencje popadania w tym zakresie w pewną przesadę są godne uwagi.

## 4.

Drugą parę dialektycznie sprzężonych funkcji tradycji określają dwie przeciwstawne, lecz z ideologicznego punktu widzenia komplementarne potrzeby: chęć wykazania, że istnieje żywa więź z przeszłością będącą ostoją wszelkich pozytywnych wartości oraz chęć wykazania, że więź ta została brutalnie zerwana i czeka na wysiłek odbudowy.

Elementy więzi istniejącej są następujące: katolicka wiara przynależącej większości polskiego społeczeństwa, wzorem przodków pielęgnowana mimo represji ze strony władzy faworyzującej obcy (dawniej prawosławny, dziś marksistowsko-leninowski) obrządek; nadal żywa w wielu domach tradycjarodzina, obejmująca takie wątki jak rodowód kresowy, zesłanie po 1939 roku, przynależność do armii gen. Andersa, AK, udział w powstaniu warszawskim, represje doznane w okresie stalinizmu, a także fragmentaryczne opowieści dziadków o życiu, również politycznym, w Polsce przedwojennej; następnie, trwanie w świadomości społeczeństwa szeregu potrzeb i wartości w ramach nowego porządku zwalczanych lub pomijanych milczeniem - patriotyzmu pojmowanego jako miłość do narodu, nie zaś do państwa komunistycznego, umiłowania wolności, potrzeby prawdy historycznej, uznanie dla demokracji, tolerancji, sprawiedliwości itp. Bardziej istotne od tego, czy więź taka istnieje, jak jest silna i powszechna, jest dla nas przeświadczenie o jej istnieniu, sile i powszechności. Opisywany rodzaj więzi z przeszłością, mimo że zbudowany na wymienionych przykładowo, umiejscowionych w czasie i przestrzeni punktach orientacyjnych, w istocie rzeczy odnosi się do tradycji, która przekazuje pewną ponadczasową istotę wspólnoty narodowej.

Owa istota wspólnoty narodowej funkcjonuje w świadomości jako twór zasadniczo dany, istniejący teraz i dawniej (mówi się np., że Polacy byli i są tolerancyjni, a przytaczane tego przykłady wskazywać mają, iż było tak właściwie zawsze), nie mający źródeł historycznych i nie podlegający udoskonaleniu ani degradacji. Wiadomo tylko, że istota ta jest czymś bardzo dawnym, przy czym nie jest tak, by została ona ukasztrowana w historycznych perypetiach politycznej i kulturowej zmienności. Wprost przeciwnie, trwałość i historyczność jest skutkiem tego, że chodzi o "istotę" właśnie, a nie o pewne przypadkowe cechy. Przykładowo, katolicyzm okazuje się być immanentnym składnikiem polskości, a jego długotrwała historia jest tego skutkiem i przejawem, nie zaś jedną z ewentualnych przyczyn.

Pojęcie ponadczasowej istoty narodowej (chodzi tu rzecz jasna o coś, co jest implícitnie wpisane w świadomość i nie musi być nazywane wprost), pozwala oddzielić to, co jest konieczne i autentyczne od tego, co przypadkowe, szluczne, obce. Pierwsza jest sensem i treścią tradycji; drugie, z perspektywy tego, co jest uważane za prawdziwą narodową historię, stanowi artefakt. Konstrukcja ta służy do wydzielenia jako autentycznej należącej do "systemu", stworzonych w jego ramach instytucji, propagowanych wzorów zachowań i wartości, i określenia jako przypadkowych zdarzeń historycznych, z których oficjalna historiografia i propaganda próbuje utworzyć "postępować tradycje narodu polskiego".

Znowu dostrzegamy strukturalne podobieństwo między "oficjalnym" i "al-



ternatywnym" użyczeniem tradycji. W pierwszym przypadku chodzi o wykazanie, jak przebiegła droga postępowej ewolucji, która podług nieuchronnych praw historycznego rozwoju wiodła Polaków poprzez wzloty i upadki ku świętanej przyszłości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, kraju spełnionych marzeń; w drugim, z tym samym zaufaniem do teleologicznej filozofii dziejów, o wykazanie, jak poprzez kolejne klęski i mimo nich, istota wspólnoty narodowej zmierza ku pełnej realizacji, jak przypisane jej "naturalne" prawa - do wolności, suwerenności, demokracji, dobrobytu itp. - dają do niemal automatycznego spełnienia.

W pierwszym przypadku historia, zamieniona w swoisty inkubator PRL-u, zostaje intencjonalnie zafalszowana i okrojona, w drugim - ulega również pewnej deformacji, z uwagi na aprioryczny cel, jakim jest udowodnienie historycznego zakorzenienia Solidarności i historycznego wykorzystania władzy i systemu. Nie żywiąc wo o tych ostatnich żadnych pozytywnych uczuć, sądzę jednak, że obligatoryjny antykomunizm, jako główne dyrektywa przy ocenianiu sensu i roli wydarzeń historycznych może prowadzić do pomyłek lub uproszczeń.

Polegają one m.in. - jeśli o przeszłość chodzi - na notorycznym negowaniu istnienia wewnętrznych, i w znacznym stopniu autentycznych korzeni komunizmu w Polsce, na przedstawianiu nowego ustroju jako wyłączonego skutku radzieckiego dyktatu (co jest, powtarzam, nie tyle fałszem co znacznym uproszczeniem pomijającym choćby takie sprawy, jak dylematy i złudne lecz szczerze nadzieje polskich socjalistów, a także złożoną, psychologiczną i socjologiczną problematykę awansu społecznego). Przeświadczenie o doskonałej historycznej obcości wszystkich, co związane z komunizmem, pozwala też nie dostrzegać rozmiarów współczesnego uwikłania względnie szerokiach rzesz społeczeństwa w system (uwikłanie to nie musi bynajmniej łączyć się z aprobatą, a polega ono na opisywanych m.in. przez Winicjusza Narojka zjawiskach internalizacji wzorów zachowań i reguł rządzących społeczeństwem socjalistycznym jako "gigantyczną organizacją formalną").

Powiadając, że tak władza, jak i potem Solidarność steraly się zbudować tradycje, w ramach której własne prawa i żądania zyskują historyczne uzasadnienie, uznaje, rzecz jasne, wyższość racji tej ostatniej. Nie znaczą to wszakże, by być czynną źródłową chęć odnotowania pewnych logicznych alternanskwencji myśli potocznej tworzącej tradycję "niezależną".

## 5.

Jak powiedziałem, przeświadczeniu o istnieniu więzi pomiędzy istotą narodu (będącą jakby portretem Doriana Graya na opak: naród może grzeszyć, istota pozostaje czysta i nieskalana), a nieszlakującymi na kartach historii wartościami towarzyszyło inne przeświadczenie; że mianowicie wskutek intencjonalnych działań politycznego decydenta rozpadowi uległy tak więzi międzyludzkie, jak społecznie zakorzeniona pamięć historii; to ostatnie oznacza wyzwicie narodu z jego tradycji.

Z jednej strony więc pojęcie tradycji służy do skonstruowania ponadczasowej istoty narodu, która ex naturae nie podlega degradującemu wpływowi systemu komunistycznego, co umożliwiła przeprowadzenie ideologicznego dowodu tezy o doskonałej, historycznej i aktualnej odrębności narodu i komunizmu; z drugiej strony pojęcie tradycji jako tego, co zostało zniszczone i winno być odbudowane, staje się ideą organizującą walkę narodu z systemowym zniewoleniem. Dzieje się to w sposób następujący: po pierwsze, niechęć do narodowej tradycji staje się główną cechą dystyngtywną przeciwnika, pozwala wskazać go i potępić; po wtóre, chęć odtworzenia i celebrowania tradycji staje się per se formą oporu (nie ulega mojej wątpliwości, że częściowo przynajmniej czynności takie, jak uczestniczenie w wielu uroczystościach religijnych lub samokształcenie w zakresie historii podejmowane są z pobudek nieautotelicznych dla zdemonstrowania woli oporu); po trzecie, tradycja legi-

tyminuje opór: Polakom należy się wolność, ponieważ mieli ją w przeszłości, utracili i walczyli o nią, a podobnie rzecz się ma z innymi wartościami życia zbiorowego - demokracją, praworządnością, tolerancją itp. Zauważmy, że taka legitymizacja żądań przez tradycję z jednej strony utrudnia legitymizację innego rodzaju (chcemy demokracji, bo jest dobra), z drugiej - daje poczucie pewności, że to, o co walczymy i co wywalczymy, na pewno będzie dobre: cały naród bowiem nie może się mylić. Skoro uświęcenia wartości leży w jego naturze (tradycji), nie może on dążyć do rzeczy złych. Owszem, może, przejściowo, popełniać błędy, te jednak nie z natury jego płyną, ale są rezultatem podszeptań i knowań wroga (taki sposób myślenia pojawiał się w Solidarności całego, zwłaszcza przy okazji "wskazywanych się" rozważań o wewnątrzpartyjnej demokracji, jej wartości i perspektywach).

Zauważmy jeszcze jedno. Postulat odbudowania tradycji, życia tradycją, nie sprawia, by społeczeństwo polskie (lub te jego części, które ten postulat wysuwają), stało się bardziej tradycyjne. Było ono jedynie, by tak rzec, metatradycyjne.

## 6.

Dwie ostatnie funkcje tradycji, o których chcę powiedzieć, wiążą się z potrzebą zakorzenienia w przeszłości aktualnych opcji ideowych, potrzebą zbudowania ciągłości myśli społecznej i politycznej, mającej za przedmiot sprawę polską.

Sprzeczność wewnętrzną tkwiącą w takim użytkowaniu tradycji polega na tym, że jeśli dla jednych przeszłość jest niemal wyłącznie skarbnicą cennych wartości, świętych myśli i nauk, bohaterstwa i cnotliwych przykładów, dla innych pozostaje raczej niewygodnym balastem, czymś, czego, rzecz jasna pozbyć się nie sposób (nie tylko dlatego, że nie da się zmienić własnej przeszłości lub żyć bez niej, ale i z uwagi na obowiązujące w środowiskach opozycyjnych moralnego niemal imperatywu czerpania z tradycji), a co utrudnia dokonywanie nieobciążonych pozamerytorycznymi względami afiliacji ideowych. Tak więc tradycja jednocześnie służy, w zamierzeniu, umacnianiu niezależnej myśli politycznej, jak i zarazem hamuje jej swobodny rozwój.

Wymieńmy kilka związanych z tym dylematów. Dla wielu problemem istotnym jest zbudowanie myśli i polityki realnej (opcja pragmatyczna jest znacznie utrudniona w warunkach komunizmu, gdzie w świadomości społecznej podział na władzę i społeczeństwo dominuje nad wszystkimi innymi i ma silne zabarwienie moralne). Budowanie, a zwłaszcza propagowanie takiej opcji byłoby szczególnie trudne bez prób przywołania jej korzeni historycznych. Rzecz wszakże w tym, że jedyne w polskiej tradycji odniesienia tego rodzaju, które byłoby (nie do końca zresztą) wolne od piętna ugody (z zaborcą) i narodowej apozycji, dostarcza myśl polityczna Romana Dmowskiego, polityka i myślicielea wybitnego, ale też nacjonalisty i szjedłego antysemity, co wszak może nie budzić entuzjazmu. Pozostaje problem, jak tworzyć myśl realną. Znany jest mi jeden ty...o tekst podejmujący ten wątek, autorstwa Adama Michnika.

Drugi dylemat dotyczy lewicy, jej ideowej tożsamości. Polega on, mówiąc w największym skrócie, na tym, że ludzie niechętnie uświadomieni do tego wszystkiego, co chcielibyśmy nazywać tradycjami polskiej lewicy, mogą jedynie z najwyższą ostrożnością odwoływać się do tradycji socjalistycznej, a to dlatego, że choć nie sławią bynajmniej mniejszości, grozi im zawsze dyskwalifikujący zarzut "ideowej kolborek" i "ustrojem". W efekcie ludzie ci negują całą sensowność dawnych podziałów ideologicznych, stwierdzając, że w obrębie opozycji można mówić tylko o radeńskich i nierozsądnych, a jeśli chodzi o historię, wskazują jedynie na strzyki płynące z jej poznania.

Natomiast coraz aktywniejsze w ostatnich latach i miesiącach grupy poszukujące samoidentyfikacji prawicowej przywiązują wielką wagę do kwestii

odbudowy i twórczego korzystania z (narodowej) tradycji, wszakże przychodzi im to z dużą trudnością. Okazuje się, że dużo łatwiej o emocjonalny niż intelektualnie twórczy stosunek do narodowej przeszłości. Nie jest bowiem tworzeniem myśli politycznej nieustannie podkreślanie ogromnej roli tradycji i doroczne obchodzenie niezliczonych świąt i rocznic narodowych (które, jak powiedziałem, są w znacznej mierze kalendarium porażek). W ogólności, publiczne rozważania o tradycji w Polsce są w znacznej mierze autotematyczne.

7.

Kilka uwag na zakończenie. Opisałem, w bardzo ogólnych kategoriach, to, co uważam za nurt dominujący. Jeśli mówi się i myśli o tradycji, to przede wszystkim w taki właśnie sposób. Nie znaczy to, by w ogóle nie mówiono i nie myślało inaczej, na przykład tak, jak starałem się to tu czynić. Działam, jak sądzę, do zrozumienia, że pewne sposoby myślenia o przeszłości i użytkowania tradycji nie budzą mojego entuzjazmu, dodam więc, że nie sądzę, by wchodziły tu w grę jakieś specyficzne polskie narodowe wady i nieumiejętności. Przeciwnie, reakcje te i tendencje wydają mi się nieuchronne w istniejących warunkach społecznych i, zapewne, dla warunków tych typowe. Uważam nawet, że w sytuacji, w jakiej żyje polskie społeczeństwo, sumaryczny efekt politycznie umotywowanego zainteresowania historią jest zdecydowanie korzystny. Nie zwalnia to nas jednak z obowiązku umiarkowanego sceptycyzmu.

Sergiusz Kowalski

## O umowie społecznej dawniej i dziś

dyskutują:

TADEUSZ MAZOWIECKI, HENRYK SAMSONOWICZ i ANDRZEJ  
WIELOWIEYSKI. Rozmowę prowadzi: PIOTR BROŻYNA i JAN  
SKÓRZYŃSKI

- Tematem naszej dyskusji jest pojęcie umowy społecznej. W myśli politycznej mamy do czynienia z dwójakim rozumieniem terminu "umowa społeczna". Z jednej strony, jako zawiązania społeczeństwa, z drugiej zaś, jako podporządkowania tego społeczeństwa władzy, na podstawie przyjętych przez obie strony zasad. Rozmowę naszą chcielibyśmy zacząć od pytania o znaczenie tego pojęcia w doświadczeniach polskich lat ostatnich. Czy nie wydaje się panom, że warunkiem sierpniowej umowy społecznej, zawartej w Sześciu Gdańskich, było uprzednie ukonstytuowanie się strony społecznej, jako zbiorowości artykułującej swoje potrzeby i cele, a więc zdolnej do podjęcia dialogu z władzą?

Henryk Samsonowicz: - Umowa społeczna ma charakter bardzo wieloznaczny. Gdy Rousseau formułował swoją koncepcję idealnego ustroju była ona jedynie pewnym hasłem, na owe czasy bardzo postępowym. Chodziło o ukazanie alternatywy dla istniejącej sytuacji politycznej, społecznej, dla ustroju, który był już wtedy nie do przyjęcia przez większość Francuzów. Umowa społeczna w wersji Jana Jakuba jest zatem pewną ideą, której wartość polega na zmanifestowaniu braku akceptacji społecznej dla rzeczywistości. Ów brak akceptacji może uzewnętrznić się dwójako: albo poprzez dialog, albo poprzez walkę. Strony konfliktu przychodzą do stołu obrod lub na pole bitwy w gruncie rzeczy po to, aby zmienić istniejący stan rzeczy. W Sierpniu wybrano drogę dialogu.

Tadeusz Mazowiecki: - Myślę, że elementem równie istotnym w Sierpniu było sformułowanie postulatów mających rangę kwestii podstawowych, pozwalających mówić o umowie dotyczącej całego społeczeństwa. Celem nie było jedynie wyjście z impasu, lecz znalezienie rozwiązań dla spraw ważnych, wręcz podstawowych dla ogółu. Powstanie reprezentacji było z pewnością czynnikiem bardzo znaczącym, ale nastąpiło także podjęcie przez tę reprezentację problemów zasadniczych.

Śród problemów podniesionych w Sierpniu wyróżnić można trzy grupy spraw: pierwsza, to powstanie niezależnego ruchu związkowego; druga, to inne postulaty o ogólnospołecznym wymiarze, a więc kwestie więźniów politycznych, cenzury, prawa do wypowiedziania się w sprawach ogólnych, takich jak plan gospodarczy; trzecia, to regulacje płacowa i ekonomiczna.

- Aby zrozumieć Sierpień, trzeba poznać tradycję, z jakiej się wywodzi. Ten typ rozwiązywania konfliktów społecznych leży w polskiej, bardzo już długiej, tradycji zawierania umów pomiędzy rządzącymi a rządzonymi. Jej początki szukać można już w wieku XIV, gdy szlachta zapewniła sobie udział w - jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli - samorządzie terytorialnym. Później, w roku 1454 ułożono Statuty Nieszawskie, które zagwarantowały szla-

chcie prawo rozstrzygnięcia o wojnie, pokoju i nowych podatkach. Gdy dodamy do tego prawo "nomine captivabimus", czyli zakaz uwężenia bez wyroku sądowego i konstytucję "Nihil novi" z 1505 r., powodującą niezależną od monarchy władzę ustawodawczą - Sejm Walny, to otrzymamy katalog uprawnień obywateli - ki - godny pozazdrosczenia.

Henryk Samsonowicz: - Powiem więcej. Nawet wtedy, kiedy konflikty wewnętrzne próbowano rozstrzygać zbrojnie, to właśnie w Polsce miały one inny wymiar, dla narodów ościennych zupełnie niezrozumiały. Na przykład rokosz w czasach Zygmunta III, w efekcie zakończył się kompromisem, chociaż przedtem doprowadził do bitwy pod Guzowem, w której zginęło sporo ludzi. I oto jeden z przywódców regalistów, hetman Jan Karol Chodkiewicz użalał się w liście do żony nad "niebożętami rokoczanami", którzy tam właśnie zostali pobici. Przytwa doprowadziła do zakończenia rokoczu, ale nie tak, jak bywało w innych krajach ówczesnego świata - czyli krwawą łaźnią, wyprawianą przeciwnikom władzy - ale ugodą, kompromisem, który tylko z formalnego punktu widzenia był triumfem króla. W gruncie rzeczy był bowiem pełnym sukcesem, opozycji.

- Było to zapewne wynikiem przyswojenia sobie reguł gry politycznej i politycznego myślenia, których rozkwit w Polsce był wiek XVI. Wtedy to przecież sformułowano w artykułach henrykowskich kardynalne prawo wypowiedzenia posłuszeństwa władcy, który nie przestrzegał przyjętych na siebie zobowiązań wobec rządzonych.

Henryk Samsonowicz: - Nie można bowiem władać bez społecznego zaplecza. Myślę, że ta prawda obowiązywała nie tylko w tamtych czasach.

Tadeusz Mezowiecki: - To się dopiero okaże, czy rzeczywiście nie można...

Henryk Samsonowicz: - Nie można z całą pewnością. Pytanie tylko: kto popiera daną władzę? Jakim ona dysponuje potencjałem demograficznym, liczebnym? Każda bowiem władza, nawet zła, siorumpowens i nieudolna, posiada swoją klientelę, która na istnieniu tej władzy korzysta. Jeśli nawet oceniamy czyjeś rządy negatywnie, nie oznacza to przecież, iż ten nieudolny władca nie ma swoich popleczyków. I to nie tylko z grona jego najbliższego otoczenia, bo jeśli tak jest, jego losy są przesądzone. Nie jest przecież prawdziwa wizja, w której z jednej strony istnieje społeczeństwo, a z drugiej strony rząd. Nieszczęściem obecnego czasu jest to, że mniejszość jest dopuszczona do głosu, może artykułować swoje potrzeby i pragnienia, natomiast część więkksza milczy.

- Potrzeba porozumienia władzy ze społeczeństwem wynika jednak z założenia, że oba te podmioty życia publicznego nie stanowią jedności, że ich interesy są rozbieżne i trzeba specjalnego kompromisu, aby je pogodzić. Dlatego też, tak jak nie mówimy raczej o umowie społecznej w demokracji, nie sposób o niej myśleć także w warunkach dyktatury.

Andrzej Wielowiejski: - Warunki do tworzenia nowych umów mogą powstać, jeżeli następuje osłabienie ośrodka władzy, a zwłaszcza, gdy władza rządzi w sposób nieefektywny, gdy w pewnym momencie brakować chleba i bardzo ciasno robi się ludziom. Wtedy organizacja społeczna ulega rozkładowi, kontrola mniejszości nad większością rozluźnia się i rodzi się consensus, możliwość zawarcia ugody. W przypadku sprawnie działającej organizacji społecznej, w której grupa rządząca kontroluje większość ludności, zawarcie takiej umowy nie jest możliwe. Jest sprzeczne z naturą rzeczy.

Kryzys sprawowania władzy występujący u nas w XIV wieku, w związ-

ku z wymarciem dynastii panującej, okazał się, w princie rzeczy, czymś sta-  
wiennym. Nastąpiła eruzacja energii rozwojowej nowych klas i najbardziej dyna-  
miczne grupy ukształtowały zabezpieczenie swych przywilejów, możliwości rozwi-  
ju politycznego i ekonomicznego. Nie jest przypadkiem, że "Tamenus capri-  
binus nisi lure victum" i inne przywileje tego rodzaju powstały w takiej wię-  
nie sytuacji. One to stworzyły w Polsce na krótko lat, w krajach zachodnich  
na jeszcze dłużej, ogromne możliwości rozwojowe. Myślę, że np. ekspansja  
i sila Anglii wywodziła się w dużej mierze z "Tibbas Corpus Act".

Najlepszym kryterium słuszności umowy społecznej jest pytanie o moż-  
liwość rozwoju, jakie ona stworzyła.

Henryk Samsonowicz - Umowa społeczna dochodzi do skutku w momen-  
cie, kiedy funkcjonujące prawo przestaje wystarczać, kiedy tworzy się nowa  
sytuacja, której nie przewiduje to prawo. Tak było zawsze.

- W naszych rozważaniach nad tradycją umowy społecznej należy chy-  
ba nawiązać do jeszcze innego elementu. Umowa taka mianowicie znajduje  
wyraz w różnego rodzaju aktach prawnych, niezależnie od tego, czy to będą  
przywileje stanowe, czy też akt konstytucyjny. Czy zatem jednym z warunków  
umowy społecznej nie jest poszerzenie dla prawa, jako owej instytucji  
orzekającej i rozstrzygającej?

Andrzej Wielowieyski - To wymaga republikańskiej tradycji prawnej. Na  
ogół w państwach absolutnych prawem była wola władcy. Przy innym doświad-  
czeniu historycznym, które było doświadczaniem praworządności w społeczne-  
ństwach republikańskich - takich, jak angielskie, holenderskie czy polskie, z  
odmienną tradycją monarchiczno-absolutystyczną u Francuzów, mieszkańców  
krajów habsburskich lub Rosji - inaczej rozwinęły się losy. Wszystkie zmiany we  
Francji, poczynając od końca XVIII wieku, do czasów ostatnich walk robotni-  
czych w wieku XIX, wyraźnie przebiegały inaczej niż w Anglii, gdzie udawa-  
ło się uniezależnić uniknąć ostrych konfrontacji.

- Umowy zawierane w dawnej Rzeczypospolitej między królem a szlach-  
tą, uniezależniały partycularne interesy grup społecznych z nadrzędną ro-  
lę państwa. Z chęcią ustrzy niepodległości, wobec obecnej władzy, nie było to  
już możliwe. Konceptja umowy społecznej zastąpiła formuła ugody z zaborca-  
mi.

Andrzej Wielowieyski - Rzeczywiście, Królestwo Kongresowe było swo-  
istą ugodą pomiędzy rządem rosyjskim a społeczeństwem polskim. Była to je-  
dnak umowa bardzo nierówna, wynikała bowiem z określonej koncepcji poli-  
tyki rosyjskiej i nie przetrwała jej zmiany.

Tadeusz Mazowiecki - Wątpię, czy strona polska była partnerem tej  
umowy.

Henryk Samsonowicz - A jednak tak, bo na niej zyskali. Pamiętać trze-  
ba, że w 1795 r. Polska stała się jedynie pojęciem geograficznym. Odwrócił  
to dopiero Kongres Wiedeński w 1815 r. Po kilkunastu latach niebyle znowu  
powstało Królestwo Polskie.

Na postawę strony rosyjskiej wpłynął zapewne jak przed wstrząsami re-  
wucyjnymi, a także, - co ważniejsze - świadomość, że Polacy od lat dwudzie-  
sta stale walczą i stale będą walczyć, stanowiąc zarzewie niepokojów. To u-  
możliwiło pewien kompromis.

Andrzej Wielowieyski - Ale kto ten kompromis zawiera? Kompromis zo-  
stał wówczas zawarty między świadomymi grupami społeczeństwa polskiego a  
władzą imperium Rosyjskiego. Kraj ten przeżywał w owym czasie nieudaną,  
jak się później okazało, próbę reformy wewnętrznej. Aleksander I najprawdo-

podobnie liczył, że Królestwo Kongresowe pomoże mu w tym dziele. Sprawa ta nie leżała jednak zupełnie w interesie kierowniczych kół biurokratycznych Rosji. Wielu nawet poważnych przedstawicieli establishmentu rosyjskiego uważało, że Aleksander I zupełnie niepotrzebnie wniósł się w tę polską awanturę. To samo powtarzali w 1830 i 1863 roku. Przypisywanie genezy konfliktów cechom osobistym i własnej polityce Nowosilcowa jest grubym nieporozumieniem. Nowosilcowa był jedynie eksponentem interesów określonych grup rosyjskich, dla których Królestwo i jego pozycja w Imperium były w rzeczywistości bez znaczenia.

- Próba ta zatem zakończyła się fiaskiem, dlatego, że interesy obu stron były kolizyjne. Umowę obustronnie zerwano.

Tadeusz Mazowiecki: - Mimo że nie poruszam się tak swobodnie, po historii, jak tu obecni, zastanawiam się, czy nie jest jednak potrzebne wyraźniejsze określenie pojęcia umowy społecznej. Sytuacja, w której dochodzi do umowy, różni się przecież od tej, w której następuje nadanie pewnych uprawnień ogólnie. Owszem, Polacy mogli widzieć pewną szansę w okrojowaniu praw przez rządy zaborcze, mogli z tym współdziałać, ale nazywanie tego umową społeczną budzi mój sprzeciw. W przypadku umowy zakładam bowiem podmiotowość drugiej strony, jakiś element partnerstwa, choćby nierównego.

Mamy przecież współcześnie do czynienia z próbą zastąpienia koncepcji umowy społecznej i partnerstwa - koncepcją nadania, jak sposobu rozwiązywania problemów.

Henryk Samsonowicz: - Zgadzałem się z pańską tezą o znaczeniu podmiotowości. Mam natomiast wątpliwości, czy umowa społeczna zawsze dotyczyła całego społeczeństwa.

Innym zagadnieniem jest także różnica między umową a ugodą. Której sprawa leży w pytaniu o sposób rozwiązywania kryzysu: drogą siły, czy drogą negocjacji? Przyznam sobie także tezę postawioną na początku przez prowadzących dyskusję: do tego, aby można było umowę społeczną zrealizować, muszą być dwie strony, dwa podmioty. Przynajmniej dwa!

Tadeusz Mazowiecki: - Bardzo trudno jest, jak mi się wydaje, porównywać władzę aniżeli pomiędzy tymi dawnymi umowami a tą ostatnią - siłą. Można jednak odnieść się do próby bezkrytycznego rozwiązania konfliktu. I to jest ta łączność tradycji polskiej, dawnej i współczesnej. Zastanawiam się nad tym, czy tym następujący problem: skoro uznajemy tę polską tradycję, to dlaczego równocześnie słowo kompromis ma w tej samej tradycji taką konotację? Dlaczego nasza kultura polityczna nie wykształciła innego podejścia do tego pojęcia? Czy dzieje się tak tylko z powodu w całym społeczeństwie, które skłaniają do niewiary w kompromis, do obawy przed oszukany kompromisami.

Henryk Samsonowicz: - Geneza tej obawy, to wykazywanie umiarkowanego rodzowego rozwoju przez okres zaborów. Aż do upadku dawnej Rzeczypospolitej kompromis był podstawową formą umożliwiająca był naszego państwa. Przez trzydzieści lat fundamentem polskiej kultury politycznej był zwyczaj "uczciwego kompromisu". Dlaczego teraz kompromis ma u nas wydźwięk inny? Czyżby dlatego, że przez sto-kilkadziesiąt lat wszystkie umowy, które mogły być przedmiotem nieudany eksperymentu roku 1815, nie dotyczyły spraw najistotniejszych podstawowych. Pomijały one rzecz podstawową - kwestię suwerenności tegoż narodu polskiego. Były to zatem umowy pozorne. Gdyby zrealizowano wówczas możliwość takiej umowy z ciałem, które obudowywałoby państwo polskie, to wtedy problem granic tego państwa mógłby być przedmiotem kompromisu, podobnie jak problem przynależności dynastycznej. Ale w ten sposób kwestia niepodległości Polski nigdy nie była stawiana przez stronę rosyjską. Wybrano kolejne likwidowanie pozostałości po Królestwie Kongresowym, porzucając od rzeczy najważniejszej - konstytucji, aż po zmianę wojowniczość

bernie.

Tadeusz Mazowiecki - Myślę, że ta niechęć do kompromisu ma także źródło w historii najnowszej. Jak istotną sprawą jest poruszona na początku dyskusji krystalizacja stron dialogu, wskazuje przykład Października 1956 r. Bo przecież nie sposób zaprzeczyć, iż poruszono, i przynajmniej częściowo rozwiązano, wtedy sprawy bardzo istotne. Ale sirona społeczna pozostała wówczas niezorganizowana i nieokreślona. Ograniczyła się zatem do spróby dla posunięć władzy.

- Jednak polityka władz kształtowała się pod wyraźną presją społeczną i w tym sensie można mówić o pewnej grze sił..

Tadeusz Mazowiecki - Oczywiście, ale społeczeństwo nie zaistniało jako zorganizowany podmiot życia publicznego.

- Dlatego ustępstwa władzy dokonane w Październiku okazały się niewarte. Nie można też nazywać umową społeczną kruchego porozumienia zawartego na początku rządów Gierka. Bowiem sądenia wyartykułowane przez robotników w grudniu 1970 roku, i później, zostały tylko pozornie zaakceptowane w trakcie wizyty Gierka i Jaroszewicza w stoczniach. Władza uznała i usprawiedliwiła emocje społeczne, lecz nie uznała racji. Nie było w związku z tym podstaw do kompromisu, odrzucenie bowiem racji uniemożliwia jakąkolwiek dyskusję.

Tadeusz Mazowiecki - W doświadczeniu grudnia 1970 r. bardziej jeszcze uderza mnie brak zorganizowanego partnera dla władzy. Robotnicy występowali wówczas z wielką odwagą, a przedstawiciele władzy wycofywali się nawet pod ich naporem, ale ustępstwa ograniczyły się wówczas tylko do momentu spotkania. Po jego zakończeniu nic władzy nie wiązało poza obawą powstania wybuchu.

Henryk Samsonowicz - Nie chcę bronić ani tamtej ekipy, ani polityki grudniowej. Trzeba jednak przyznać, że zmienił się wówczas styl rządzenia. Była to pewne nowe koncepcja, odmienna od poprzedniej. Rzeczywiście jednak nie widzę w tej grudniowej przemianie elementów umowy społecznej.

Andrzej Wielowiejski - Wydarzenia sierpniowe w tym kontekście wskazują na wagę czynnika świadomości społecznej. Ich znaczenie polegało nie tyle może na zaistnieniu pewnej struktury, co na powstaniu nowej świadomości. Jeszcze w latach siedemdziesiątych stawiano tezę, że żyjemy w epoce gwałtownego dojrzewania świadomości klasowej różnych grup w Polsce. Pytanie brzmiało: którzy szybciej dojrzeją? Ośóó dojrzeli szybciej robotnicy. To, że kilkadziesiąt przedsiębiorstw Wybrzeża potrafiło wysłać delegatów do stoczni, było wynikiem gwałtownego procesu dojrzewania. Dojrzała także władza. W latach siedemdziesiątych nowa klasa średnia obejmująca aparat władzy i aparat gospodarczy nabrała samoświadomości, wynikającej z doświadczenia dorabiania się. Na tym właśnie polegała równoległość dojrzewania obydwu grup.

Tadeusz Mazowiecki - Podkreśliłbym ściśle funkcję między świadomością a uzyskaniem podmiotowości. Postawienie przez strajkujących robotników w Sierpniu na pierwszym planie spraw związków zawodowych i podporządkowanie temu spraw placowych, jako kwestii drugorzędnej, było zupełnie nową jakością.

Andrzej Wielowiejski - Zasadniczą różnicą pomiędzy ludźmi Sierpnia, a najbardziej nawet bojowymi uczestnikami Października, czy Marca, było to, że ci pierwsi czuli się o wiele mocniejsi, materialnie ustabilizowani i czdzu wali potrzebę zabezpieczenia i otwarcia nowej perspektywy. Robotnik w latach 50. i 60. tego nie odczuwał, nie miał często jeszcze żadnego wykształ



zenia. W badaniach "Polacy'80" i "Polacy'81" wyraźnie widać, o ile większe poczucie niepewności i życiowy lęk przejawiają chłopci-robotnicy i ludzie bez dyplomów.

Henryk Samsonowicz: - Wiesz! Trzeba sobie powiedzieć, że Polska Ludowa stworzyła bardzo korzystne warunki dla awansu chłopów. Ci ludzie boją się nie tylko tego, że tracą pracę, ale również tego, że nastąpi zmiana, w wyniku której wrócą do swojej poprzedniej kondycji, zostaną społecznie zdegradowani. To najzupełniej normalny mechanizm, że pewne grupy ludzi instynktownie boją się zmian, które mogą naruszyć ich rzeczywiste zdobycze.

- To zjawisko występuje także w wielkich środowiskach związanych z aparatem władzy.

Andrzej Wielowiejski: - Niewątpliwie pewne grupy świadomie i z determinacją postanowiły bronić swych pozycji. Poczucie zagrożenia jest u tych ludzi ogromne.

Henryk Samsonowicz: - Podzielając pogląd o istnieniu grupy ludzi bojących się utraty przywilejów, chciałbym zadać panom pytanie: czy istnieje możliwość zawarcia umowy społecznej z tą grupą?

Tadeusz Mazowiecki: - Każda umowa społeczna jest wynikiem uznania konieczności i tylko jako taka może się zrealizować. Nie jako wynik wiary dobrą wolą. Czy tę konieczność mogą uznać ci ludzie? Jeśli ją uznają, wówczas zaistnieje możliwość umowy.

- Pytanie profesora Samsonowicza odnieść można także do strony społecznej.

Henryk Samsonowicz: - Największym błędem wynikającym z rozwiązania Solidarności nie jest fakt, że znegowało się tym samym ten wielomilionowy ruch; nie to, że poddało się w wątpliwość wszystko, co ten ruch zrobił w zakresie kreowania postaw, tworzenia podmiotowości. Podstawowy błąd polegał na podjęciu gąszi, na której się siedzi. Jeśli dzisiaj rzeczywiście myśleć o umowie społecznej, to kto może reprezentować społeczeństwo w sposób wiarygodny? Kościół nie może przecież zastąpić społecznej reprezentacji.

Tadeusz Mazowiecki: - Nie przypuszczam, aby ci którzy obawiają się o swoją pozycję byli ludźmi, którzy pierwsi zrozumieli konieczność takiej umowy. Na to raczej trudno liczyć. Jednakże z tym, kto tę konieczność zrozumie, trzeba rozmawiać! Uważam, że taka jest zasada generalna. Druga strona musi zdać sobie z tego sprawę, że nie sposób wybierać; z tym będą rozmawiać, a z tym nie. I to też jest stan konieczności. Tylko wtedy umowa społeczna może dojść do skutku.

Andrzej Wielowiejski: - Pamiętajmy jednak, że ludzie mają głęboką rację w nieufności, a w każdym razie mają do niej prawo, a mimo to odczuwają potrzebę społecznego porozumienia. I dzisiaj znajdują się dostateczna ilość działaczy, by zawrzeć umowę. Inną jednak sprawą jest uzyskanie szerokiego społecznego konsensusu. Przypominam, że Komisja Krajowa składała się z ludzi bardzo umiarkowanych i gotowych na wiele trudnych kompromisów. Znałoby się dosyć ludzi do negocjowania porozumień, tylko nielstwo byłoby je potem realizować.

Henryk Samsonowicz: - Jedyną prawdziwą gwarancją jest to, że wzajemny kompromis okaże się mniej lub bardziej korzystny dla obu stron.

- Ostatnie pytanie wobec tego do panów, to prośba o sformułowanie warunków minimalnych umowy społecznej na dziś.

**Tadeusz Mazowiecki:** - Jeśli funkcjonuje oficjalne określenie: "nie ma powrotu do sytuacji sprzed Sierpnia i nie ma powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia", a równocześnie nie uznaje się partnera porozumień sierpniowych - to zdanie powyższe nie ma cech wiarygodności. Mimo tego, zdają sobie w pełni sprawę z trudności uzyskania społecznego zaufania dla ewentualnej umowy społecznej, sądząc, iż ludzie bardzo dojrzałe przeżywają ten okres i wyciągają wnioski z kolejnych doświadczeń. Gdyby więc pojawiło się wyjście z tej ogólnej niemożności w jakiej jesteśmy, to bardzo by je sobie cenili i bardzo by uważali, aby ono nie zostało zniszczone.

Zamiast wprost odpowiedzieć na zadane pytanie, spróbuję zrobić to w formie przypowieści. W listopadzie 1981 r. byłem w Rzymie, gdzie właśnie odbywały się wybory municypalne. W trakcie pewnego wieczornego spaceru, oglądając plakaty wyborcze, a wygrał i został syndykiem komunista, pomyślałem sobie, że w tym kraju, należącym przecież do Paktu Atlantyckiego, są takie pola działania, które na to pozwalają. Zmierzam do tego, że i w naszych warunkach zasadniczym elementem pozwalającym na zawarcie umowy społecznej jest określenie takich pól działania i wzajemnego ich przestrzeżenia.

**Andrzej Wielowieyski:** - Pamiętać trzeba o znanej prawdziwości, że każda cząstkowa próba zmierzająca do poprawy istniejącej sytuacji, zwłaszcza w układzie tak złożonym, prowadzi z reguły do jej pogorszenia. Aby tego uniknąć, konieczne jest konsekwentne i systematyczne dążenie do reorientacji postaw i zachowań nie tylko społeczeństwa, ale i władzy. To jest możliwe, jeśli okaże się korzystne, ale wymaga czasu.

**Henryk Samsonowicz:** - Niektórzy historycy widzą ciąg dziejów jako nieustanne pasmo wojen, podobnie widzi to młodzież, która w historii dostrzega przede wszystkim wielkie bitwy, wspaniałe zwycięstwa, ewentualnie smutne porażki. Tymczasem historia powszechna, a historia naszego kraju w szczególności, jest również historią kompromisów i porozumień społecznych.

Umowa społeczna bierze się z kryzysu, z pewnej nowej sytuacji, w której pojawia się nowy podmiot działania gospodarcze i polityczne, czy będzie to magnateria litewska i sejm polski w Lublinie, czy wreszcie jest to umowa między grupami politycznymi w sprawie obioru króla. Jesteśmy pełni pretensji do epoki królów obieralnych, ale same koncepcje nie były przecież złe. Państwa, które mają dziś wybieralnych prezydentów, kontynuują w gruncie rzeczy to, cośmy pierwsi na taką skalę zaczęli.

Nasze wewnętrzne dzieje, to nie jest pasmo nieustannych rokoszy przeciwko władzy, królowi czy sejmowi. Mogą one być dobrym przykładem udoskonalenia zawartych umów, poszukiwania nowych rozwiązań w drodze negocjacji, a tym samym kształtowania się właściwej kultury politycznej.

Dyskusja odbyła się 5 czerwca 1981 r. Tekst zdjęty przez cenzurę z "Przebiegu Katolickiego" drukujemy bez wiedzy i zgody rozmówców - red.

## KOMPROMIS I OKOLICE

Jest to fragment książki przygotowywanej do druku.  
 Dokonałiśmy wyboru z części szóstego rozdziału pracy. Skróty i tytuł fragmentu pochodzą od redakcji. Druk za zgodą wydawcy - red.

Co miało być przedmiotem prac Zjazdu Związku? Chyba w sedno tr. ks. Józef Tischner, gdy w homilii wygłoszonej do zebranych delegatów powiedział: "Naszym problemem stała się jakość pracy (...) Polska praca jest chora. Właśnie z tego powodu tu jesteśmy, że Polska praca jest chora. Jest wielka jak Wisła, ale też jak Wisła zanieczyszczona (...). Praca w Polsce zamiast pogłębić wzajemność, zamiast być płaszczyzną człowieka, stała się płaszczyzną nieporozumienia, sporu, nawet zdrady. Wody Wisły są brudne. Wody Wisły są nawet i krwawe. Jesteśmy tu po to, aby oczyścić wody Wisły. Pracujemy nad pracą, aby praca znów stała się płaszczyzną porozumienia, zgody i pokoju".

Dla przyłączającej większości ludzi pracy związek zawodowy, uwolniony od roli pasa transmisyjnego, mającego przekazywać dyrektywy aparatu partyjno-peństwowego, był symbolem nowej jakości pracy. Wielu widziało także w jej uosobieniu w niezależnym od tego aparatu samorządzie pracowniczym. Aby nie pozwolić na "oczyszczenie wód Wisły" uchwała III Plenum KC PZPR miała stać się temą dla samorządu. Nie mogła ona pozostać bez wpływu na radykalizację nastrojów delegatów. Tak była zresztą wymierzona w czasie.

Jeszcze w sprawozdaniu KKP na Zjazd, napisanym przed III Plenum, w sprawie samorządu pracowniczego wyraźne były tony pojednawcze: "Przekonałiśmy się, że nie możemy przyglądać się beczynnemu postępującemu rozpadowi narodowej gospodarki. Stało się jasne, że musimy sami wziąć we własne ręce dzieło naprawy, wystąpić z konstruktywnymi rozwiązaniami, że możemy przy tym liczyć na społeczną wiarygodność. Abym jednak poczynienia nasze miały polityczneszanse realizacji, musimy uzyskać w drodze porozumienia z rządem warunki wstępne dla powstania systemu samorządów pracowniczych o uzgodnionych przez drugą stronę uprawnieniach. Konieczne jest zatem przyjęcie formuły wzajemnej akceptacji" (podkreślenie - SJ).

Jak wiadomo, partia możliwości ewentualnego kompromisu, zarysowującego się w Sejmie, stanowczo odrzuciła. Delegaci na Zjazd Solidarności nie mogli więc pozostawić uchwały III Plenum KC PZPR bez odpowiedzi. W czwartym dniu I tury zjazdu (8 września) podjęta została więc odpowiednia uchwała.

### UCHWAŁA I KRAJOWEGO ZJAZDU DELEGATÓW NSZZ SOLIDARNOŚĆ W SPRAWIE SAMORZĄDU PRACOWNICZEGO

Delegaci na I Zjazd NSZZ Solidarność wzywają członków Związku i wszystkich pracowników do obrony samorządu pracowni-

\* Ks. Józef Tischner - Polska praca jest chora, "Tygodnik Solidarność" nr 35/1981.

zku i wszystkich pracowników do obrony samorządu pracowniczego. Władze, przerażone perspektywą rozwoju i utrwalenia się samorządu, próbują zdusić go w zarodku, pozbawiając prawa zarządzania przedsiębiorstwami, a szczególnie prawa powoływania i odwoływania dyrektorów. Dzieje się to pod pozorami ochrony własności ogólnospołecznej i państwa, a w rzeczywistości w imię egoistycznych interesów biurokratycznego aparatu partyjnopaństwowego.

Podjęta ostatnio obrona tzw. nomenklatury jest próbą utrzymania tego samego systemu doboru kadry, w którym mianowani według kryteriów politycznych kierownicy gospodarki, doprowadzili ją do obecnej katastrofy.

Oficjalna propaganda utrzymuje, że projekt rządowy jest ze zrozumieniem przyjmowany przez większość społeczeństwa. W tej sytuacji Zjazd, działając zgodnie z pkt 1 art. 3 Konstytucji PRL, który stwierdza "prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej są wyrazem interesów i woli ludu pracującego", zwraca się do Sejmu PRL o podjęcie decyzji o jak najszybszym przeprowadzeniu ogólnonarodowego referendum w sprawie kompetencji samorządów.

Referendum powinno być przeprowadzone przed uchwaleniem ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie przez Sejm PRL. W ustalaniu pytań i przeprowadzeniu referendum muszą brać udział związki zawodowe.

Zjazd postanowił równocześnie, że w przypadku odmowy przeprowadzenia referendum przez organa państwa, Związek przeprowadzi referendum wśród załóg własnymi siłami.

Delegaci na I Zjazd wyrażają nadzieję, że postawie uszeregują woli załóg i podejmą decyzję w pełni uwzględniającą ich aspiracje. Dlatego delegaci na I Zjazd zwracają się do Sejmu PRL, aby nie uchwaliał ustaw w brzmieniu, które narzuca próbie Rząd. Uchwalenie projektu niezgodnego z wolą załóg spowoduje wzrost napięcia, utrudni wyjście z ruiny gospodarczej i całkowicie zakłamie warunki społeczeństwa do Sejmu. Tak postępując, Sejm zaprzepaszczy historyczną szansę przeprowadzenia demokratycznej reformy, a społeczeństwo stanęłoby przed problemem podjęcia samodzielnych działań.

Delegaci na Zjazd oświadczają, że Związek nie zaprzestanie walki o autentyczny samorząd, jak również bezwzględnie bronić będzie swych członków przed poniesieniem kosztów, wynikających z reformy niesamodzielnej przez społeczeństwo. Walkę tę prowadzić będziemy przy pomocy wszelkich dostępnych środków. Z całym naciskiem podkreślamy, że w przypadku uchwalenia ustawy o samorządzie w kształcie istotnie odbiegającym od woli załóg, Związek zamierzony będzie podjąć bojkot ustawy oraz działania zapobiegające nieakceptowalnemu funkcjonowaniu autentycznych samorządów<sup>4</sup>

Zauważmy, że wstępna wersja projektu uchwały, przygotowywana przez autora niniejszego tekstu, została poważnie zmieniona w trakcie dyskusji w zespołach delegatów, których zdaniem było przedstawienie projektu pod uchwałą Zjazdu (R. Bugaj, M. Gil, B. Lis, G. Polka). Nadano jej bardziej konkretny charakter przez włączenie elementów referendum oraz groźby bojkotu. Zjazd uchwalił ostatecznie projekt wniesiony w imieniu zespołu Bugaja, który uzasadnił go następująco: "Działania władz stwarzają pozory przebudowy systemu społeczno-ekonomicznego. Redakcja Związku powinna być stanowcza i jednoznaczna. Dlatego projekt stawia sprawę referendum, Sejm nie może zignorować żądania dziesięciu milionów związkowców. Związek może też przeprowadzić re-

referendum wśród członków Solidarności w przypadku zaś, gdyby Sejm przyjął ustawę według projektu rządowego, Związek powinien zarządzić bojkot, polegający na niabraniu udziału w samorządzie fikcyjnym. Jeśli bowiem nie ma prawdziwego samorządu - nie ma żadnego<sup>x</sup>.

Uważny czytelnik spostrzeże niewątpliwie, że między treścią uchwały a uzasadnieniem Bugaja zachodzi istotna różnica. W rozumieniu Bugaja - bojkot ustawy, o ile zostanie ona przez Sejm uchwalona w brzmieniu wymuszonym przez rząd, oznacza rezygnację w ogóle z samorządu przez Solidarność ("nie ma prawdziwego samorządu - nie ma żadnego"). Z uchwały zaś wynika, że Związek będzie w omówionej sytuacji bojkotować ustawę, ale równocześnie podejmie działania zapewniające funkcjonowanie autentycznego samorządu. Gdy więc Bugaj zamierzał utrzymać uchwałę w ramach legalności, to Pałka reprezentował w Zespole wnioskodawców koncepcję sięgnięcia do działań pozaprawnych, by - wbrew ewentualnej ustawie - stworzyć "autentyczny samorząd".

Delegaci na Zjeździe mieli do wyboru drugi projekt uchwały w sprawie samorządu, wniesiony przez J. Bukowskiego, który sugerował niezwłoczne przeprowadzenie referendum przez Związek, bez uprzedniego zwracania się o to do Sejmu, natomiast w ogóle nie proponował posłużenia się groźbą bojkotu. Projekt ten został odrzucony.

Uchwała w sprawie samorządu pracowniczego dość powszechnie uznana została za najważniejszy dokument I-jej część: Zjazdu, za ważne ostrzeżenie pod adresem Sejmu. K. Modzelewski, jak przyszłość pokazała, słusznie stwierdził, że "żądanie referendum, wyrażone w imieniu 10 milionów związkowców musi wstrzymać uchwalenie rządowego projektu ustawy. Co prawda, władze nie zgodzą się na referendum, ale też nie będą mogły podtrzymać swojego projektu, bo byłoby to jawnym potwierdzeniem, że nie dopuszcza się do głosu społeczeństwa<sup>xxx</sup>".

Podobnie J. Kuroń uznał wezwanie do referendum za tak poważne, że "być może pozwolił nam ono uniknąć konfrontacji<sup>xxxx</sup>". Podkreślił też równocześnie znaczenie referendum, jako formy demokracji bezpośredniej, którą w Solidarności należy się posługiwać, ale nie nadużywać jej.

Posłowie debatujący nad projektami ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie pracowniczym znaleźli się w pierwszej połowie września w sytuacji trudnej - między dyrektywą III Plenum KC PZPR a uchwałą Zjazdu Solidarności.

Na wspólnym posiedzeniu Sejmowych Komisji Prac Ustawodawczych oraz Komisji Planu, Budżetu i Finansów, gdzie (11 września) przeniosła się dyskusja nad projektem omawianych ustaw, można było obserwować posłów w stanie niezwykłego zdenerwowania. Wielu uznało uchwałę Zjazdu Solidarności za "churząjącą", "szokującą" lub co najmniej "zadziwiająca". Niektórzy mówili o postawieniu ich "pod pręgierz", inni - o "próbie wymuszenia". Reakcje te nie powinny dziwić, posłowie pracowali dotąd bez żadnej kontroli, a tym bardziej bez presji społecznej. Reprezentujący Chrześcijańsko-Społeczne Koło Poselskie poseł St. Roztworowski starał się jednak przekonać kolegów, że powinni przyzwyczoić się do krytyki. Także poseł W. Michna uznał, że "mimo zgrzytu" Sejm nie powinien rezygnować ze swej roli jednoczenia opinii i społeczeństwa".

<sup>x</sup> Cyt. według diariusza zjazdowego zamieszczonego w "Tygodniku Solidarność" nr 25/1981 r.

<sup>xx</sup> Ibidem.

<sup>xxx</sup> Pnr. Jacek Kuroń - Szansa. "Głos Wolny" nr 6/1981

Uchwała Zjazdu Solidarności spowodowała pewną polaryzację posłów polskich. Jedno skrzydło stanowili najściślej związani z aparatem partyjnym posłowie PZPR; występowali oni najostrzej przeciw Solidarności, bądź domagali się (K. Łobuś) od Sejmu krytycznego ustosunkowania się do uchwały, bądź jak pos. Dąbek, wprost wystąpili przeciw porozumieniom gdańskim i proponowali przerwanie dalszej rozmowy z grupą Solidarności w Sejmie, gdyż "jest ona przecież związana uchwałą Zjazdu". Byli i tacy, jak K. Rokoszcwski, którzy z zarzutami (15.9.1981) Solidarności dążenie do przejęcia władzy. Drugie jednak skrzydło tworzyła spora część posłów, rekrutujących się zwłaszcza ze "stronnictw sojusznicznych", wśród których widoczne było dążenie do kompromisu. Niektórzy z nich, jak pos. J. Kijowski i posełanka Banasiak - w zasedniczej sprawie niniejszej dyrektora przedsiębiorstwa - stanęli wreszcie na stanowisku Solidarności, inni, jak przewodniczący obu Komisji W. Zakrzewski i Z. Gertych jeszcze nie stracili nadziei na możliwość porozumienia i rozwiązania kompromisowego.

W rzeczywistości swoboda manewru między "uchwałą gdańską" - jak ją nazywali posłowie - a uchwałą KC PZPR była niezwykle ograniczona. Zespół Solidarności nie rezygnował jednak z dalszych rozmów. Na posiedzeniu obu komisji (12 września), wobec zbliżania się terminu plenarnego posiedzenia Sejmu, Zespół nasz domagał się, aby w sprawach niezgodzonych zapisać w projektach ustaw rozwiązania wariantowe - do decyzji Sejmu. Równocześnie, podtrzymując zdanie, iż dyrektora powinna wybrać rada pracownicza, zespół zaproponował przyswolenie organowi załogowemu prawa "umotywowanego sprzeciwu". W połowie września (15.9.) na posiedzeniu podłączonych Komisji, na które nie zaproszono delegacji Solidarności, żywo, choć bezплоćnie dyskutowano nad wieloma proponowanymi przez posłów, bądź przedstawicieli Związków Autonomicznych i Związku Nauczycielstwa Polskiego rozwiązaniami "najbardziej neuwrażliwego problemu dyrektorskiego". Ostatecznie stanęło na pierwotnym projekcie rządowym, zgodnym z uchwałą III Plenum KC PZPR. Ta wersja, jako ostateczna, miała więc zostać przedłożona Sejmowi do uchwalenia na jego plenarnym posiedzeniu w dniu 24 września. Sprawa wydawała się więc definitywnie przesądzona na niekorzyść Solidarności i samorządu. Jednakże z inicjatywy posła Z. Gertycha, który Gilowi zaproponował jeszcze jedno spotkanie, w dniu 8 września rozpoczęła się nowa faza rozmów, tym razem wyłącznie dwustronnych, rzeczywicie negocjacyjnych.

Trudno przesądzać, jakimi motywami kierowali się posłowie, nawiązując ponownie kontakty z grupą Solidarności. Może szukali rzeczywicie kompromisu, który by uwzględnił nastroje społeczne. Takim wyrozumiałym politykom i negocjatorom, jak posłowie Gertych, Czeszejko-Sóchecki i Łopatka, mogło jednak zależeć także na wyrażeniu opinii publicznej, że kompromis nie był ostateczny z winy "pracy do władzy Solidarności". Bez względu na rzeczywiste intencje posłów, grupa negocjacyjna Solidarności postanowiła nie uchylać się od rozmów i na ręce posła Gertycha złożyła (w dniu 18 września) podpisany przez M. Gila list, precyzujący jej ogólne stanowisko. Oto jego fragmenty:

"W związku z zakończeniem prac Komisji Sejmowych nad rządowymi projektami ustaw o przedsiębiorstwach państwowych i o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego stwierdzamy, że przedstawione Sejmowi PRL do uchwalenia projekty ustaw, w kluczowych sprawach, nie spełniają oczekiwań społecznych, wyrażonych przez nasz Związek, a także nie spełniają podstawowych wymogów samorządowej reformy gospodarczej (...).

Nie uwzględnione zostały mianowicie następujące nasze podstawowe postulaty:

1. Sprawy samorządu i przedsiębiorstwa ujęte powinny być w ramach jednej ustawy o przedsiębiorstwie społecznym, uwzględniającej projekt Sieci Organizacji Zakładowych NSZZ Solidarności wiodących zakładów pracy.
2. Naczelnymi organami zarządzającymi w przedsiębiorstwie powinny być ogólne zebranie pracowników (delegatów) i rada pracownicza, a referendum winno

być najwyższą formą wyrażenia woli załogi.

3. O powołaniu i odwołaniu dyrektora przedsiębiorstwa i o składzie komisji konkursowej wybierającej kandydaturę na dyrektora winno decydować rada pracownicza.

4. Tworzenie zresztą winno być dobrowolne.

5. Na straży godziwych interesów gospodarki narodowej i istotnych interesów ogólnospołecznych stać powinno prawo, a nie pozaprawne, arbitralne decyzje organów administracji państwowej i organów przedsiębiorstwa.

6. Przepisy ustaw, a zwłaszcza przepisy o wykonywaniu zadań związanych z umowami międzynarodowymi i obronnością kraju (w przedsiębiorstwach poza MGN) nie mogą niweczyć zasad samodzielności, samorządności i samostanowienia przedsiębiorstwa.

Nie uwzględnienie powyższych postulatów, mające swe odbicie również w sąsiedziowych przepisach obydwu ustaw powoduje, że samorząd pracowniczy przedsiębiorstwa, utworzony na podstawie takich ustaw byłby nieautonomiczny, a samodzielność przedsiębiorstw - istotnie ograniczona\*.

List zastępczy pos. Gertycha. Padł on ofiarą taktyki min. Boki i posła Łopacki, którzy w oświadczeniach dla prasy starali się od początku minimalizować różnice stanowisk, dowodząc, że w pracach podkomisji uzyskano dość blisko idącą zbliżność poglądów. W ich relacjach nie uzgodniono tylko dwóch spraw, tj. podmiotu powołującego i odwołującego dyrektora oraz składu komisji konkursowej. W prowadzonych ponownie rozmowach po przekazaniu listu, przedstawicieli Solidarności, obarczając odpowiedzialnością za impas dyskusji, wywały III Plenum KC PZPR, wyjaśnili, które sformułowania projektu ustawy wymagają nowej redakcji. W szczególności podkreślili niedopuszczalność odswierzenia koncepcji KSR-owskiej w określeniu składu komisji konkursowej. Jeśli bowiem organy samorządu mają stanowić instytucję niezależną od organizacji społecznych, politycznych i administracji, wyłonioną w drodze wyborów przez całą załogę, to komisja konkursowa nie może składać się z ludzi delegowanych przez te organizacje (jak to miało miejsce w KSR-ach). Powinna one być powołwana przez jedynego przedstawiciela całej załogi, jakim jest rada pracownicza, z ewentualnym udziałem przedstawicieli organu założycielskiego i banku.

W konkluzji tego spotkanie ustalono, że Zespół Solidarności złoży 21 września (tj. w dniu drugiego spotkania) szczegółowe propozycje wariantowych zapisów wszystkich kontrowersyjnych artykułów obu ustaw. Ten postulat poselski korespondował z propozycją, wysuniętą na posiedzeniu V Zespołu programowego Solidarności, jednego z 13 zespołów wyznaczonych do przygotowania projektu programu Solidarności do dyskusji na II-jej części jej Zjazdu.

W rezultacie grupa negocjacyjna Solidarności sformułowała 21 przepisów wariantowych do projektu ustawy o przedsiębiorstwach, 5 - do ustawy o samorządzie pracowniczym bez nadziei, zresztą, na uzgodnienie wszystkich poprawek. Oznaczałoby to bowiem, jak to postawie na wstępie spotkania określili, opracowanie na nowo innych, a ściślej mówiąc - innej ustawy, gdyż grupa broniła swej koncepcji w tej sprawie. Postawie zaproponowali skoncentrowanie dyskusji na najważniejszych według uznania Solidarności, sprawach. Zespół Solidarności stanął przed bardzo trudnym wyborem. Można było zerwać rozmowy, dając negocjatorom sejmowym szansę przerwania odpowiedzialności za fiasko rozmów na Solidarności, a Sejmowi - otwierając drogę do uchwalenia ustaw w duchu i brzmieniu uchwały III Plenum KC PZPR przy najmniej w punktach decydujących o obliczu samorządności pracowniczej. W tym kierunku zmierzali i wywierali nacisk na Zespół przedstawiciele Grupy Łubelskiej, mnożąc różnorodne i wybiegające daleko poza projekt Sieci, postulaty\*.

\* Dla przykładu, w dniu 16 września Z. Kowalewski, H. Szlajfer i J. Dyrer,

Można było jednak także podjąć próbę znalezienia innej drogi - rzeczywistego i korzystnego dla samorządu kompromisu, zwłaszcza, że - jak skrzynnie to podkreśla J. Holzer - "uchwała zjazdowa w sprawie samorządu pracowniczego po. zastawiła wiele miejsca dla pertraktacji i postąpiła antykompromisowo". Te próby wybrała grupa Solidarności. Urzędnijac osiągnięty już postępek w sformułowaniu przepisów obu ustaw, postanowiła w dalszych rozmowach skoncentrować wysiłki, aby skłonić Sejm do odejścia od linii III Plenum w kwestii, która zarówno partia, jak i Solidarność uznały za determinującą dla zmian w systemie ekonomicznym i politycznym. Szło o nomenklaturę.

Początkowo podłowi, za pomącą kosmetycznych poprawek, usiłowali ułagwić ekscypację dyrektury III Plenum, przyznając prawo powoływania i odwoływania dyrektora organowi założycielskiemu, przy równoczesnym upoważnieniu go do ewentualnego przywoływania tego uprawnienia - wadliwym - określoną radzie pracowniczej. Odtąd postawie zaproponowali "zobowiązanie" tego przepisu przez zobowiązanie Rady Ministrów do wskazania z góry takich przedsiębiorstw, w których dyrektora będzie mianował organ założycielski oraz takich, gdzie uprawnienie to przypadnie radzie pracowniczej.

Grupa negocjacyjna Solidarności nie mogła wyrazić zgody na rozwiązanie, które, utrzymując polityczną treść uchwały III Plenum, zmieniło tylko techniczny tryb jej realizacji. Domagała się więc stanowczo, aby przyjęto, jako dominujące - rozwiązanie samorządowe, w myśl którego podmiotem i. cze w dziedzinie wyboru dyrektora, jest rada pracownicza. W minimalnej zaś liczbie przedsiębiorstw "o podstawowym znaczeniu", których lista została wyznaczona ze związkiem zawodowym, podmiotem tym stałby się organ założycielski. Ostatecznie, po wielogodzinnej dyskusji (ok. 1-ej w nocy) ten postulat grupy negocjacyjnej został przyjęty i zapisany w następującym brzmieniu:

1. - Dyrektora przedsiębiorstwa państwowego powołuje i odwołuje Rada Pracownicza przedsiębiorstwa bądź organ założycielski. W stosunku do decyzji powołującej lub odwołującej; dyrektorowi organom wyżej wymienionym przysuguje wzajemne prawo do zgłoszenia umotywowanego sprzeciwu w terminie nieprzekraczającym dwóch tygodni.
2. - Rada Ministrów w porozumieniu ze związkami zawodowymi ustala listę przedsiębiorstw o podstawowym znaczeniu, w których w myśl ust. 1 dyrektora powołuje i odwołuje organ założycielski.
3. - W przedsiębiorstwach użyteczności publicznej dyktora powołuje i odwołuje organ założycielski na zasadach określonych w ust. 1.
4. - W przypadku nieuwzględnienia sprzeciwu, organowi który go wniosł przysuguje prawo zwrócić się o rozstrzygnięcie do sądu. Orzeczenie sądu jest ostateczne.

Na spotkaniu tym uzyskano także zapis w sprawie referendum, na którym zależoło bardzo przedstawicielom Sieci: "Założe może wypowiedać się w istotnych sprawach przedsiębiorstwa w formie referendum".

W tym samym dniu 22 września, około południa, Gil i Jakubowicz zreferowali wyniki negocjacji na prezydium KKP w Gdańsku, które ww. formułą kompromisową przyjęło, decydując się przedstawić ją z zaleceniem zatwier-

wystupując tym razem jako grupa redakcyjna poprawek projektów ustaw, rzekomo z upoważnieniem wspomnianego V Zespołu Programowego, zażądała od zespołu negocjacyjnego przedłożenia Sejmowi jako "stanowiące Związku" m.in. postulatów wprowadzenia do projektu ustawy o przedsiębiorstwach zupełnie nowego rozdziału o "spółkach przedsiębiorstw państwowych", a także wysunięcia niewykonalnego wymogu, aby "zjednoczenie przedsiębiorstw podlegały zniesieniu w momencie uchwalenia ustawy".



dzenia przez delegatów w czasie II-jej tury Zjazdu. W zebraniu prezydium wzięli udział czterej (tylko) jego członkowie: Lech Wałęsa, Tadeusz Jędrnak, Jan Rulewski, Stanisław Wądołowski, a poza tym sekretarz A. Celiński oraz J. Kłys, P. Kosmowski, J. Kuroń, J. Nowak i A. Wielowieyski.

Przedstawiciele grupy negocjacyjnej zalecali przyjęcie kompromisu. Gil wyjaśniał, jak szeroki zakres władzy samorządu w przedsiębiorstwie jest przewidziany w tekście ustaw i podkreślał ich nowatorski charakter. Jakubowicz zaś dodał, że szansa uchwalenia ustaw przez Sejm w tym kompromisowym brzmieniu jest mała, gdyż odbiegają w zasadniczy sposób od uchwał III Plenum, tym niemniej poparcie tych projektów przez Prezydium KKP będzie politycznie korzystne, stawiając Związek w dobrym świetle, a zarazem fakt ten powinien stanowić zachętę dla bardziej demokratycznie nastrojonych sił w Sejmie.

W dyskusji na Prezydium ujawniły się poważne różnice zdań. Wałęsa poparł zapis kompromisowy w pełnej świadomości, że może on wywołać ostrą reakcję pewnej części delegatów na Zjeździe. Uważał jednak, co wyraził w rozmowie z Gilem i z mną, że nie należy ryzykować konfrontacji "w sprawie - jak się wyraził - killanastu dyrektorów". Na posiedzeniu Prezydium mówił, że nie należy wspominać o Związku jako gwarancji rozwoju samorządu. Nawet po przyjęciu ustawy Związek może upominać się dalej o samorząd. To nie jest rok 1956. Należy iść na kompromis i uzyskać coś konkretnego<sup>x</sup>.

Kompromisu bronił także Wądołowski, który dowodził, że nie można było spodziewać się zgody rządu i Sejmu na wszystkie postulaty Solidarności. Zasadnicza kontrowersja wystąpiła między Komowskim, przewodniczącym regionu Podbeskidzie a Jędnakiem z Zarządu regionu Śląskiego. Gdy ten pierwszy stanowczo występował przeciw kompromisowi, twierdząc, że "ludzie są gotowi na wszystko". Jędnak był za kompromisem, oceniając przeciwnie, że załogi nie będą strajkować o samorząd. Poparł go Wielowieyski, powołując się na przeprowadzoną ostatnio sondaż socjologiczną, według których 60% ankietowanych jest zdania, że w konflikcie powinny ustąpić obie strony<sup>xx</sup>.

Zo kompromisem wypowiedział się także Kuroń, wysuwając argument korzystniejszego zwrócenia frontu walki. Uznał on mianowicie, iż w razie uchwalenia ustaw przez sejm w kompromisowym brzmieniu, co jest - według niego - mało prawdopodobne, konflikt przeniesie się na pewną liczbę przedsiębiorstw, które rząd chciałby uznać za mające podstawowe znaczenie dla gospodarki". Przeciw kompromisowi oponował zaś Rulewski (który nie tak dawno wyrażał lekceważenie dla koncepcji samorządu pracowniczego), uznając, że przed Związkiem stoją także inne cele, niż mianowanie dyrektorów. Poza tym uważał, że Prezydium jest związane uchwałą Zjazdu, a kompromis nie daje gwarancji zgodności z oczekiwaniami społecznymi.

W warunkach takiej rozbieżności zdań, prowadzący zebranie Celiński, uznając, że ostateczną instancją może być w tym sporze tylko Zjazd, prosił o rozstrzygnięcie przez głosowanie czy Prezydium decyduje się przedstawić Zjazdowi i bronić przed nim formuły kompromisowej. Stosunkiem głosów 3:1 postanowiło to uczynić.

<sup>x</sup> Por. AS nr 39

<sup>xx</sup> Wielowieyskiemu szło prawdopodobnie o przeprowadzone w czerwcu badania ankietowe Ośrodka Badań Społecznych Regionu Mazowsze, według których 68% respondentów domagało się od Solidarności zabezpieczenia załóg przeciw takim ewentualnym skutkom reformy gospodarczej, jak bezrobocie, 39% zaś nawoływało ją do walki o możliwie największy wpływ samorządów na dobór dyrektorów.

Tego samego dnia wieczorem grupa negocjacyjna odbyła trzecie i ostatnie spotkanie w ramach III fazy rozmów z przedstawicielami Sejmu. Tym razem, oprócz wymienionych wcześniej posłów, wzięli udział w rozmowie pos. J. Bukowski i marszałek sejmu - St. Gucwa.

Podobnie, jak grupa negocjacyjna Solidarności, tak i posłowie zastrzegali się na poprzednim spotkaniu, że muszą uzyskać zgodę na formułę kompromisową w "wyższej instancji", nie precyzując o jaką instancję wyższą od Sejmu tu idzie. Zważywszy, że byli to posłowie partyjni, szło im prawdopodobnie o zgodę ze strony członka Biura Politycznego, a zarazem przewodniczącego Poselskiego Klubu PZPR - K. Barcikowskiego. Faktem jest, że na spotkaniu 22 września, po wielu próbach odkształcenia jej w kierunku znanych dyrektorów, posłowie wyrazili ostatecznie zgodę na formułę kompromisową. Przeciwstawili się natomiast stanowczo próbie przeforsowania zapisu Solidarności w sprawie powoływania komisji konkursowej w składzie ustalonym przez radę pracowniczą. Ostatecznie uzgodniono, że w skład tej komisji będą wchodzić trzej przedstawiciele rady pracowniczej i po jednym przedstawicielu organizacji społeczno-politycznych działających w przedsiębiorstwie, organu założycielskiego i banku.

W sprawie zreszeń udało się skłonić posłów jedynie do podkreślenia w ustawie, iż tworzenie zreszeń obowiązkowych będzie miało charakter wyjątkowy.

W ten sposób zakończyła się III faza dyskusji sejmowych nad projektami ustaw o przedsiębiorstwie państwowym i samorządzie pracowniczym z udziałem przedstawicieli Solidarności. Następna, IV faza miała już przebieg czysto wewnętrzny, a rozpoczęła się następnego dnia, czyli 24 września. Z dramatycznym przebiegiem tej fazy zapoznają obszernie fragmenty relacji Barbary Mathes, przytoczone poniżej (własne uwagi podaje w przypisach).

### Samorządu historia najnowsza - CO SIĘ ZDARZYŁO W SEJMIE<sup>XX</sup>

"W przeddzień Sejmu, odbywa się posiedzenie Klubu Poselskiego PZPR. Uczestniczą w nim, jak to bywa w zwyczaju, także posłowie bezpartyjni. Przemówienie wygłasza poseł referent Adam Łopalka. Nic nie wspomina na rzucie o propozycji korekt. Kazimierz Barcikowski - przewodniczący klubu mówi o ogólnej sytuacji kraju. I wreszcie po przerwie propozycja... poprawek w punkcie 2 art. 34. Chodzi wciąż o punkt precyzujący sposób ustalania listy przedsiębiorstw, w których dyrektora powołuje organ założycielski. Poprawki brzmią: nie "w porozumieniu" (czyli już nie mówi się o "uzgodnieniu") a "po konsultacji" ze związkami zawodowymi<sup>XX</sup>. Druga zmiana w tym samym zdaniu: "Rada Ministrów ustali w drodze rozporządzenia listę przedsiębiorstw o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej" - proponuje się skreślić słowa "o podstawowym znaczeniu". A więc rząd po konsultacji ze związkami (która to konsultacja do niczego nie zobowiązuje), może ustalić dowolną listę przedsiębiorstw, w których dyrektora powołuje minister. Będzie można objąć tą listą nawet mleczarnie...

To spowodowało całą rewoltę - jak powiedział jeden z posłów. Już na posiedzeniu klubu, czterech mówców wyraziło bądę

Por. "Trybuna Samorządu Robotniczego" nr 20/1981 r.

<sup>XX</sup> Jest interesujące, że w czasie trzeciego spotkania z zespołem negocjacyjnym Solidarności przedstawiciele Sejmu proponowali te same zmiany. Wynika stąd, że była to dyrektywa "instancji nadrzędnej", o której mówił posełowie.

to wątpliwości czy można zmieniać już uzgodniony tekst, bądź wręcz sprzeciw wobec poprawek. Wieść o propozycji korekt, o sprzeciwach rozchodził się błyskawicznie.

Nazajutrz, w czwartek, 24 września o godzinie 8 rano, a więc na dwie godziny przed rozpoczęciem obrad Sejmu zebrały się połączone komisje: Planu, Budżetu i Finansów i Prac Ustawodawczych. Rozpoczęła się dramatyczna dyskusja. Większość posłów sprzeciwia się dokonywaniu jednostronnych zmian. Kilku mówi jednak o dyscyplinie partyjnej, o próbie sił. Tymczasem Klub Posłów SD w całości zajmuje negatywne stanowisko wobec propozycji poprawek. Także duża część posłów ZSL, to samo w PAX-ie i dąpno "Gnaju", czyli PZKS-ie. W międzyczasie zbiera się grupa posłów bezpartyjnych pod przewodnictwem posła Haliny Skibniewskiej. Wówczas to wystąpił poseł Karol Małcużyński i uprzedził, że jeśli nastąpi próba przeforsowania ustaw z naniesionymi poprawkami, wtedy przed debatą złoży wniosek o przeniesienie tego punktu obrad na inny termin, lub o głosowaniu za ustawami bez zaproponowanych przez posła Łopatkę poprawek. Uchwalenie ustaw z poprawkami podważyłoby bowiem wiarygodność niezależnego Sejmu, który w ostatnim czasie tak o nią walczył. A poza tym daje się w ten sposób emincję najbardziej radykalnym delegatom, tuż przed drugą turą Zjazdu Solidarności. Większość posłów zgodziła się z propozycją Karola Małcużyńskiego. I znów w kuluarach rozchodzi się wieść o wniosku, jaki zamierza on złożyć. Wielu posłów twierdziło, że poprzę ten wniosek. Jedni obliczają, że tak postawiło sprawę około 150 posłów, inni twierdzą, że więcej. Istniała więc realna groźba rozbitcia jednolici Sejmu. Trudno powiedzieć, jak zamierzali głosować poszczególni posłowie z Klubu PZPR, który to klub ma w Sejmie bezwzględną większość.

W tej atmosferze o godzinie 10-tej rozpoczyna się sesja. Po przemówieniu premiera marszałek Sejmu zarządza 3,5 godzinne przerwę, a więc niesłychanie długą jak na sejmowe zwyczaje. Marszałek zapowiedział, też, że w przerwie zbiorą się komisje planu, budżetu, finansów i prac ustawodawczych. Zebrał się także nie zapowiedziany wcześniej konwent seniorów. W czasie dyskusji większość stwierdziła, że wstrzyma się lub będzie głosować przeciw poprawkom, że nie wolno naruszać rez podpisanych porozumień. Czy jest to gra warta świeczki? - mówiono. Wówczas to - po dodatkowych konsultacjach już poza Sejmem<sup>x</sup> stwierdzono, że forsowanie owych poprawek nie ma sensu. Za ich cenę zapłaciło by się rozłamek. Kiedy znów zebrały się komisje, posłowie głosowali (przy jednym głosie wstrzymującym się) za ustawami bez proponowanych poprawek.

I wreszcie nastąpił epilog. Wznowiono plenarne obrady Sejmu. Pod głosowanie poddano projekty uchwał - bez poprawek. Sejm uchwalił je jednogłośnie. Nikt nie wstrzymał się od głosu, nikt nie był przeciw. Oklaski - mówi jeden z posłów - był to zupełnie spontaniczny akt radości, że udało nam się jeszcze raz dojść do porozumienia. Jakie będą dalsze losy owych ustaw, jaki będzie kształt samorządu, pokaże życie".

<sup>x</sup> Na podstawie rozmowy z posłem Karolem Małcużyńskim, autorowi wiadomo, że w sprawie tej u I Sekretarza KC PZPR St. Kani interweniowali przewodniczący Klubu Poselskiego PZPR K. Barcikowski i wicemarszałek Sejmu A. Werbian. Kania zgodził się na kompromis po długich wahaniach, w obliczu wyderzeń groźących wypowiedzeniem posuszeństwa przez znaczną część posłów

W szerokich kręgach społeczeństwa nękanych trudnościami gospodarczymi i zmęczonymi trwającymi od wielu miesięcy napięciami, kompromis przyjął z ulgą i zadowoleniem. Reakcje Związku były natomiast bardziej zróżnicowane, co uwidoczniło się w obradach Zjazdu. Fakt, że II tura Zjazdu rozpoczęła się 26 września, a więc następnego dnia po uchwaleniu przez Sejm ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie, zaciąży wyraźnie na przebiegu dyskusji, podobnie zresztą jak to, że I tura miała miejsce bezpośrednio po III Plenum KC PZPR. Zjazd został w ten sposób wciągnięty w operacyjne działania w sposób znacznie silniejszy, niż należałoby sobie tego życzyć z uwagi na jego zadania programowe. Trudno orzec, na ile było to konsekwencją umyślnego działania władz. Pamiętać jednak warto, że odrzucono została sugestia grupy negocjacyjnej Solidarności, aby datę plenarnego posiedzenia Sejmu, mającego uchylać omawiane ustawy, przesunąć na październik celem umożliwienia uczestnikom Zjazdu zajęcia stanowiska w sprawie osiągniętego w komisjach sejmowych kompromisu. Przypomnijmy nawiasem, że pewne posunięcia rządu, dokonane bezpośrednio przed Zjazdem i w czasie jego obrad - jak podwyżka cen papierosów bez porozumienia ze Związkiem lub ogłoszenie komunikatu o nieodnalezieniu winnych prowokacji bydgoskiej (z marca 1981 r.) - zmierzały jawnie do wywołania wzburzenia obradujących i wsparcia procesu radykalizacji nastrojów.

W pełnej śpięć debacie na temat samorządu wyróżnić można dwa ściśle ze sobą splecione nurty: w pierwszym - sprawą wiodącą były mechanizmy podejmowania decyzji w łonie Związku, czyli konkretnie odpowiedź na pytanie czy prezydium KKP wyrażając zgodę na kompromis, miało do tego prawo w świetle uchwały w sprawie samorządu podjętej w czasie I tury Zjazdu, czy też pogwałciło demokrację związkową. W tym nurcie mieściła się również dyskusja na temat roli ekspertów Związku, przeradzająca się nierazko w niewybredne na nich ataki. Ten wątek tematyczny, budzący silne emocje, przeważał nad dyskusją merytoryczną, oddziałując niekorzystnie na tok obrad, dotyczących już bezpośrednio oceny kompromisu.

Gazeta zjazdowa na bieżąco tak scharakteryzowała pierwszy nurt dyskusji:

"Dyskusja w drugim dniu Zjazdu nadal - podobnie jak w pierwszym dniu - koncentrowała się wokół decyzji Prezydium KKP w sprawie samorządu. Chodziło m.in. o to, że ważne decyzje podejmowało wąskie grono osób - członków prezydium i ekspertów. Grono to podjęło decyzję kompromisową - i dobrze się stało, gdyż w obecnej sytuacji odpowiedzialne prowadzenie polityki wymaga właśnie zawierania mądrych kompromisów. Związek - podobnie jak chyba wszystkie ludzkie w naszym kraju - dąży do zawierania takich kompromisów - tym bardziej, że sprawa samorządu została uprzednio uzyczlona głównym polem walki między partijną władzą a Związkiem, co nie było dla Związku korzystne. Nie jest przypadkiem, że w dyskusji padły głosy, porównujące całą sprawę do sprawy bydgoskiej. Podobnie jak wtedy - w krytycznej sytuacji zawarto sensowny przecież kompromis (...). Jak do tej pory we wszystkich momentach Związek siedzi w dobrym kierunku, zawierał mądre kompromisy (co się dopiero później okazało). Ale chodzi o to, by tryb podejmowania decyzji był jawny i kontrolowany przez związkowców, aby już nigdy nie mogły paść oskarżenia o "zakulisowe rozgrywki". (...) Dlatego centralnym punktem dyskusji była sprawa podmiotowości Związku, jego władz statutowych i wszystkich członków"<sup>22</sup>.

<sup>22</sup> Por. Urszula Doroszewska - Po dyskusji, "Głos Wolny", nr 14 z 28 września 1981 r.

Wielu z nich, jak i ja, nie rozumiało kapitulacji, a bezczyna w sprawie, gdy członkowie Związku zastrajkowali się przeciwadowymi w jego obrębie prawami i interesami. To stanowiło błąd polityczny i błędny wyrachunek w polu pracy. Wskazywał się na szkodliwie nieufni nawet wobec własnych władz (i ich doradców), dopatrując się manipulacji i lekceważenia także wtedy, gdy wystąpiła dyslokacja ilościowośćmi konieczność dzielenia natchmiastowego bez szczególnych konsultacji - jak w przypadku porozumienia warszawskiego czy kompromisu sejmowego.

Charakterystyczne dla nurtu pierwszego dyskusji będą przytoczone za dziennikiem zjazdowym trzy krótkie wypowiedzi:

Seweryn Jurewski: - Tak mała grupka nie ma prawa brać na siebie odpowiedzialności za związek.

Andrzej Czerwinski: - To oświadczenie Prezydium KKP był to jeszcze jeden głos ludzi, którzy zamiast być reprezentantami, dyskutującymi ponad głowami swoich członków, myśląc, że mają zaufanie i mogą je doży traktować instrumentalnie.

Janusz Onyszczyk: - Nie ma sprzeczności między uchwałą Zjazdu, a oświadczeniem Prezydium - miało ono prawo sforszować własną ocenę ustawy i zarekomendować ją Zjazdowi, tak jak Zjazd ma prawo propozycję zaakceptować lub odrzucić.\*

Skrajnie różne były również opinie w drugim, merytorycznym nurcie dyskusji zjazdowej na tematy samorządowe. Zderzały się w niej zarówno odmienne oceny osiągniętego kompromisu, jak i przeciwstawne propozycje stanowiska, które powinnieli zająć Zjazd wobec przyjętych przez Sejm ustaw.

Dla oceny kompromisu dyskutanci posługiwali się dwoma zasadniczymi, ale niekoniecznie zbieżnymi kryteriami:

- 1/ jego użytecznością dla globalnej strategii Związku (tak, jak tę strategię pojmowała część działaczy),
- 2/ jego przydatnością z węższego punktu widzenia - rozwoju samorządu pracowniczego.

Spśród dyskutantów uwzględniających w krytyce kompromisu oba wyżej sprecyzowane kryteria chyba najbardziej charakterystyczna i pełna jest wypowiedź Rulewskiego:

"Byłem przeciwny temu kompromisowi, który w moich oczach, oznacza klęskę Związku. Jest co najmniej kilka uzasadnień dla takiego stanowiska. Zasadnicze - to strategia Związku. Solidarność ustalając hierarchię swych celów uznaje, że na bazie spraw gospodarczych uda się wprowadzić szereg innych postulatów, dotyczących np.: dostępu do środków masowego przekazu, więźniów politycznych czy cenzury (...). Żelazki przygotowywały się do referendum. Związek zrezygnował z walki strajkowej na rzecz odwołania się opinii społecznej (...). Zasada, że będziemy walczyli o samorząd nie strajkami, które pozostają jako broń zapasowa, a właśnie przy pomocy referendum. Taka możliwość obecnie nie istnieje".

Z punktu widzenia znaczenia kompromisu dla rozwoju samorządu pracowniczego Rulewski uważał, że: "nie uzyskaliśmy tego, czego chcieliśmy, ale uzyskaliśmy dużo i będziemy oczywiście walczyć o pełną realizację naszych postulatów (...). Najważniejsze jest to, czy konsekwentnie zostaną wykorzystane dobrodziejstwa tej ustawy, bo zauważymy - ona jest dwulicowa. Tylko o sily Związku i sily samorządu będzie zależeć jako będzie realizacja jej zapisów. Samo referendum nic nie zmienia<sup>xxx</sup>".

\* Wszystkie trzy wypowiedzi na podstawie: "Głos Wolny" nr 14/1981 r.

xxx Por. Gdzie są negocjacje - musi być kompromis. Rozmowa z udziałem Teofiusza Jedynaka, Jana Rulewskiego i Stanisława Wądołowskiego. "Głos Wolny" nr 13 z 27 września 1981 r.

Wróćmy jednak do sprawy dla Rulewskiego najważniejszej, to jest do jego wizji strategii Związku. Obrzuca jej jego wypowiedź: "... Związek organizuje się - ten prawie dyktatorski feudalny sposób nie po to, aby chłodzić na kompromisy, tylko żeby tym wielkim młotkiem rozbijać potężny dzban totalitaryzmu w naszym kraju, a nie zwać tego na barki małych, średnich, czy nawet wielkich zakładów".

Tę "strategii małych" przeciwstawił Wałęsa na Zjeździe, w kontekście debaty nad kompromisem, strategią "małych kroków". "Nie sztuka uchylać się, sztuka podejmować decyzje, populärne i nie. Mogłem się uchylić od decyzji, bo miałem uchwałę Płk i czeka. Czekać na trzęsienie ziemi. Albo iść małym krokiem i zobaczyć co z tego będzie. Musimy wreszcie się określić, posadzić się w tej Polsce, jaka jest dzisiaj. Proponuję przy tutaj rozwiać Sejm i rząd. Na to się nie godzę, bo na ich miejscu przyjdzie jeszcze gorzszy totalitaryzm (...).

Dzisiaj jest faktem, że samorząd będzie wszędzie i że dyrektor nie będzie bez nas powołany. A nawet jeśli dziesięciu dyrektorów nam nie dadzą, to o dziesięciu dyrektorów nie będę ryzykował tego, co my dzisiaj mamy (...).

Musimy zabezpieczyć się przed nami samymi, abyśmy nie mogli popełnić błędów. Krzyczą "dyktatura", a uchylają się od odpowiedzialności. Mogli przyjechać (na Prezydium), wiedzieli. Ja też mogłem się uchylić, ale co z tego by było. Nie dla siebie budujemy, tylko dla Polski<sup>xxx</sup>.

Oto dwa skrajnie przeciwstawne stanowiska w sprawie strategii Związku - Rulewskiego i Wałęsy. Temat ten podejmali oczywiście także inni działacze. Rozstrzygnięcia globalnego domagał się m.in. Palka, który uznał, że zejście do "walki partyzanckiej", tzn. walki w zakładach pracy jest jak najbardziej niekorzystne, gdyż "społeczeństwo ma dość lokalnych konfliktów"<sup>xxx</sup>. Palka wręcz zakładał konfrontację w sprawie samorządu<sup>xxx</sup>, podobnie jak Rulewski nie mógł więc optować za kompromisem.

Jednoznacznie wyrażone stanowiska Rulewskiego i Palki nasuują jednak wątpliwości. Rulewskiemu konfrontacja była potrzebna, aby rozwiązać nie tylko sprawy samorządu, które nota bene niewiele go w rzeczywistości, jak wemy, interesowały. Była to dla niego gra o wszystko. Trudno tylko zrozumieć w jaki sposób Związek uzyskałby na przykład dostęp do środków masowego przekazu gdyby nawet Sejm uchwalił ustawy w brzmieniu projektu społecznego, a zatem gdyby wyeliminował potrzebę konfrontacji. Zastrzeżenia wyrażają się także przy analizie wypowiedzi Palki. Dążył on, jak deklarował - do konfrontacji, aby uzyskać absolutną satysfakcję dla postulatów Związku w sprawie samorządu.

W jednym i drugim przypadku szło im o "spokojną" formę konfrontacji tzn. referendum, którego celem miało być uzyskanie poparcia społeczeństwa

<sup>x</sup> Por. Dziennik Zjazdowy AS nr 40.

<sup>xx</sup> Por. Dziennik Zjazdowy w "Tygodniku Solidarność" nr 27/1981 r. i AS nr 40.

<sup>xxx</sup> Por. Dziennik Zjazdowy AS nr 40.

<sup>xxxx</sup> W czasie spotkania uczestników "Porozumienia na rzecz reformy" w dniach 4-5 września w Gdańsku podjęto uchwałę, którą Palka miał przedstawić Zjazdowi Solidarności. Zaproponowano w niej trzy pytania do referendum:

"1/ Czy uważasz, że organy samorządu załogi powinny być najwyższymi organami władzy w przedsiębiorstwie?

2/ Czy uważasz, że tylko organy samorządu załogi powinny powoływać i odwoływać dyrektorów?

3/ Czy uważasz, że Związek powinien zdecydowanie bronić prawdziwego samorządu nie cofając się w razie konieczności przed konfrontacją?"

Por. AS nr 37.

dla postulatu netychmiestowej nowelizacji świeżo podjętych przez Sejm ustaw. Skąd brali jednak zwolennicy referendum przekonanie o merytorycznej skuteczności tej broni w takim właśnie aspekcie netychmiastowego jej działania? Wiedza nie posposłowiła co do swego stosunku do referendum żadnych wątpliwości. Ustami posła A. Łopałki stwierdziła ona: Referendum na temat przepisów ustawowych, jeśli będzie gdzieś przeprowadzone, nie może mieć znaczenia prawnego. Ustawa obowiązuje niezależnie od referendum i jego wyników. Tego rodzaju skłaje mogą mieć jedynie to znaczenie, że w przyszłości (podkr. SJ), gdy ewentualnie ustawy miałyby być nowelizowane, będą pewną wskazówką<sup>xx</sup>.

Wielu delegatów miało jednakże - wbrew Rulewskiemu i Palce - poważne wątpliwości w sprawie potrzeby i skuteczności referendum. Wyrzcił je St. Wądołowski: "Gdyby nie było kompromisu, rozpisalibyśmy referendum, a to oznaczałoby votum nieufności dla Sejmu. W obecnej groźnej sytuacji wiemy co to oznacza"<sup>xxx</sup>. Kropkę nad i postawił Andrzej Krajewski, delegat regionu Mazowsze, który poparł decyzję prezydium KKP, zgodną - jego zdaniem - z uchwałą i tury Zjazdu. Przeciwnie, niż Z. Kowalewski, (dla którego tanta uchwała nie straciła swej mocy) Krajewski dowodził, że uchwała z 8 września w sprawie samorządu odegrała już swoją pozytywną rolę, m.in. przez zawartą w niej groźbę referendum. Podważał również ewentualne efekty referendum przeprowadzonego po uchwaleniu ustaw przez Sejm. "W przypadku braku rezultatów (referendum - JS) jedynym rozwiązaniem byłby strajk, który z kolei władze potraktowałyby jako rzeczywiste blokowanie przez Solidarność wdrożenia reformy gospodarczej"<sup>xxx</sup>. Podobną opinię reprezentował T. Jedynek, potwierdzając ją także na Zjeździe: "Negatywną decyzję Sejmu zmienić by można jedynie strajkiem generalnym. Jestem przekonany, że obecnie nie jesteśmy w stanie w tej sprawie porwać związkowców do strajku. W przeciwstawieniu do radykałów, podobną opinię sformułował także Wałęsa, uważając, że "dzisiaj ludzie na sprawy polityczne nie pójdą. Wystarczy spytać Staszka Wądołowskiego, który w Szczecinie zrobił sondę na ten temat. Ludzie są gotowi stanąć za kolejką, za sprawy gospodarcze, a nie za sprawy polityczne".

Tak więc jedni, jak Kosmowski, uważali, że społeczeństwo jest za "zdecydowanymi krokami", kompromisy są więc wręcz szkodliwe. Inni twierdzili, że robotnicy nie będą strajkować za "dyrektorów". Jak było w rzeczywistości?

Pewną wskazówkę mogą stanowić prowadzone w tych miesiącach badania opinii wśród członków Solidarności i szerzej w całym społeczeństwie. Ośrodek Badań Społecznych regionu Mazowsze przeprowadził sondaż wśród członków Związku. Na otwarte pytanie "co powinien zawierać program Związku" respondenci zaliczyli do spraw najważniejszych 1/ sprawę zaopatrzenia i poprawy warunków życia, 2/ dostęp do radia i TV, 3/ sprawy pracownicze, w tym płacowe, 4/ reforma gospodarcza, 5/ sprawy samorządu i wyboru dyrektora. ... odpowiedzi zaś na pytanie zamknięte, co powinno stanowić treść referendum, respondenci - spośród 10 możliwych problemów, na trzecim miejscu postawili sprawę uprawnień samorządu pracowniczego, a na miejscu siódmym - sposób powoływania dyrektorów<sup>xxxx</sup>.

Bardziej bezpośrednią odpowiedź na pytanie czy jesienią 1981 r. Polacy poparli by strajk generalny w obronie samorządu pracowniczego dała wy-

<sup>x</sup> Por. Samorząd - hamulec i interpretacje. Rozmowa "Życia" z prof. A. Łopałką, przewodniczącym sejmowej komisji ds. samorządu pracowniczego. "Życie Warszawy" z dnia 19.11.1981 r.

<sup>xx</sup> Por. Goście są negocjacje - musi być kompromis. "Głos wolny" op.cit.

<sup>xxx</sup> Por. Dziennik zjazdowy. "Tygodnik Solidarność" nr 27 i BIPS, Serwis informacyjny Biura Informacji Prasowej nr 8/1981.

<sup>xxxx</sup> Por. L. Dorn - Badania OBS Mazowsze. Związkowcy o programie Solidarności. "Głos Wolny" nr 14/1981.

niki badań przeprowadzonych w listopadzie 1981 r. przez zespół pracowników naukowych Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Pewnym wskaźnikiem nastrojów społeczeństwa może być jego stosunek do Solidarności: "W 1980 r. przeważało - jak piszą autorzy wyników badań - tendencja do totalnej krytyki istniejących struktur, negocjacji polityki gospodarczej i społecznej rządu, a jednocześnie do niemal bezkrytycznego poparcia dla powstania i działalności NSZZ Solidarność.

W 1981 r. nadal zdecydowana większość społeczeństwa popierała działalność Solidarności, ale poparcie to było już bardziej krytyczne, o czym świadczy wysoki odsetek respondentów obciążających odpowiedzialnością za pogłębiający się kryzys obie strony, tzn. i rząd i Solidarność. Wśród najważniejszych do załatwienia spraw, w kraju, badani wymieniali w 1981 r. na pierwszym miejscu stabilizację bieżącej sytuacji, tj. stabilizację polityczną, szukanie pokojowych rozwiązań, spokój, ład, porządek (36,3% odpowiedzi), 2/ poziom życia (21,5%), 3/ reformę gospodarczą (12,7%), 4/ zmiany społeczno-polityczne (12,7%). Jeśli idzie o stosunek do strajków, to 11,8% respondentów zdecydowanie je popierało, 34,5% - popierało, 33,2% - nie popierało, 14,5% zdecydowanie nie popierało, a 5,9% - nie miało zdania. Większość respondentów opowiadała się zatem przeciw strajkom, chociaż w tych samych mniej więcej proporcjach - sprzeciwiła się planowanemu przez rząd wprowadzeniu zakazu strajków. Przeciw takiemu zakazowi wypowiedziało się bowiem 49% ogółu badanych i 63,4% członków Solidarności, za zakazem zaś 46,2% (ogółem) - 36,4% (członków Solidarności).

W reasumpcji tej części raportu "Polacy'81" jego autorzy stwierdzają "silną skłonność do sprobowania raczej łagodnych form protestu i zdecydowane odrzucenie działań protestu, naruszających porządek prawny".

Wyniki przytoczonych tu badań OBS-Mazowsze i Instytutu Filozofii i Socjologii PAN potwierdzają więc chyba tezę Wałęsy, w myśl której Polacy nie poparliby strajku generalnego w celu zmuszenia Sejmu do uchwalenia Innej ustawy o samorządzie. Rezultaty badań mogą też stanowić wymowny komentarz do cytowanego już twierdzenia Kowalewskiego o istniejącej w tym czasie w Polsce sytuacji "bezpośrednio rewolucyjnej

W próbie oceny debaty zjazdowej na temat samorządu z punktu widzenia kryterium pierwszego, to jest globalnej strategii Związku, można uznać, że większość delegatów, mimo impetu i gwałtowności niektórych ataków na prezydium KKP i ekspertów, przyznała słuszność strategii "małych kroków" Wałęsy. Świadczy o tym przede wszystkim fakt, że spośród 39 delegatów zbierających w tej sprawie głos, 17 delegatów wypowiedziało się za akceptacją kompromisu, 14 - przeciw, a 7 - wstrzymało się od zdecydowanej opinii na ten temat<sup>22</sup>. Pośrednim potwierdzeniem powyższej oceny mogą być także wyniki wyborów na przewodniczącego związku, w których przeciwnicy kompromisu: Jurczyk, Gwiazda i Rulewski zebraли łącznie 45% głosów, a Wałęsa - 55%. Nawet jeśli uznać, że dużą rolę odegrała w tym głosowaniu popularność Wałęsy, to trzeba także przyznać rację Rulewskiemu, który komentując wyniki wyborów, skonstatał: "na tej sali ekstremizmy zostały wycięte"<sup>23</sup>. Dodajmy, że ekstremizmy - tak, ale nie radykalizm większości delegatów.

W drugim merytorycznym temacie dyskusji samorządowej, w którym podstawą oceny ustaw przyjętych przez sejm było kryterium ich użyteczności dla rozwoju samorządu, zarysowały się z kolei trzy stanowiska:

a/ ekstremistyczne, według którego ustawy, jako całkowicie niezgodne ze stanowiskiem Związku, należy po prostu odrzucić. Stanowisko to reprezentowali m.in. P. Kosmowski z Podbeskidzia ("te ustawy można zaakceptować lub odrzucić"), A. Rozpłochowski z Górnego Śląska, J. Snochki z Nysy ("My, jako Zjazd, nie powinniśmy przyjąć do wiadomości tych ustaw, nie powinniśmy sobie wiązać rąk tym, iż Sejm je uchwalił") i J. Prandecki z Pomorza Zachodniego ("oba projekty uchwały zawierają zasadniczy błąd; nie odrzucają ustaw wprost, co może być wykorzystane przez propagandę rządową").



a/ ekstremistyczne, według którego ustawy, jako całkowicie niezgodne ze stanowiskiem Związku, należy po prostu odrzucić. Stanowisko to reprezentowali m.in. P. Kosmowski z Pomorzania ("te ustawy można zaakceptować lub odrzucić"), A. Rozpłochowski z Górnego Śląska, J. Sanocki z Nysy ("My, jako Zjazd, nie powinniśmy przyjąć do wiadomości tych ustaw, nie powinniśmy sobie wiązać rąk tym, iż Sejm je uchwałą") i J. Prondacki z Pomorza Zachodniego ("oba te projekty uchwały zawierają zasadniczy błąd; nie odrzucają ustaw wprost, co może być wykorzystane przez propagandę rządową").

b/ radykalne reprezentowane przez autorów jednego z projektów uchwały II tury Zjazdu w sprawie samorządu pracowniczego - G. Palkę i Z. Kowalewskiego (Łódź) oraz M. Seweryńskiego (Mazowsze). Zgodnie z tym projektem Zjazd nie odrzuca wprawdzie w całości, mimo że Sejm nie uwzględnił stanowiska Związku w wielu sprawach "doniosłej wagi". Zjazd domaga się jednak natychmiastowej nowelizacji tych ustaw z uwzględnieniem wyników referendum, które przeprowadzi Związek,

c/ umiarkowane, reprezentowane przez wielu delegatów w tym przez przedstawicieli 7 zakładów Sieci, obecnych na Zjeździe<sup>x</sup> (...).

Stanowisko Sieci zostało ostatecznie skryształizowane w postaci drugiego projektu uchwały, opracowanego przez A. Krajewskiego (Mazowsze). I ten projekt krytycznie ocenia uchwalone przez Sejm ustawy, uznając je jednakże za podstawę działania samorządów oraz proponuje skupienie uwagi Związku na zagwarantowaniu właściwego sformułowania ustaw towarzyszących i przepisów wykonawczych, pod kątem wyeliminowania lub złagodzenia błędów zawartych w ustawach z 25 września 1981 r. Podejmując sprawę referendum projekt Krajewskiego decyduje w tej sprawie przekazuje Komisji Krajowej, która zajmie w tej sprawie stanowisko po półrocznym śledzeniu sposobu realizacji obu ustaw<sup>xx</sup>.

Warto podkreślić, że za projektem Krajewskiego wypowiedziały się zjazdowe Komisja Uchwał i Wnioseków oraz tacy wybitni przedstawiciele Sieci, jak J. Merkel.

Nie ten jednak projekt, ale radykalna wersja Palki, Kowalewskiego i Seweryńskiego znalazła uznanie, znacznie większości delegatów i została przyjęta w dniu 3 października jako uchwała Zjazdu.

#### UCHWAŁA W SPRAWIE USTAW O SAMORZĄDZIE ZAŁOGI PRZEDSIĘBIORSTWA PAŃSTWOWEGO ORAZ O PRZEDSIĘBIORSTWACH PAŃSTWOWYCH

Stanowisko naszego Związku w sprawie samorządu pracowniczego i samodzielności przedsiębiorstw przedstawione zostało w uchwale Zjazdu podjętej w dniu 8.09. br. Było więc znane Sejmowi PRL, który w dniu 25 września 1981 r. uchwałą ustatę o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego.

Sejm odstąpił w ustawach od uzgodnienia z prezydium KKP kompromisu dotyczącego sposobu powoływania dyrektora przedsiębiorstwa państwowego. Kompromis ten był wyjątkowo daleko idącym ustępstwem, mającym na celu uniknięcie konfliktu z władzami państwowymi. Sejm nie uwzględnił również stanowiska Związku w wielu innych, doniosłej wagi sprawach dotyczących samorządu pracowniczego i samodzielności przedsiębiorstw. Mimo to Zjazd, kierując się duchem porozumienia, nie odrzuca

<sup>x</sup> Idzie tu o następujące przedsiębiorstwa: Stocznia Gdańska, Zakłady H. Cegielski Poznań, "Pafawag" - Wrocław, Huta im. Lenina - Kraków, "Zastal" - Zielona Góra, "Stomil" - Olsztyn, WSK - Rzeszów.

<sup>xx</sup> Por. projekt uchwały Pierwszego Zjazdu Delegatów w sprawie samorządu, AS nr 42.

tych ustaw w całości.

Zgodnie z wcześniejszą uchwałą Zjazd postanawia poddać pod referendum w zakładach pracy te przepisy obu ustaw, które w razie, w sposób odbiegają od stanowiska Związku, a tym samym zagrożają samorządności i samodzielności przedsiębiorstw, godzą w reformę gospodarczą.

Oczekujemy, że zmiany w obu ustawach dotyczyć będą w szczególności:

1. Przepisów dotyczących zarządzania przedsiębiorstwem. Zjazd wyraża pogląd, że przedsiębiorstwem winna zarządzać załoga poprzez decydowanie o wszystkich istotnych sprawach przedsiębiorstwa.
2. Przepisu określającego skład komisji konkursowej wyłaniającej kandydatów na dyrektora przedsiębiorstwa. Jesteśmy zdania, że określenie składu oraz powoływanie owej komisji winno być wyłącznym niezbywalnym prawem rady pracowniczej.
3. Przepisu, określającego przedsiębiorstwa, których dyrektorzy mają być powoływani i odwoływani przez organ założycielski. Zjazd jest zdania, że na liście owej mogą znajdować się jedynie zakłady zbrojeniowe, przedsiębiorstwa podlegające Min. Finansów oraz przedsiębiorstwa podległe ministrowi sprawiedliwości, działające przy zakładach karnych.
4. Przepisu, pozwalającego organowi założycielskiemu na nałożenie na przedsiębiorstwo państwowe obowiązku wykonania określonych zadań. Uważamy, że może to mieć miejsce jedynie w wypadku klęski żywiołowej oraz zadań wynikających z niezbędnych potrzeb obronnych kraju. We wszystkich tych przypadkach organ założycielski winien zapewnić odpowiednie środki materialne oraz ponieść wszystkie koszty związane z nałożonym zadaniem.
5. Przepisu zezwalającego na zmuszenie przedsiębiorstwa do przystąpienia do zrzeszenia przedsiębiorstw. Zjazd uważa, że przepis taki może dotyczyć wyłącznie przedsiębiorstw wskazanych wyżej w pkt. 3.

Komisja Krajowa przedstawi Sejmowi wyniki referendum wraz z wnioskiem o dokonanie odpowiedniej nowelizacji ustawy o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego oraz ustawy o przedsiębiorstwach państwowych.

Zjazd stoi na stanowisku, że treść rozporządzeń wykonawczych obu ustaw oraz ustaw towarzyszących winna być ustalona w porozumieniu ze związkami zawodowymi.

W walce o samorząd pracowniczy i przedsiębiorstwo społeczne Związek nadal będzie postępował zgodnie z wolą załogi. Związek zapewnia załogi, że podejmie wszelkie kroki niezbędne do obrony samorządu.

Zjazd wzywa wszystkie załogi do tworzenia autentycznych samorządów pracowniczych na zasadach zgodnych ze stanowiskiem Związku.

Uchwałą II tury Zjazdu w sprawie samorządu pracowniczego uznać można za częściowy sukces Grupy Lubelskiej i Porozumienia na Rzecz Reformy. Sukces, gdyż wbrew opinii umiarkowanej części delegatów (łącznie z delegatami Sieci), udało się przeformułować postulat natychmiastowego przeprowadzenia referendum. Częściowo zaś, ponieważ Zjazd, nie odrzucając ustaw, zgłosił ostatecznie sprzeciw w sprawie płaciu tylko zapłać, podczas gdy Grupa Lubelska i Porozumienie na Rzecz Reformy postulowały, aby zażądać zmiany kilkakrotnie większej liczby ustępów w tekście, co w rzeczywistości byłoby jednoznaczne z odrzuceniem obu ustaw.

Niezwłocznie po Zjeździe przystąpiono - zgodnie z omawianą uchwałą - do przygotowania pytań na referendum. Powołany w tej sprawie przez Komisję Krajową zespół pod przewodnictwem W. Trzeciakowskiego przedstawił

9 października propozycje<sup>x</sup>, według których postulaty zawarte w uchwale mogłyby być zrealizowane nie w drodze zmiany ustawy, lecz poprzez wynegocjowanie z rządem przepisów wykonawczych do ustaw oraz uzgodnienie z nim sposobu ich interpretacji. Gdyby rząd odmówił realizacji w tej formie postulatów Solidarności, wtedy dopiero Związek przeprowadzi referendum. Zespół przedstawił jednocześnie pięć pytań, odpowiadających pięciu punktom uchwały Zjazdu<sup>xx</sup>.

Diametralnie przeciwną drogę rozwiązania problemu przedstawiła Grupa Lubelska. 12 października powstały dwa zbliżone do siebie dokumenty, opracowane - jeden przez J. Strzeleckiego i H. Szlajfera<sup>xxx</sup>, drugi przez Szlajfera<sup>xxxx</sup>. W dokumentach tych poddano obie ustawy drobiazgowej analizie, wskazując wszystkie przepisy, które, zdaniem autorów, wymagałyby zmiany. Dokument Szlajfera został opracowany na zlecenie Społecznego Porozumienia na Rzecz Reformy i przyjęty przez Komitet Założycielski Krajowej Federacji Samorządów (KZKFS). Stanowisko wyrażone w tym dokumencie jest zbieżne - stwierdza KZKFS - podjęta przez I KZD Solidarności uchwałę w sprawie wymienionych ustaw. Rozszerzając argumenty Zjazdu, wskazuje na te przepisy, które utrzymują niekorzystny system zarządzania<sup>xxxxx</sup> (podkreślenie SJ). Lektura wspomnianego dokumentu, a zwłaszcza zestaw 18 pytań, które opracowano na spotkaniu Grupy Lubelskiej 13 listopada<sup>xxxxxx</sup>, dowodzą, że ta rozszerzająca sinterpretacja uchwały Zjazdu znacznie przekroczyła granice, w jakich przez Zjazd została zaakceptowana. Powoływanie się więc na nią, przy równoczesnym proponowaniu osiemnastu pytań, mogło mieć wyłącznie charakter kryjącego inne cele kamuflażu.

Sprawa referendum nie została rozstrzygnięta do końca legalnego istnienia Solidarności. Wobec stale i gwałtownie narastających napięć społecznych spowodowanych przede wszystkim przez zdecydowane odejście rządu od linii porozumienia, referendum stało się problemem dalekiego rzędu. Poza Grupą Lubelską i instytucjami z nią spokrewnionymi, przestano zresztą w Związku nistychmiś po Zjeździe przywiązywać do niego większe znaczenie. Podobnie było w ruchu samorządowym. Nikt nie był w stanie ustalić właściwej koncepcji tego referendum stale odkładano termin jego przeprowadzenia, a ostatnie propozycje terminu (18 stycznia 1982 r.), którą zaproponowano na spotkaniu przedstawicieli zarządów regionalnych, odpowiedzialnych za sprawy samorządu<sup>xxxxxxx</sup> została przez ogłoszenie stanu wojennego zdezaktualizowana.

Szymon Jakubowicz

<sup>x</sup> W skład zespołu wchodził J. Gościński, J. Majewski, A. Legatowicz, T. Gruszecki i T. Stankiewicz.

<sup>xx</sup> Por. AS nr 51.

<sup>xxx</sup> Jerzy Strzelecki, Henryk Szlajfer - Stanowisko w sprawie uchwalonych przez Sejm ustaw o przedsiębiorstwach państwowych i o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego. AS nr 44.

<sup>xxxx</sup> Henryk Szlajfer - Samorząd w okresie poprzedzającym referendum i złożenie wniosku o nowelizację ustaw. AS nr 47

<sup>xxxxx</sup> Por. Spotkanie Komitetu Założycielskiego Krajowej Federacji Samorządów (27-28.10.). AS nr 47

<sup>xxxxxx</sup> Por. Pytania do referendum w sprawie ustaw. AS nr 52.

<sup>xxxxxxx</sup> Por. Spotkanie ZR w sprawie samorządów. AS nr 51 oraz Przedstawiciele ZR-ów o referendum i ustawie o spółdzielczości, AS nr 57.

## Troska PARTII

Pracownicy partyjnej Akademii Nauk Społecznych przygotowali raport o samorządzie pracowniczym. Autorzy ostrzegają, że cały "proces reformy i socjalistycznej odnowy" jest zagrożony wskutek licznych trudności i ograniczeń, na jakie napotyka samorząd. Sytuację tę określają oni jako progową, zauważając zarazem "wzrastające zniecierpliwienie społeczne".

Bariera ustawiana na drodze samorządu są, na ogół znane. Ograniczamy się zatem do ich wypunktowania ze autorami. Są to:

- a/ niestabilne, często niezgodne z reformą reguły gry w sferze ekonomicznej;
- b/ niekontrolowany rozwój przepisów i rozporządzeń prowadzący do tworzenia kilku wariantów prawa, co sprzyja jego omijaniu, zamiast umacniać przestrzeganie podstawowych zasad;
- c/ wyraźny trend na rzecz stabilizacji, a nawet rozwoju centralnych, najczęściej administracyjno-nakazowych ograniczeń i umacniania pozycji biurokratycznych resortów;
- d/ hamowanie naturalnych dążeń rad pracowniczych do porozumiewania się, współdziałania itp.;
- e/ przyjmowanie szeregu rozwiązań ustawowych, organizacyjnych itp., które prowadzą do ograniczenia uprawnień samorządu, zmieniają jego sytuację."

Na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza niebezpieczeństwa grożące samorządowi ze strony systemu politycznego. Otóż, jak piszą autorzy "pomimo pewnych modyfikacji pozostaje w zasadzie niezmienny". Wyraża się to w utrzymującej się "jednostronnej dominacji systemu politycznego nad gospodarczym", w sferze zaś bezpośrednio nas interesującej przede wszystkim w nie-respektowaniu ustalonych ustawami samorządowymi zasad doboru kadr kierowniczych w przedsiębiorstwach.

Zdaniem autorów, działacze samorządowi przeważnie wierzą, że "centrum polityczne" wspiera samorząd, ale "w partii występuje pogląd, że rozwiązania przyjęte we wrześniu 1981 r. były wymuszonym kompromisem, a obecnie trzeba dokonać niezbędnych korekt na rzecz formalnego uznania kierowniczej roli partii w samorządzie. Reguła partnerstwa spotyka się z krytyczną oceną. Nie są to, co prawda postawy dominujące, ale mogą one zyskiwać zwolenników i stawać się poważnym zagrożeniem samorządu".

Lektura omawianego raportu (a także innych partyjnych materiałów) wskazuje na to, że "uznanie kierowniczej roli partii w samorządzie" miałyby na ce-

\* Cytaty pochodzą z omawianego "Raportu o stanie i perspektywach samorządu założeń przedsiębiorstw państwowych", opracowanego przez L. Gilejkę, M. Czarzastego i P. Georgicę.

lu zapobieżenie dalszemu osłabieniu autorytetu partii zwłaszcza wśród robotników. Według źródeł partyjnych, sytuacja kształtuje się bowiem następująco:

- 1/ Najwyższym stopniem zaufania obdarzają robotnicy dwie instytucje: Kościół i samorząd pracowniczy. Autorytet zaś partii i związków zawodowych jest bardzo niski.
- 2/ "Samorząd staje się bardziej wiarygodnym realizatorem funkcji artikulacyjnej niż np. związki zawodowe czy uwikłana silnie w sprawowanie władzy - partia. Dotyczy to zwłaszcza poziomu przedsiębiorstwa".
- 3/ Istnieje konflikt postaw między robotnikami należącymi do PZPR i związków zawodowych, a tymi, którzy do tych organizacji nie należą. Ci pierwsi odnośnie się do samorządu z rezerwą i niechęcią. Ci drudzy zaś częściej popierają samorząd i przyczyniają się do jego "wysokiej wiarygodności społecznej". Skoro tak jest, to nic dziwnego, że - jak to na podstawie badań stwierdzają autorzy - "redy, w składzie których jest znaczny udział byłych członków Solidarności są bardziej dynamiczne". Domyślać się wolno, że są one dynamiczniejsze od znacznej większości tych redy, które na skutek ich zdominowania przez dyrekcje i organizacje partyjne, musiały już stać się "elementem demokracji".

Przytoczyliśmy powyżej z raportu najważniejsze elementy diagnozy stanu samorządu pracowniczego oraz godzące, weni liczne zagrożenia tkwiące w systemie gospodarczym i politycznym. Na tym tle bardzo mizernie prezentują się wnioski autorów raportu. Można to zrozumieć. Rozdarcie między postawą partyjnej ortodoksji a zaangażowaniem w ideę samorządową, która z istoty swej wyklucza totalną kontrolę życia społeczno-gospodarczego, autorzy sięgają po półśrodki.

Cóż bowiem proponują twórcy raportu? Końcowy apel dotyczy potrzeby "pełnego opracowania strategicznych działań partii w tym zakresie". Autorzy skwapliwie odpiersają jednak jakiegokolwiek zarzut przeciw "centralizmowi politycznemu", choć dobrze wiedzą, że "centrum" nie skorzystało z okazji zjazdu, aby sprawę tę podjąć w projekcie programu partii. W kilku ogólnikowych deklaracjach zawartych w tym programie trudno dopatrzeć się "strategicznego działania", które miałyby służyć stworzeniu warunków sprzyjających samorządowi.

Zdaniem autorów dotychczasowa formuła kierowniczej roli partii w przedsiębiorstwie, oparta na nielegalnych w istocie uprawnieniach władczych, jest martwa. W poszukiwaniu nowej formuły autorzy ze punktu wyjścia przyjmują następujące konstatacje: niewiarę załóg w skuteczność działań istniejących instytucji w interesie pracowników; znaczną społeczną wiarygodność samorządów pracowniczych; oraz istniejące i przewidywane konflikty w wielu zakładach pracy między organizacjami związkowymi a organizacjami samorządowymi, "co wynika z krzyżującego się zakresu kompetencji".

Na tej podstawie autorzy proponują partii, aby świadomie przekazała samorządom i związkom zawodowym jakiś "fragment funkcji artikulacji interesów ekonomicznych klasy robotniczej i załóg pracowniczych", osłabiając w ten sposób "odpolitycznienie" funkcjonowania zakładu pracy. Dla siebie miałyby zaś partia zarezerwować funkcję "mediatora i koordynatora artikulacji interesów robotniczych przez inne organizacje". Stworzenie takiego mechanizmu w ramach zmodyfikowanej formuły kierowniczej roli partii mogłoby - zdaniem autorów - "wyeliminować kumulację niezadowolona występującego wśród robotników i zapobiegać jego wyprzedzeniu w szerszej skali".

Punktem wyjścia przedstawionej koncepcji jest więc konflikt. Ocenić to trzeba pozytywnie, jako że "partyjne wytyczne", na ogół, negują jego istnienie. Naturalnie, samo stwierdzenie, że stronami konfliktu są organy samorządu i nowe związki zawodowe stanowi, nawet w świetle wywodów autorów raportu, poważne uproszczenie. Sprawa jest głębsza. "Centrum polityczne", wyposażając swoje związki zawodowe w "krzyżujący się zakres kompetencji", świadomie pragnęło je wzmocnić kosztem samorządów. Stworzyło jednak w

• on sposób podstawy konfliktu nie tylko między tymi dwiema organizacjami. W rzeczywistości użyto związków jako instrumentu w konflikcie, który przeciwstawia wspólnie załogi i organy samorządu (tam, gdzie ono - rzeczywistymi przedstawicielami pracowników) zakładowej strukturze władzy. Dodajmy, że ten konflikt zakładowy jest częścią globalnego konfliktu społecznego.

Z doświadczeń wynika jednak, że spory, a tym bardziej większe konflikty między organami samorządowymi a związkami, nie wybuchają często. Samorządy skłonione w ogóle się nie spierają, samorzady zaś niezależne rodzą sobie w czasie polityki np. przy pomocy referendum, jest to doskonały instrument, który nie służyłby zbyt często, udaje ogólnie, a narazem ustawiłoby wzięcie całej załogi do ręki w zarządzaniu.

Znaczący, że autorzy raportu nie ograniczają swoich propozycji do przekazania organizacjom parcyjnym funkcji mediatora, pragną przyjąć w tekście funkcje kandydatury "artykułacji interesów reprezentacyjnych przez inne organizacje". Wyraźnie zastrzega to już KSR-em.

Autorzy raportu wyznaczili sobie niewłaściwą rolę. Pogodzenie bowiem autentycznego samorządu pracowniczego z kierowniczą rolą partii w przedsiębiorstwie graniczy z problemem kwadrantury koła. Zresztą także zasada efektywności ekonomicznej wyłącza istnienie w przedsiębiorstwie innych "kierowniczych" niż poza jego legalnymi organami.

Czy istnieje więc rozwiązanie tego dylematu? Myślę, że takim rozstrzygnięciem byłyby kompromisowe ustawy z 1981 r., które gwarantowały samorządowi uprawnienie do współzarządzania i niezależność jego decyzji, umożliwiając zarazem dostęp do udziału w organach samorządu w drodze demokratycznych wyborów przedstawicielom wszystkich grup zawodowych i organizacji społeczno-politycznych.

Znamienne jest, że w 1981 r. na mocy tej samej oryentalnej wyborczej do organów samorządu wybierano w twierdzeniach Solidarności znacznie więcej członków partii, niż obecnie. Autorzy raportu zaznaczają, że nie podzielają "wysięgających" w partii poglądów o wymuszeniu kompromisu sejmowego z wrześniem 1981 r. Jeśli chcą być konsekwentni, to dla ratowania samorządu powinni domagać się stanowczo przywrócenia integralności ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie pracowniczym oraz wycofania tych kompetencji związków zawodowych, które są sprzeczne z literą i duchem tych ustaw. Nie będzie wtedy potrzebna ani mediacja, ani koordynacja ze strony organizacji partyjnej. Autentyczni zwolennicy samorządu nie mogą w swoich postulatach schodzić poniżej poziomu kompromisu osiągniętego w 1981 r. Można bowiem uważać, że w imię interesu pracowniczego samorządy powinny działać nawet przy dzisiejszych restrikcjach, jak długo nie osiągną punktu krytycznego, ale czymś zupełnie innym byłaby zgoda na zalegalizowanie bezprawia.

Jan Gierski

## PLACE a KKP NSZZ Solidarność

Omawiając treść porozumienia gdańskiego Neal Ascherson surowo ocenia ustalenia płacowe: "Przedem wszystkim - co było zapewne najpoważniejszym błędem robotników i ich doradców - ustalenie wzrostu płac oparto na zasadzie branżowej. Ponieważ Solidarność została zorganizowana na zasadzie horyzontalnej jednocząc robotników w regionach, prowadziło to do sytuacji, że sprawy płacowe miały być negocjowane między rządem i starą CRZZ, która było zorganizowana na zasadzie wertykalnej (...). Stąd też kwestie płacowe, postrzegane przez robotników jako rekompensata podwyżek cen, całkowicie wymykała się rąk Solidarności. Słabość negocjatorów strajkowych w tej kwestii jest trudne do wytłumaczenia (...). Opóźnienia i nieadekwatność ustaleń płacowych oraz ich antyegalitarny charakter (...) stały się najpoważniejszą przyczyną napięcia między członkowską masą Solidarności i jej kierownictwem (...)."<sup>1</sup>

Myślę, że Ascherson, jeden z nielicznych obserwatorów zagranicznych, słusznie dostrzegł w ustaleniach płacowych zarzewie napięć i konfliktów wewnątrz nowego Związku. Może tylko niesłusznie ograniczył je do napięć między masą członkowską i jej przywódcami, gdy tymczasem rychło miało się okazać, iż sesja branżowa mogła się łatwo okazać "koniem trojańskim" w Związku, rozbijającym jego jedność przez interesy branżowo-grupowe. Ascherson słusznie też wskazał, choć może z przesadą, na niebezpieczeństwo wyeliminowania się kwestii płac z rąk Solidarności. Reszta twierdzeń jest jednak wątpliwa.

Moje główne zastrzeżenia sprowadza się do obciążenia winą za ten stan rzeczy wyłącznie gdańskiego MKS i jego doradców. Nawet jeśli pominać skutki pośpiechu negocjacyjnego w ostatnich dwu dniach strajku gdańskiego, co utrudniłoby, jeśli nie wykluczało, chłodne rozważenie przyszłych konsekwencji ustaleń kompromisowych, gdańszczenie znaleźli się w trudnej sytuacji. Już bowiem 30 sierpnia, w sobotę rano, zawarte zostało porozumienie szczecińskie z branżową zasadą podwyżki płac. Nawet gdyby w Gdańsku zdawano sobie sprawę, że porozumienie szczecińskie jest w tej kwestii zdecydowanie złe, musienoby poważnie brać pod uwagę wybór między dwiema solidarnościami; tą aktualną ze strajkującymi w Szczecinie (nie zapominałmy,

że straż szczebiński był największym aktem solidarnościowym ze strajkiem Gdańskim właśnie), i tą przysięgą, jeszcze ognistą. W dniach wielkiej erupcji solidarności i rozważa można było łatwo zlekceważyć przyszłe niebezpieczeństwo rozbitcia Związku przez interesy branżowe.

A co najważniejsze, gdańszczenie mogli zasadnie przypuszczać, iż w ich wersji oraz w kontekście innych ich ustaleń, powtórzone wskutek nacisków rządowych formula szczebińska była mniej groźna, niż w jej pierwotnej formie. Chodzi tu nie tylko o wynegocjowane przez gdańską MKS zobowiązanie rządu do przeprowadzenia podwyżek zgodnie z zasadą branżową, w ciągu jednego miesiąca (września), i nie tylko o uzupełnienie, iż już w październiku rząd przedstawił do publicznej debaty podwyżkę "dla najmniej zarabiających", ze szczególnym uwzględnieniem rodzin wielodzietnych", lecz także, czy przede wszystkim, o zagwarantowanie, iż wzrost kosztów utrzymania będzie rekompensowany z uwzględnieniem minimum gdańską MKS będzie usiłował przeniósł punkt ciężkości żądań płacowych na dodatek drożyzniowy, w taki sposób pomyślany, by zmniejszał rozpiętości płacowe.

Najważniejsze jednak zastrzeżenie budził twierdzenie Aschersona, iż owa branżowa zasada podwyżki płac, w połączeniu z terytorialną budową Solidarności wykluczała Związek, niejako automatycznie, jako negocjatora i kontrolera realizacji podwyżki. Stało się tak nie ze względu na strukturalne nieprzygotowanie Solidarności, lecz na złą wolę, lub bezmyślność czynników rządzących.

Przeciw Aschersonowi świadczy już pierwszy i decydujący krok rządu. Chodzi tu o Uchwałę nr 81/80 Rady Ministrów z 6 września 1980 r. "w sprawie przyznania dodatkowych środków funduszu płac na podwyższenie i poprawę proporcji wynagrodzenia pracowników zatrudnionych w uspołecznionych zakładach pracy". Oto rząd podejmuje uchwałę określającą cele i założenia tej podwyżki wyłącznie "po porozumieniu z Centralną Radą Związków Zawodowych"<sup>2</sup>. A więc, akt pierwszy - określenie pewnych bardziej konkretnych zasad podwyżki branżowej został przekonsultowany nie z poszczególnymi związkami branżowymi, lecz z ich centralą, dotyczącą wówczas swych ostatnich miesięcy. To prawda, że ogólnokrajowa reprezentacja nowych związków zawodowych jeszcze nie istniała, a czekanie na jej powstanie mogłoby spowodować opóźnienie podwyżki. Cóż jednak stało na przeszkodzie, by wysłuchać opinii sygnatariuszy porozumień sierpniowych? W Szczecinie powstało, jak wiadomo, Mieszana Komisja do nadzorowania realizacji podpisanego porozumienia. Czy nie było to klasyczne wprost dla niej zadanie? A jeśli trudno było ją tak szybko zwołać, czy nie należało tej sprawie przekonsultować z Prezydiami obu Międzyzakładowych Komitetów Zawodczyckich?

Paragraf trzeci owej Uchwały upoważnia "właściwych ministrów" do przeprowadzenia podwyżek, przypominając im, że mają się porozumieć w tej sprawie "z zarządami głównymi właściwych związków zawodowych". Czy nie był to właściwy moment, by Rada Ministrów pouczyła ministrów, iż odąd będą mieli do czynienia z pluralizmem związkowym? Uchwała była, jak wiadomo, jednym z pierwszych kroków odwołanego rządu, a Józefem Piłkowskim jako premierem na czele. Nawet więc ewentualne wyłączenie rutynowym zachowaniem władzy nie wchodził w grę.

Zobowiązanie podwyżki płac miało najwcześniejszy termin realizacji do 30 września 1980 r. Należało też do najbardziej wymierzonych ustaleń. Wszystko to, a także fakt, iż ustalenie przyjęło w treści zbliżonej do propozycji rządowej (łącznie z żargonem sformułowań) sprawiło, iż w opinii strajkujących owa podwyżka stała się swoistym testem dobrej woli rządowego partnera. Po drugie, sprawa podwyżki stała się, w sposób niejako naturalny, pierwszym polem działalności świeżo powstających komitetów zawodczyckich. Właśnie dlatego, iż nie miały one jeszcze określonego statusu, ani programu, łatwo aktywizowały się na płaszczyźnie tradycyjnych zadań związkowych, do któ-



nych z reguły należały problemy płacowe. Nie trzeba było więc wielkiej znajomości psychologii społecznej, czy socjotechniki władzy, by przewidzieć, iż od zachowanie organów władzy w tej sprawie zależeć będą w ogromnej mierze przyszłe stosunki między władzą i nowopowstającymi związkami zawodowymi.

Tymczasem władza nie tylko zignorowała istnienie komitetów założycielskich nowych związków zawodowych i nie przewidziała żadnej dla nich roli w przyszłości, lecz podjęte uchwałę o postanowieniach sprzecznych z brzmieniem ustalenia w punkcie ósmym porozumienia. Samowolnie bowiem podzieliła pracowników na trzy grupy - na otrzymujących podwyżki z dniem 1 października (i to tylko było zgodne z porozumieniem gdańskim), otrzymujących je w miesiąc później i wreszcie ostatnią grupę z podwyżkami zapowiadzianymi dopiero na przyszły rok. Musiało to skończyć się serią strajków trudnych do opanowania i groźnych z punktu widzenia kształtowania postaw na przyszłość. Przede wszystkim zaś popsuło atmosferę możliwej współpracy między rządem i nowymi związkami zawodowymi już na samym początku. Zwróćmy uwagę, że większość organizacji związkowych powstała i stawiała pierwsze kroki nie tylko na podstawie umów społecznych z lata 1980 r., lecz także w atmosferze kształtowanej przez pierwszą fazę realizacji tych umów. W moim przekonaniu, nie można zrozumieć przyczyn głębokości konfliktu ani wokół rejestracji, ani o wolne soboty, jeśli się nie rozumie uwarunkowań i konsekwencji pierwszego konfliktu, powstających dopiero związków zawodowych z władzami, wokół podwyżek płac.

Oczywiście, omawianą uchwałę można byłoby uznać ze mniej lub bardziej przypadkowy błąd niezręcznej władzy, gdyby władza próbowała z tej drogi zawrócić. Tymczasem wycofywała się ona tylko na tyle, na ile została do tego zmuszona przez strajki i inne akcje protestacyjne.

Nie sposób tu przedstawić wszystkich głównych przykładów napięć na tym tle. Wydaje się natomiast, że ponad dwa miesiące ciągnący się konflikt z cukrownikami może służyć za typowy przykład ówczesnych stosunków między władzą a nowymi związkami, jeśli nie większości społeczeństwa. Wybieśmy ten konflikt między innymi dlatego, że dysponujemy jego analizą, jaka ukazała się na łamach znanego ze swej powściągliwości wobec Solidarności tygodnika "Życie Gospodarcze"<sup>3</sup>.

Akt pierwszy konfliktu rozegrał się w Chełmży. Tygodniowy strajk cukrowników zakończył się porozumieniem z komisją resortową, ustalającym, iż: "wszyscy dostali po równo, od robotnika do dyrektora tę samą kwotę - 420 zł miesięcznie". Autor tej relacji pisze: "wydawać by się mogło, że wielkość tej podwyżki i sposób jej rozdziału ma, automatycznie niejako, charakter modelu wy dla załatwienia spraw płacowych w całym przemyśle cukrowniczym. Stało się jednak inaczej. Blisko dwa miesiące trwał spór zanim kierownictwo resortu uznało słuszność wysuniętej przez związkowców zasady..."

Nie wiemy jak doszło do tego strajku. Mamy jednak podstawy sądzić, że porozumienie było alternatywą zaproponowanej przez resort w dniu 16 października podwyżki opartej na odmiennych zasadach w stosunku do pracowników fizycznych i umysłowych. Pierwszym zaproponowano wyższe podwyżki dla grup niżej uposażonych, natomiast drudzy mieli otrzymać tym więcej im więcej zarabiali, a w dodatku przeciętna podwyżki miała wynosić zaledwie 300 złotych. Na początku października resort odwrócił sytuację - umysłowi mieli otrzymać każdy po 420 zł, natomiast robotnicy według skali wzrastającej.

"Aż wreszcie - czytamy w "Życiu Gospodarczym" - w połowie października otrzymaliśmy do realizacji "Protokół nr 18" do układu zbiorowego podpisanego przez ministra i ZGZZ Pracowników Przemysłu Spożywczego. Jak i ironię, akurat to co najbardziej krytykowaliśmy w obydwu przedstawionych projektach, znalazło się w tym dokumencie"<sup>4</sup>. Skutkiem tego protokołu była partygodniowa akcja protestacyjna kilkudziesięciu cukrowników w formie okupacji

biżnyku Miejskiego Domu Kultury w Pruszkach Gdańskim, naprzeciwko tamtejszej cukrowni. Po kilkunastu dniach (26 listopada) zawarto nowe porozumienie, akceptujące zarządzenie związkowe, by wyrównać wó wyśmiał podwyżkę do 700 zł miesięcznie. Publikacja "Życie Gospodarcze" tak jednak o tym pisał: "W istocie rzeczy sama wysokość podwyżek nie była osią konfliktu, a to, że ich ogólna kwota będzie (...) wyższa od pierwotnych ustaleń jest m.in. konsekwencją tego, że trzeba było również w górę. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby można było w listopadzie zapłacić grupie lepiej zarabiających pracowników mniej niż dostali w październiku, po to, żeby podnieść pobory tym z chudszyimi porównani, z którymi wprowadzono od 1 października podwyżki obniżające się po październiku".

Oczywiście, strajki i akcje protestacyjne wzięły swoją logikę i obok żądań uszczelnionych, cukrownicy wysunęli takie, które mogły się stać groźnym precedensem dla całej linii nowych zakładów. Podchodzono jak głowie w tym czasie, o nielegalne akcje protestacyjne pracowników trzech branż - oświaty, zdrowia i kultury; wysunęli oni żądania wprowadzające się do podwyższenia ich miejscowości w skali plac, z jednego z esencjach - w okresie średniej krajowej. Wskazywano o zwiększeniu wydatków na oświatę, kulturę i zdrowie, wszystkie te grupy, od lat upodlegane płacowo, cieszyły się ogólnym poparciem społeczeństwa. W jednym z listów nawiązywało do tekstu, w którym podjęto zarząd wócej niż nauczycieli. Tylko że z punktu widzenia sytuacji gospodarczej był to najgorszy z możliwych momentów dla takiej generalnej reformy. A poza tym inne grupy zawodowe upodlegane pod względem wynagrodzenia, mogły pójść śladem protestujących.

Niezależnie więc od zasadniczej argumentacji poszczególnych grup zawodowych, było jasne, że groziło to przedstawieniem nowego Związku w blizną interesację grup interesów, wiodącą do działania jako ciżbacz.

Jaki był stosunek napięty w gdańskim MKZ, a potem już Solidarności do tych partycularnych żądań? W kierunku jakiej polityki plac zmierzano i nowa i polska organizacja? Czy i kiedy wzrosła ona niebezpieczeństwo nakręcania inflacji przez wzrost plac?

Do dyskusji wewnątrzzakładowej ogłoszono projekt "Aktualnego Działania Niezależnych Związków Zawodowych", który MKZ opracował już w pierwszych dniach września. Kłęcz charakterystyczne, że dokument ten ani słowem nie wspominał o zarządzeniu Związku wynikających z zapowiedzianej na wrzesień podwyżki plac, jak gdyby pomijając kluczowy temat. Możliwe, że ucazyniono tak dlatego, iż w tonie MKZ były zarządza ostrzeżenia, jak i rozbieżności co do brązowej zasady podwyżki. Program skupiał natomiast uwagę na dwu sprawach. Pierwsze to dodatek drożyznowy, który miałby charakter socjalny, a nie efektywnościowy. Podstawę rekompensaty miało stanowić minimum socjalne oraz ilość osób na utrzymaniu. Przykładowo, jeśli minimum to wynosiło 2 200 zł, a roczny wzrost kosztów utrzymania wynosił 10%, to pracownik samotny otrzymywałby dodatek drożyznowy w wysokości 220 zł, a utrzymujący pięćosobową rodzinę - 1100 zł. Nie trudno zauważyć, że przy większej stopie inflacji placę zasadniczą szybko osłabły na korzyść dodatku drożyznowego.

Drugą kwestią, na której program skupiał uwagę, było potrzeba zawarcia nowych układów zbiorowych, z natury rzeczy, dość odległa w czasie.

Na ile realizacji podwyżki plac ująwni się w Gdańsku już w pierwszej dekadzie września ostro konflikt. Ze strąpów wiadomości, jakie do mnie dotarły, ogniskiem zapalnym stała się kłozga Stoczni Gdańskiej, legendarne miejsce, w którym Solidarność się narodziła. Jedyną z ważniejszych punktów, o które o mało nie doprowadziły do ponownego strajku, było żądanie respektowania porozumienia z dyrekcją z 16 sierpnia, w części dotyczącej plac. Stoczniowcy mieli, jak pamiętamy, otrzymać po 1500 zł podwyżki na zatrudnionego. Nie umiem, niestety powiedzieć, jaką rolę wzięły właśnie tutaj wy-

ba najbardziej rozwiniętego poczucia egolizatyizmu, a jakta - chęć otrzymania swobody wibracji, niż wyrabiała z ostrożnego porozumienia. Z autopsji znasz tylko odbicie, jakie ten konflikt przeżył na posiedzeniu Prezydium MKS w dniu 10 września. Odtwarzam notatkę odnoszącą się do tego punktu.

Na posiedzeniu Prezydium wchodzi spóźnieni - Anna Walentynowicz i Lech Wałęsa. Wałęsa wyjeżdża, że spóźnienia nastąpiło z ważnych przyczyn parlamentowych. Dalej jego słowa brzmią tajemniczo i groźnie zarazem: "nasz naród jest znany z tego, że gdy już prawie wygrał, zaczyna się kłócić między sobą". Kłóci o jakiejś "próbie sił", ambicjach, "może im się uda poderwać to zobaczymy, jak na tym wyjdą. Wieczorem złożę w tej sprawie oświadczenie..."

Po pewnym czasie Joanna Duda-Gwiszda zgłasza propozycję oświadczenia MKS. Czyta: "W wyniku strajku wywalczyliśmy podwyżki płac i Niezależne Związki Zawodowe. Przewidy, które przyznaje nam porozumienie (...) są znacznie mniejsze od tych, jakie skłonne były przyznać władze poszczególnym zakładom na odstąpienie od strajku. Walczyliśmy o Niezależne Samorządne Związki Zawodowe nie tylko dla siebie, ale dla całego społeczeństwa.

Walczyliśmy o związki zawodowe między innymi dlatego, że jednorazowe podwyżki w pojedynczych zakładach niczego nie zalewają. Chcemy uczynić z płac, dotąd jednostronnie ustalanych przez władze państwowe, przedmiot pertraktacji między pracodawcami i pracownikami. Pędzimy pertraktować z władzami w sprawie zapowiadanej (...) rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania i wzrostu płac dla najniższej zarabiającej". I dalej o układach zbiorowych.

Gdy zgłaszałem moje poprawki, ku memu zaskoczeniu (znane mi były ostre już wówczas podziśty w Prezydium), tekstu bronią jednogłównie i Wałęsa, i wnioskodawczyni. Dopiero po chwili zaczynam rozumieć, iż to jest tekst w wcześniej, na jakimś innym zebraniu, uzgodniony. Dopiero po posiedzeniu dochodzą mnie słuchy, że w Słocznii wrze, że część słoczniovców chce za pomocą strajku doprowadzić do renegeccji ustalenia płacowego. Są jeszcze jakieś inne powody polityczne, ale trudno uchwycić. Wałęsa zaś usilnie dąży do zakazania niebezpieczeństwa strajku. Padły też jakieś wzajemne oskarżenia pod adresem niektórych członków MKZ, którzy mieli podsycić wstręty strajkowe. Dopiero teraz więc pojmuję, że oświadczenie jest przede wszystkim grzechem do słoczniovców, by w imię solidarności i jedności związkowej zrezygnowali ze swych partykularnych interesów.

Ten i podobne konflikty doprowadziły w parę tygodni później do godziwego, ostrzegawczego strajku ogólnokrajowego 3 października 1980 r. Wyrzto w pierwszym rządzie reakcje na podjętą bez konsultacji Uchwałę rządu z 6 września. Oto jak wyjaśniał intencje organizatorów strajku - gdańskiego MKZ, który był rzeczywistym inicjatorem strajku, oraz KKP, ich przewodniczący Lech Wałęsa: "30 września minął termin wprowadzenia podwyżek płac zagwarantowanych w Protokole Porozumienia zawartego w Gdańsku. Tylko w części zakładów przeprowadzono rozmowy i zawarto porozumienia, w wielu zaś w ogóle rozmów jeszcze nie podjęto. Na opóźnienie terminu realizacji punktu 8 Protokolu Porozumienia decydujący wpływ miały:

- próby przeprowadzenia z dawnymi związkami przy pominięciu Komitetów Założycielskich będących rzeczywistymi przedstawicielami załóg i stowarzyszenia strony zawartej umowy z rządem PRL,
- jednostronne wprowadzenie podwyżek płac bez konsultacji z załogami,
- biurokratyczne trzymanie się dotychczasowych siatek płac bez uwzględnienia społecznego poczucia sprawiedliwości? Dwie inne sprawy, które wymierzone w oświadczenia jako przyczyny strajku - domaganie się swobody organizowania Solidarności oraz dostępu do środków masowego przekazu - same przez się nie doprowadziłyby wówczas jeszcze do strajku ogólnokrajowego.

Niewypowiedzianym celem kierownictwa Solidarności było próba zapobie-

zenia akcjom protestacyjnym oraz lokalnym strajkom na nie płacowym, które groziłyby przekształceniem się uzasadnionych żądań w nową falę strajków ekonomicznych, w sposób oczywisty pogarszających i tak już bardzo ciężką sytuację gospodarczą. Coraz bardziej obawiano się też, że fala ta może doprowadzić do rozbitcia Związku.

Październik i pierwsza dekada listopada przebiegała pod hasłem walk o rejestrację Związku. Zraz po tym akcie, władze Związku zdecydowały się na stanowcze kroki powstrzymujące nowe żądania płacowe.

Początek reorientacji w sprawach płacowych stanowił apel trzech czołowych działaczy Solidarności - Waleśy, Gwizdy i Bujaka - ogłoszony w Warszawie w połowie listopada 1980 r. Jego treścią jest próba opamiętania nieskoordynowanych żądań płacowych różnych ogniw Solidarności, ostatejących "spoistość" Związku.

"W tej groźnej sytuacji zwracamy się do wszystkich członków Solidarności (...) którzy aktualnie prowadzą rozmowy z przedstawicielami władz państwowych z apelem o netychmiastowe ich zawieszenie, a jeśli rozmowy zostały zerwane przez stronę rządową i w związku z tym podjęto akcję protestacyjną - o przerwanie tej akcji (...). W obecnej chwili najważniejszą sprawą jest doprowadzenie do wywiązania się przez władze ze zobowiązań wobec pracowników służby zdrowia, oświaty i kultury. Od ich pracy, od warunków w jakich ją wykonują i od sum przeznaczonych na inwestycje w tych dziedzinach zależy dziś nie tylko jak jesteśmy leczeni i czego uczą się nasze dzieci, ale przede wszystkim to, jaki będzie stan zdrowotności całego społeczeństwa, poziom szkolnictwa w naszym kraju i kształt kultury narodowej w przyszłości".

Dałej apel zapowiada, że na najbliższym posiedzeniu KKK zostaną przedstawione jednolite zasady "powoływanie zespołów negocjujących wszelkie sprawy z władzami, a przede wszystkim problemy płac, a także tryb prowadzenia takich rozmów i terminy ich podjęcia".

Wszystkie trzy "Oświadczenia", a właściwie uchwały KKK, podjęte na posiedzeniu 19 listopada w Szczecinie, poświęcone są reorientacji Związku w sprawach rewindykacji ekonomicznych. Czołowe miejsce zajmuje, oczywiście "Oświadczenie w sprawie aktualnych postulatów pracowników"<sup>9</sup>.

W pierwszej części oświadczenie stwierdza, że realizacja podwyżki płac dokonywana jest z naruszeniem porozumień postrejkowych i stoi w sprzeczności z postulowanymi przez Związek zasadami polityki społecznej. KKK domaga się od rządu przedstawienia programu zakończenia negocjacji branżowych oraz powołania zespołu roboczego, składającego się z przedstawicielami rządu i Solidarności, dla rozpatrzenia możliwości naprawienia szkód i niekonsekwencji wynikłych z Uchwały nr 80/80.

Następnie KKK wyraża opinię, iż dotychczasowe podwyżki nie zaspokajają "uzasadnionych żądań materialnych ludzi pracy", które jednak w obecnej sytuacji gospodarczej nie mogą być zrealizowane. "Kryzys gospodarczy, w jaki nasz kraj został wprowadzony, coraz bardziej ciężać będzie na warunkach życia szerokich mas. Zadaniem naszego Związku będzie zarówno wywieranie presji na władze, aby właściwą polityką zapobiec katastrofalnej sytuacji ekonomicznej, jak też ochrona interesów ludzi pracy, żeby nie dopuścić do dreszczynego pogorszenia warunków życia, zwłaszcza grup najuboższych i rodzin wielodzietnych. Wymogiem to będzie prec i działań naszego Związku w sprawach systematycznego dodatku drożyznienego oraz ochrony minimum socjalnego, jak też zapewnienie, aby wzrostowi wydajności pracy odpowiadał wzrost płac".

Następnie KKK oświadcza, iż niebędna jest praca przygotowawcza oraz wewnętrznywiązkowa dyskusja nad programem polityki "w sprawach obrony interesów pracowników" oraz określenie na tej podstawie stanowiska Związku dotyczącego przyszłych układów zbiorowych.

I wreszcie - apel: "W obliczu tego zadania i w pełnej świadomości trudnej sytuacji kraju zwracamy się do wszystkich ogniw i do wszystkich członków naszego Związku o powstrzymanie rozproszonych inicjatyw posulatów płacowych i materialnych do czasu określenia naszego ogólnego programu. (...) W związku z tym liczymy, że sprawa układów zbiorowych między rządem, a różnymi związkami zawodowymi zostanie podjęta po wypracowaniu programu Związku i po uchwaleniu nowej ustawy o związkach zawodowych".

W połączeniu z późniejszym Komunikatem KKKP o odroczeniu podpisywania nowych układów zbiorowych<sup>10</sup>, oznaczało to zawieszenie spraw rewidacyjnych w dziedzinie płac, co najmniej do drugiej połowy 1981 r.

Równocześnie KKKP przyjęła uchwałę, mocą której wszystkie sekcje zawodowe i branżowe Solidarności otrzymały wyłącznie charakter "pomocniczy i konsultacyjny"<sup>11</sup>, a więc pozbawione zostały prawa samodzielnego wszczęcia akcji protestacyjnych oraz inicjowania rozmów z władzami.

W parę tygodni później KKKP przypomniała swoje stanowisko "motywowane trudną sytuacją w kraju i przekonaniem o konieczności stworzenia warunków stabilizacji gospodarczej i społecznej", przypominając równocześnie, że "utrzymanie naszego stanowiska zależy (... od polityki władz państwowych"<sup>12</sup>.

Tak więc, jednym z pierwszych aktów zarejestrowanego 10 listopada 1980 r. Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność było proklamowanie wstrzymania żądań płacowych i przeciwstawienie się strajkom o podłożu materialnym.

Krajowa Komisja Porozumiewawcza wytrwała przy tym stanowisku, okazała się w tej sprawie konsekwentna, chociaż miała szczególne powody, by swoje stanowisko zrewidować. Późną wiosną 1981 r. odżyły w kraju żądania płacowe, których inicjatorami były branżowe związki zawodowe. Zachowanie zaś władz państwowych zmierzało do wykorzystania tej sytuacji dla zmniejszenia popularności Solidarności. Po burzliwej dyskusji<sup>13</sup>, KKKP wydała oświadczenie, w którym czytamy: "Krajowa Komisja Porozumiewawcza w poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności zawiesiła w listopadzie 1980 r. egzekwowanie od rządu już podpisanych porozumień płacowych. Ostatnio rząd podpisał nowe umowy płacowe wyłącznie ze związkami branżowymi (metalowców, pracowników rolnych) pogłębiając tym samym dezorganizację rynku, dewaluując oszczędności ludności i obniżając wiarygodność swoich własnych zapewnień o braku pieniędzy.

Oświadczamy, że jeżeli rząd posiada rezerwy finansowe, winien je zużytkować na zrealizowanie do końca porozumień gdańskich, w tym szczególnie do rozwiązania problemu biedy w Polsce (...).

Krajowa Komisja Porozumiewawcza podtrzymuje swoje stanowisko z listopada i stwierdza, że konieczne jest całościowe uregulowanie sytuacji pieniężnej w kraju, w tym wydatków, proporcji płac, cen zaopatrzeniowych i detalicznych"<sup>14</sup>.

W tym samym czasie "Tygodnik Solidarność" podjął próbę przekonania opinii społecznej, kierując także apel do branżowców i rządu, że moratorium płacowe jest absolutną koniecznością narzuconą przez bezprecedensowy kryzys gospodarczy kraju, "z którego możemy się wygrzebać tylko solidarnie. Jeśli każda grupa branżowa, bez względu na to, do jakiego związku należy, będzie usiłowała bronić się przed jego skutkami na własną rękę, to wszyscy będziemy coraz bardziej brnąć w gospodarcze bagno"<sup>15</sup>.

Tadeusz Kowalik

#### PRZYPISY

1. Neal Ascherson, *The Polish August. The Self-Limiting Revolution*, The Viking Press New York 1982, s. 175.

2. Korzysta z ksu powielonego przez Solidarność.
3. Paweł Kopuszczyński: "O co chodziło cukrownikom", "Życie gospodarcze" nr 49, 7 grudnia 1980 r. s. 6.
4. Jest to cytowana przez Kopuszczyńskiego relacja kierownic i działu służb pracowniczych cukrowni w Szczecinie, Barbary Leszyńskiej.
5. Korzysta z ulotki powielonej przez gdański MKZ. Tekst tego programu został opublikowany z nieistotnymi zmianami w "Biuletyn Informacyjny Solidarność", Gdańsk, nr 19, 10 października 1980, s. 5-7.
6. Ulotka w posiadaniu autora.
7. Oświadczenie Egzaminujące Komisji Porozumiewawczej Solidarność z siedzibą w Gdańsku, z 1 października 1980, "Biuletyn Informacyjny Solidarność", Gdańsk nr 18, 9 października 1980, s. 2. Por. także Oświadczenie Gdańskiego MKZ, 29 września oraz Oświadczenie KKP z tego samego dnia, tamże, s. 1-2.
8. Ulotki powielone w posiadaniu autora.
9. Dokumenty KKP, 19.11.1980-1.02.1981, Gdańsk, luty 1981. Wyd. Sekretariatu KKP, s. 5-7.
10. tamże, s. 19.
11. tamże, s. 8. Por. także podobne oświadczenie z 10.12.1981, s. 13.
12. Oświadczenie KKP z dnia 10.12.1980, w sprawie aktualnej sytuacji społeczno-politycznej, tamże, s. 16.
13. Jerostaw Szczepieński: "Posiedzenie KKP, Bydgoszcz", "Tygodnik Solidarność" nr 11, 12 czerwca 1981, s. 3.
14. Tamże, s. 6.
15. Waldemar Kuczyński: "Płace w kryzys", "Tygodnik Solidarność" nr 13, 26 czerwca 1981, s. 4.

## BŁĘDNE KOŁO INFLACJI

Długa lista podwyżek cen urzędowych przeprowadzonych w ciągu ostatnich kilku miesięcy bułwersuje opinię publiczną. I jest to zrozumiałe, bo podwyżki te silnie uderzają w i tak już napięte budżety wielu rodzin, zwłaszcza tych, które żyją w niedostatku. Papierosy, gaz, czynsze, podstawowe artykuły żywnościowe, komunikacja miejska, węgiel, energia elektryczna, gaz i centralne ogrzewanie, a także alkohol, to tylko niektóre pozycje z tej długiej a przecież nie zamkniętej jeszcze listy. Oczywiście, rosną też ceny umowne i regulowane, przy czym często (np. odzież) są to ceny wyrobów o istotnym znaczeniu dla budżetów rodzinnych. W lecie i na jesieni czekają nas podwyżki cen mięsa oraz biletów kolejowych i PKS.

Jednak podwyżki te nie stanowią zaskoczenia. Gwałtowny wzrost cen w 1982 roku zapoczątkował działanie spirali cenowo płacowej i już od kilku lat obserwujemy wzajemną gonitwę dochodów i cen. Początkowo istniały nadzieje, że proces ten będzie dość szybko wygasł, a jednocześnie, że wzajemne relacje zmian cen, dochodów i podaży dążą w efekcie widoczną poprawę równowagi rynkowej. Obecnie jednak wiele wskazuje na to, że skala inflacji, mierzonego wzrostem cen i kosztów utrzymania, stabilizuje się na wysokim, kilkunastoprocentowym poziomie. Proces zmniejszenia się skali nierównowagi rynkowej postępował jednak - choć powoli - w okresie 1982-1984, natomiast w 1985 został zahamowany i trudno liczyć na znaczącą poprawę w roku bieżącym. Wysokie inflacje stają się nie tylko zjawiskiem trwałym, ale i całkowicie łatwym. Powstało błędne koło wyciągu cen i płac. Zastanawiamy się, co napędza ten mechanizm.

1. Drajstyczne podwyżki cen z 1982 roku, pomimo że spowodowała dramatyczny spadek realny płac i dochodów, nie dostosowała konsumpcji do poziomu odpowiadającego kryzysowemu realiom gospodarki polskiej. Dochód narodowy wytworzony na 1 mieszkańca był w roku 1982 niższy niż w 1973, dochód podzielony niemal na poziomie 1972 roku, natomiast spożycie spadło do poziomu niewiele niższego niż w 1975 r. W latach siedemdziesiątych mieliśmy oczywiście wysoką, przekraczającą możliwości gospodarki, stopę akumulacji. Jej poważne zmniejszenie pozwoliło właśnie na uzyskanie w roku 1982 spójności odpowiadającego temu z roku 1975. Jednak trwałe utrzymanie tej względnie niskiej stopy akumulacji możliwe było tylko pod warunkiem zasadniczej poprawy efektywności gospodarowania. Nie wolno też zapominać o bardzo wysokim i nadal szybko rosnącym zadłużeniu.

W latach 1983-1985 w gospodarce pojawiły się ponownie tendencje wzrostowe. Jednak nie były one zbyt silne, a w roku 1985 nastąpiło załamanie tempa wzrostu. Poziom dochodu narodowego wytworzonego (na 1 mieszkańca) odpowiadają wtedy poziomowi z roku 1974, natomiast poziom spożycia temu z ro-

ku 1976. Pomimo więc owego wzrostu wydłuża się niejako podróż, którą trzeba by odbyć w czasie, żeby uzyskać utracony czas. Obecnie poziom spożycia - choć bardzo niski - i tak przerasta więc realne możliwości gospodarki w tym stanie, w jakim się ona nadal znajduje.

2. Brak zasadniczej poprawy efektywności jest jedną z głównych przyczyn ponownej zmiany w podziale dochodu narodowego na rzecz inwestycji (w latach 1983-1985 nakłady inwestycyjne wzrosły o jedną trzecią i były w 1985 r. o 16% wyższe niż w 1972 roku i tylko o 7% niższe niż w 1973 r., podczas gdy stopa wzrostu dochodu narodowego w latach 1972 i 1973 przekraczała 10%, a w 1985 r. wyniosła tylko 3%). W konsekwencji możliwa jest uzyskanie znikomego tylko wzrostu płac realnych, dochodów i spożycia, wzrostu mieszczącego się w granicach statystycznego błęd<sup>a/</sup> i nieodczuwelnego przez większość społeczeństwa.

Te realie zderzają się ostro ze społecznymi oczekiwaniami na zdecydowaną poprawę poziomu życia, po wydłużającym się okresie wyrzeczeń związanych z obniżeniem realnych dochodów, kartkami, kolejkami i wysokim wzrostem cen. To zderzenie jest istotnym czynnikiem pobudzającym presję płacową.

Funkcjonujący obecnie mechanizm kreujący wzrost płac - poza jedną istotną cechą - jest w zasadzie taki sam, jak w latach siedemdziesiątych. W każdym razie mechanizmy ekonomiczne - również te formalnie ustanowione przez reformę - nie mają tu znaczenia nadrzędnego. Czynnikiem decydującym o wzroście płac i dochodów jest przede wszystkim wzgląd na "równowagę" polityczną i społeczną. Tak jak w latach siedemdziesiątych, presja płacowa przenoszona jest poprzez kanały hierarchicznego systemu zarządzania gospodarką. I choć uległy "dekompozycji" klasyczne zasady systemu regulacyjnego, wynikające ze skłócenia systemu nakazowo-rozdzielczego z autorytarnym systemem politycznym, to jednak główne zasady - a w tym międzyreszobowy przetarg, jako główne metoda uzgadniania rozbieżnych interesów - pozostały niezmienione. W obrębie centrum postępuje segmentacja i krystalizacja "grup interesów" oraz ponownie wzmagają się walka o podział i rośnie wrażliwość wąskiego centrum na naciski poszczególnych segmentów tego układu, różnorodnych grup będących tego centrum "klientami". Tym kanałem przenosi się zarówno presja wielu grup pracowniczych, jak też artykułowane są nieformalne interesy poszczególnych grup aparatu władzy. Natomiast, podobnie jak w przeszłości, niewielkie znaczenie ma zinstytucjonalizowana presja związków zawodowych. Główną tego konsekwencją jest "niedoreprezentowanie" interesów tych grup, które ani nie znajdują się we wpływowym sektorze, ani nie mają możliwości wywierania - poprzez zachowania konfliktacyjne - presji na ośrodki decyzyjne.

Ponadto, czynnikiem o istotnym znaczeniu - także analogicznie jak w latach siedemdziesiątych - jest sytuacja na rynku pracy. Brak silnej presji na efektywne działanie przedsiębiorstw, deficyt materiałów (i bieżącej w zapotrzebieniu), rozciągnięty front inwestycyjny i inne czynniki, powodują, że przedsiębiorstwa skłonne są zatrudnić znacznie więcej pracowników niż jest to fizycznie możliwe. Istnieje wiele kategorii pracowników (przede wszystkim fizycznych), o których pozyskanie (lub ich nie utracenie) konkurują przedsiębiorstwa - jest to pod rządami obecnej reformy, jak na razie, jedyny rodzaj konkurencji. Podstawowym instrumentem walki są oczywiście płace. Mechanizm ten działa ekspansywnie, gdyż przedsiębiorstwa - przynajmniej w si-

a/ Są co najmniej trzy powody, dla których GUS-e wskaźniki realnych dochodów tworzą nadmiernie optymistyczny obraz:

- 1/ są generalnie niewrażliwe na spadek jakości wyrobów,
- 2/ "nie doceniają" konsekwencji nierównowagi,
- 3/ nie odzwierciedlają deprecjacji zasobów pieniężnych.



Innych branżach - nie natrafiają na barierę "twardego finansowania".

3. Zmiana jakościowa w porównaniu z okresem poprzedniego dziesięciolecia polega na tym, że ceny przestały być społecznym tabu. Uelastycznienie polityki cenowej niesie ze sobą potencjalne zalety, lecz jednocześnie wraz z opisaniem powyżej mechanizmów wzrostu płac, otwiera drogę do spirali cenowo-dochodowej. Rozważanie, co było najpierw - czy wzrost cen czy płac, ma taki sam sens, jak zastanawianie się nad tym, czy najpierw było jajko czy kura. Zdominowanie mechanizmów wzrostu płac przez polityczne warunki stabilności systemu powoduje, że polityka cen traci charakter polityki aktywnej, a zostaje podporządkowana celom drenażowym, temu, by ceny nadążały za ruchem płac i dochodów. Podnosi się te ceny, których wzrost przynosi teoretycznie największe efekty z punktu widzenia równowagi globalnej, bez specjalnej troski o różnicę równowagi odcinkowej, relacje popytu i podaży na poszczególne dobra. Stąd koncentracja podwyżek na dobrach i usługach, na które popyt jest sztywny (czynsze, komunikacja, gaz, energia elektryczna, ogrzewanie) lub przynajmniej mało elastyczny (podstawowe artykuły żywnościowe), czy też dobrach, których podwyżki tradycyjnie mają charakter drenażowy (papierosy, alkohol). Natomiast unika się ustalania cen równowagi na szereg dóbr wyższego rzędu (np. samochody, benzyna i niektóre trwałe dobra konsumpcyjne), stosując nadal przydziałową dystrybucję. Dzieje się tak mimo że trudno oczekiwać społecznego wzburzenia np. z powodu ustalenia cen równowagi na samochody. Nie można objąć tej dziwnej predylekcji polityki cen, jeśli się abstrahuje od faktu, że przydziałowa dystrybucja jest niepieniężnym sposobem wynagrodzenia pewnych grup i jednostek - często bliskich kręgom władzy. Także i tę kwestię trzeba więc objąć w kategoriach politycznych mechanizmów podziału.

W latach 1984-1985 średnioroczny wzrost cen żywności i dóbr nieżywnościowych w handlu uspołecznionym był prawie idealny, podczas gdy wiadomo, że w latach tych względnej równowadze na rynkach podstawowych towarów żywnościowych towarzyszyła głęboka nierównowaga na wielu rynkach dóbr przemysłowych. Najsilniej zaś wzrosły ceny usług i głównie na skutek podwyżek cen usług bytowych. Polityka ta, mimo jej społecznej drastyczności, przynosi niewielkie i przejściowe tylko rezultaty. Po pierwsze, o jej nieskuteczności w znacznym stopniu decyduje mechanizm wzrostu płac opisany poprzednio, przy czym trzeba podkreślić, że koncentracja na podwyżkach podstawowych towarów i usług przyczynia się istotnie do wzmocnienia i tak już silnej presji płacowej. Wreszcie mała troska o równowagę odcinkową sprawia, że na niewielu tylko rynkach uzyskano odczuwalną poprawę równowagi. Tymczasem wielokrotnie zwracano uwagę na to, że zmniejszenie uciążliwości zakupów na konkretnych rynkach może przynieść bardziej znaczącą poprawę poziomu życia niż mogą ją dać globalne wskaźniki czy znikomy wzrost statystycznie tylko realnych płac. Efektem są jałowe obroty spirali inflacyjnej, nie przynoszące widocznej poprawy sytuacji rynkowej lub nawet - jak w roku 1985 - wyraźny regres.

Jednak wysoka inflacja niesie też widoczne negatywne skutki społeczne. Przy niskiej stopie wzrostu przeciętnych realnych płac i dochodów następuje ich spadek dla przynajmniej połowy gospodarstw domowych.

Inflacyjne mechanizmy wzrostu dochodów i cen niosą ze sobą istotne różnicowanie sytuacji materialnej poszczególnych grup społeczeństwa. Te grupy, których presja płacowa jest skuteczna, są w stanie utrzymać lub nawet poprawić swą sytuację bytową. Pozostałe grupy tracą dystans, a wiele z nich doświadcza absolutnego spadku poziomu życia. Obecny kształt polityki społecznej sprawia, że w znacznej części są to grupy już wcześniej żyjące w niedostatku (ludzie starsi i rodziny wielodzienne).

Ze względu właśnie na te społeczne konsekwencje, prowadzące do rozszerzenia się sfery ubóstwa, trudno orzec, czy obecny mechanizm cenowo-dochodowy, różniący się od mechanizmu z lat siedemdziesiątych tylko względem uelastycznieniem polityki cen, jest od niego korzystniejszy.

4. Trwająca już kilka lat wysoka inflacja i rysująca się perspektywa jej dalszego trwania, podważają zasadność nadziei na wprowadzenie zasad twardego finansowania przedsiębiorstw i generalnie na wprowadzenie w znaczącym zakresie regulacji rynkowej. Raczej wprost przeciwnie - utrzymywanie się obojętnej tendencji oznaczać musi ograniczenie tego i tak znikomego zakresu regulacji rynkowej, który wprowadzono i "naturalny" powrót do ręcznego sterowania gospodarką.

Zatem, postępujący szybko od 1983 roku, wzrost zróżnicowań nie jest funkcjonalny z punktu widzenia motywacyjnego, gdyż rosnące zróżnicowania odzwierciedlają nie tyle zróżnicowanie wydajności i efektywności, co skutki działań politycznych mechanizmów podziału i zróżnicowania dochodów przedsiębiorstw powstających na ułomnym i zdegenerowanym (przez nierównowagę i "przeregulowanie") rynku.

5. Utrzymujące się procesy inflacyjne towarzyszące głębokiej nierównowadze na wielu rynkach nie pozostają bez wpływu na zachowania konsumentów. Utrzymywanie się nadwyżkowego popytu oznacza, że cały czas mamy do czynienia z konsumentami stojącymi w kolejce, czekającymi na możliwość zrealizowania zakupu pożądanego dóbr. Z tego punktu widzenia sytuacja niewiele zmieniła się w stosunku do lat poprzednich. Dopóki jednak konsumenci z różnych powodów oczekują, że w dejującej się przewidzieć przyszłości przyjdzie im kolej i będą mogli nabyć poszukiwane dobra, dopóty gotowi są czekać spokojnie. Z sytuacją taką mieliśmy do czynienia w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, gdy szybki wzrost podaży rynkowej i pojawienie się wielu nowości skłaniało do optymistycznych oczekiwań i wyczekiwania na możliwość realizacji zakupu. Gdy optymizm pod wpływem coraz wyraźniejszych symptomów kryzysu zniknął, kolejka robiła się coraz bardziej nerwowa. Rosła skłonność do wydatkowania dochodów, już niekoniecznie na te dobra, które na początek zamierzano nabyć.

W 1981 roku - pod wpływem zdarzeń nie tylko ze sfery gospodarki - kolejka wpadła w panikę, co doprowadziło do całkowitej dezorganizacji rynku. Szok cenowy w 1982 roku i zapoczątkowane tendencje wzrostowe sprzyjały pewnemu uspokojeniu. Obniżyła się znacznie siła nabywcza środków pieniężnych będących w dyspozycji konsumentów, a "nawis" przemieścił się do najmniejszych gospodarstw domowych, które - z racji lepszego wyposażenia w dobra trwałe go użytku - mają bardziej sprecyzowane aspiracje, co do pożądanego dóbr. Ponadto pojawiły się nieco bardziej optymistyczne oczekiwania, związane z tendencjami wzrostowymi gospodarki w latach 1983-1985. Rok 1985 przyniósł jednak ponowny wzrost siły nabywczej, będącej w dyspozycji konsumentów, w relacji do dostępnej podaży. Kolejka zachowała, pomimo to, względny spokój. Ale na jak długo?

Relacja podaży (dostawy towarów + sprzedaży usług + zapasy) do funduszu pieniężnego w dyspozycji ludności (przychody netto + zasoby pieniężne)

1970	1975	1980	1981	1982	1983	1984	1985	1986 (plan)
1,086	0,94	0,881	0,752	0,806	0,844	0,861	0,845	0,852

Retras w procesie odbudowywania równowagi rynkowej, jaki nastąpił w 1982 roku<sup>1)</sup> i jakiego najwyraźniej nie uda się odrobić w roku obecnym.

Retras ten jest widoczny nawet gdyby nie brać pod uwagę kwerty wzrostu

tendencje stagnacyjne w gospodarce, niewielki przewidywany wzrost podaży dóbr konsumpcyjnych, zwłaszcza zaś dóbr przemysłowych, na które popyt jest wysoki i głęboko niezaspokojony, utrzymująca się wysoka stopa inflacji (będzie ona w najlepszym razie niewiele niższe niż obecna, jeszcze przez dobrych kilka lat) mogą spowodować gwałtowny zwrot w postawach konsumentów. Utrata resztek optymizmu sprawić może, że kolejka znów się zdemenuje, a nawet wpadnie w panikę.

6. Aby zapobiec tej groźbie konieczna jest przerwanie owego błędnego koła jałowej inflacji. Jest to trudne - lub zgoła niemożliwe - bez zasadniczych zmian w sferze efektywności gospodarowania i bez znalezienia wyjścia z pułapki zadłużenia. Trzeba niestety założyć, że bez rozwiązania tych dwóch globalnych kwestii nieuchronna jest długotrwała stagnacja płac i dochodów realnych (zakładają to - jak się wydaje - autorzy projektu planu na lata 1986-1990). W tej zaś sytuacji, przywrócenie równowagi i ograniczenie inflacji wymagałoby między innymi stłumienia pracowniczych presji płacowych. Stabilność systemu musiałaby być gwarantowana wówczas przez rozbudowę jego funkcji represyjnych. Trudno z nadzieją oczekiwać przywrócenia równowagi na tej drodze - nawet gdy te kwestie uznaje się za jeden z centralnych problemów gospodarki.

Groźba stagnacji polskiej gospodarki rysuje się realnie, ale nie ma podstaw by ją traktować fatalistycznie. Realizacja rydykalnego programu reformy w zarysie opracowanego w roku 1981, jest potencjalnie nadal możliwa. Jest to zasadnicza szansa przeciwstawienia się groźbie gospodarczej stagnacji w drodze wzrostu efektywności gospodarowania. Jednak przyjmując ten optymistyczny scenariusz nie można zakładać, że kwestia nierównowagi rozwiąże się automatycznie. Jest przecież niespornym faktem, że obecne koło jałowej inflacji jest zarówno napędzane przez niezreformowany system, jak też stanowi potencjalną blokadę reformy. Stoimy więc nadal przed problemem zatrzymania ruchu po spirali rosnących cen i płac, co oznacza konieczność eliminacji lub choćby zasadniczego zmniejszenia nadwyżkowego popytu - po to, by otworzyć przestrzeń dla racjonalnego działania mechanizmów rynkowych.

I w tej kwestii należy powrócić do idei z roku 1981. Sądzymy, że nie ma żadnej rozsądnej alternatywy dla idei kontraktu społecznego, którego istotą byłoby społeczne przyzwolenie na przywrócenie równowagi, organicznie związane z realizacją głębokiej reformy pod społeczną kontrolą. Obowiązywać powinna na także sprecyzowana wówczas "opcja preferencyjna" na rzecz uboższych grup ludności. Obowiązywać powinna nie tylko dlatego, że przemawiają za nią racje moralne, ale dlatego, że zasada kontraktu społecznego po prostu implikuje ochronę słabszych grup ludności.

Nie widać żadnej rozsądnej alternatywy dla postulatów "systemowego uznania" inflacji. Jego uznanie pociąga za sobą konieczność wprowadzenia mechanizmów indeksacji świadczeń społecznych i płac. Indeksacja nie może być oczywiście pełna, ograniczyć się musi tylko do wzrostu cen podstawowych dóbr i usług, bo w przeciwnym razie nie istniałaby możliwość ograniczenia nadwyżkowego popytu. W warunkach inflacji nie ma jednak szans na uruchomienie mechanizmów motywacyjnych, jeśli nie wprowadzi się takiej indeksacji. W sytuacji obecnej każdy wzrost płac jest i będzie traktowany jako rekompensata.

x  
x x

zowanych bonów rewaloryzacyjnych. Trzeba też zwrócić uwagę na to, że właśnie w 1985 r. powstały lepsze niż poprzednio warunki zewnętrzne dla ograniczenia inflacji: korzystniejsze warunki spłaty kredytów i wyraźna poprawa relacji pomiędzy cenami dóbr eksportowanych i importowanych (terma of trade) w handlu zagranicznym. Szansy tej nie wykorzystano.

Niestety, obserwacja praktyki i lektura dokumentów zdają się jednoznacznie dowodzić, że kierownictwo polityki gospodarczej ma zamiar w najbliższych latach leczyć gospodarkę z choroby nierównowagi i inflacji stosując niezmienną w zasadzie terapię. Gdyby tak się stało, wówczas trudno byłoby przewidzieć poprawę na tym niewsłabującym odcinku. Jednocześnie trudno przecenić destruktywny wpływ utrzymywanie się nierównowagi i inflacji na proces reformowania gospodarki, a zatem i na wychodzenie z kryzysu.

Ryszard Bugaj, Krzysztof Hegemajer

Artykuł zdjęty przez cenzurę. Tekst drukujemy bez wiedzy i zgody autorów.

## REFORMA PRAWA KARNEGO- program minimum.

### I

Ruch na rzecz reformy prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości, który rozwinął się w Polsce w latach 1980-81 był zjawiskiem bez precedensu w historii krajów obozu komunistycznego. Mimo iż został on zablokowany przez władze z chwilą wprowadzenia stanu wojennego nie można go uznać za proces zakończony. Główne idee tego ruchu nadal są podtrzymywane i głoszone tylko że w sposób bardziej ograniczony, taki na jaki pozwalają obecne warunki.

Trwałość postulatów głoszonych w latach 1980-81 wynika z ich prostoty i słuszności. Można je - jak to czynią władze - opatrywać etykietkami "kontrrewolucyjnymi", "anarchistycznymi", "oderwanymi od rzeczywistości czy "nierealnymi", ale nie zmienia to faktu, że żądania jakie wysuwano pod adresem prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości zmierzały do praktyczne, realizacji tych wartości, które wielokrotnie deklarowano oficjalnie jako podstawy socjalizmu. Pięknych słów i deklaracji nigdy nie brakowało i nie brakuje w realnym socjalizmie; sprawiedliwość społeczna, równość obywateli, humanizm, demokracja, praworządność, konstytucyjność, zgodność prawa wewnętrznego z prawem międzynarodowym, preferowanie norm prawnych mających wsparcie w normach moralnych, działanie aparatu państwowego oparte na zaufaniu do obywatela, tylko konieczne ingerencje represyjne, itd.

Jednakże tworzonej na użytek propagandy wizji socjalistycznego prawa przeczyła zawsze i przeczy nadal dobrze znana społeczeństwu rzeczywistość. Rzeczywistość, w której prawo funkcjonuje przede wszystkim jako narzędzie rządzącej partii i jest "podniesioną do godności ustawy polityką", której społeczeństwo musi się podporządkować, mimo iż na jej kształt nie ma większego wpływu. Niezgodność deklaracji z praktyką życia społecznego w naturalny sposób wywołuje żądania zmian, a istotę tych żądań sprowadzić można do sprzeciwu wobec postępującego procesu demoralizacji systemu prawnego oraz do postulatów jego uzgodnienia ze społecznym poczuciem prawnym.

Opisany mechanizm sprzeczności hasła z rzeczywistością (lub - jak kto woli - teorii z praktyką) w dziedzinie prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości jest zjawiskiem szczególnie łatwym do wykrycia prawdopodobnie dlatego, że metoda przymusu i represji będąca - jak uczy historia - podstawowym narzędziem sprawowania władzy w systemie realnego socjalizmu jest na ogół społeczeństwu dobrze znana, jako źródło strachu i innych dolegliwości.

Toteż - ilekroć jest to możliwe - obiektem protestu społecznego staje się zwykle w pierwszym rzędzie system karny i aparat ścigania. Tak było w Polsce w roku 1956 - w większej skali - w latach 1980-81.

Ruchowi reform z lat 1980-81 przyświecała idea dokonania takich zmian w prawie karnym, które doprowadziłyby do zmniejszenia intensywności i zakresu

zu jego stosowania, wraz z jednoczesnym wzmocnieniem gwarancji praw jednostki oraz ochrony indywidualnych dóbr obywateli. Projektowana reforma zmierzała do realizacji kilku głównych postulatów: 1/ likwidacji nadmiernej represyjności (punitowności) prawa karnego; 2/ ograniczenia penalizacji życia społecznego, głównie w dziedzinie politycznej i ekonomicznej; 3/ realizacji zasady sprawiedliwej ochrony prawnej; 4/ rozszerzenia i wzmocnienia gwarancji przestrzegania praw człowieka w wymiarze sprawiedliwości.

Chodziło więc z jednej strony o likwidację zjawiska nadużywania przez władze karno-prawnej metody regulowania stosunków społecznych, z drugiej zaś o oparcie tej regulacji na wyważonym kompromisie pomiędzy potrzebą ochrony politycznych i gospodarczych interesów państwa, a potrzebą ochrony indywidualnych dóbr obywateli oraz koniecznością przestrzegania podstawowych praw człowieka.

Opracowywane w 1981 r. propozycje zmian w prawie karnym, mimo racjonalności i umiarkowania wysuwanych postulatów zostały praktycznie przekreślone. Z chwilą wprowadzenia stanu wojennego władze przyjęły kurs dokładnie odwrotny w stosunku do projektowanej reformy, koncentrując się na zaostrzeniu represji karnej oraz rozszerzeniu i wzmocnieniu ochrony interesów państwa, kosztem dóbr i praw obywateli.

To prawda, że propaganda prowadzona pod hasłem walki z przestępczością zyskuje z reguły dość łatwo poparcie pewnej części społeczeństwa, ale wydaje się, że obecnie, wobec znacznej niewygodności władz efekty tej propagandy są ograniczone i nietrwałe. Lansowana ostatnio polityka karna budzi opory nie tylko w szerokich kręgach społecznych związanych z Solidarnością i Kościołem, lecz także wśród ludzi, którzy skłonni są generalnie do poparcia władz.

Oprócz środowiska naukowego i adwokatury, od początku krytycznie nastawionych do ostatnich zmian w prawie karnym, również Zrzeszenie Prawników Polskich i PRON krytykowały najnowsze ustawy karne i prowadzą na ich podstawie politykę. Nawet w samym Ministerstwie Sprawiedliwości większość prawników negatywnie ocenia niektóre, przygotowywane przez resort projekty ustaw oraz główne kierunki polityki karnej. Rozszerzenie, zaostrzenie i przypieszenie represji karnej postawi władze już niedługo przed faktem braku miejsca w więzieniach. W takiej sytuacji trzeba się będzie albo wycofać z dotychczasowej polityki, albo tworzyć nowe zakłady karne. Są pewne symptomy, które zdają się wskazywać, że dotychczasowa polityka represyjna będzie kontynuowana na szerszą skalę. Jeżeli w odpowiednim momencie nie zwycięży rozsądek, to następnym etapem, po dokonaniu projektowanych zmian w prawie pracy i rozszerzeniu zakresu ustawy antypasożytniczej, mogą być już tylko roboty przymusowe lub obozy pracy.

Niezależnie od tego, jaką drogą pójdzie polityka władz, należy nadal podtrzymywać i propagować główne postulaty reformy prawa karnego w wersji nadanej jej w roku 1981. Ważne jest skonstruowanie pewnego programu minimum, od którego nie można odstąpić w żadnych okolicznościach - a więc nawet wówczas, gdy wydaje się, że brak jest jakichkolwiek możliwości jego praktycznej realizacji. Program taki nie powinien być tworzony pod przemożnym wpływem istniejących warunków, skłaniających do minimalizacji żądań. Warunki te traktować trzeba jako okoliczności zmienne, zwiększające lub zmniejszające szanse powodzenia. Należy zachować gotówkę do kompromisu, jednakże z pełną świadomością, że ma on swoje nieprzekraczalne granice.

## II

Ogólny kierunek reformy prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości rysuje się w sposób prosty; tak jak w całym systemie prawnym, tak i w tej dziedzinie powinny znaleźć rzeczywiste zastosowanie wielokrotnie deklarowane wartości i zasady - sprawiedliwość, wolność i równość obywateli, humanizm,

demokracją, praworządność, konstytucyjność, zgodność prawa wewnętrznego z prawem międzynarodowym, preferowanie norm prawnych walących w wsparcie w normach moralnych, tylko konieczna ingerencja represyjna.

Wspomniane wartości i zasady są powszechnie uznawane, a ich rzeczywista realizacja prowadziłaby do zwężenia społecznej akceptacji systemu prawnego. Prawo takie byłoby bardziej przestrzegane i skuteczne, a tym samym przyczyniłoby się do ogólnej poprawy sytuacji gospodarczej kraju. Reforma projektowana w 1981 roku wytyczyła podstawowe kierunki zmian w dziedzinie prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości. Zachowują one pełną aktualność m.in. dlatego, że były programem realistycznym, który bez żadnych radykalnych czy rewolucyjnych posunięć zmierzał do poprawy istniejącego stanu rzeczy. Postulaty formułowane w roku 1981 zyskały powszechną aprobatę wśród specjalistów przygotowujących projekty zmian niezależnie od działających ich, często bardzo znacznych różnic politycznych i światopoglądowych. Dowodem tego była zasadnicza zbieżność propozycji; przygotowywanych przez dwie działające niezależnie od siebie komisje ekspertów - rządową, powołaną w październiku 1980 roku przez ministra sprawiedliwości i społeczną, powstałą w Krakowie z inicjatywy NSZZ Solidarność. Ludzie, działający w tych komisjach mieli nie tylko odmienne poglądy polityczne i filozoficzne, lecz różnili się także poglądami na rolę prawa karnego i pożądany kształt wymiaru sprawiedliwości. A jednak, mimo tych różnic, zdołali uzgodnić podstawowe kierunki zmian.

Wydarzenia, które nastąpiły po 13 grudnia 1981 r. nie tylko nie zdezakwalizowały przygotowanych propozycji, ale przeciwnie - uczyniły je jeszcze bardziej uzasadnionymi, gdyż władze, postępując wbrew projektowanej reformie, pogłębiły jedynie dotychczasową patologię prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości. Wprowadzając warunki realizacji programu reform są obecnie obiektywnie trudniejsze niż w roku 1981, ale nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach nie należy rezygnować z żądań minimalnych o podstawowym znaczeniu.

Do postulatów tego typu zaliczyć trzeba cztery podstawowe, ogólne kierunki reformy, o których już wspomniano, a które obecnie należy przedstawić dokładniej:

- 1/ likwidację nadmiernej represyjności prawa karnego;
- 2/ ograniczenie penalizacji życia społecznego, przede wszystkim w sferze politycznej i gospodarczej;
- 3/ realizację zasady sprawiedliwej ochrony prawnej;
- 4/ rozszerzenie i wzmocnienie gwarancji przestrzegania praw człowieka w wymiarze sprawiedliwości.

### III

Żądanie likwidacji, a przynajmniej ograniczenia nadmiernej represyjności prawa, albo puniwności systemu karnego nie jest niczym innym, jak domaganiem się społecznej racjonalizacji represji karnej. Nie ma ono nic wspólnego ze zmniejszeniem czy osłabieniem ochrony społeczeństwa i poszczególnych obywateli przed przestępczością, lecz wręcz przeciwnie - zmierza do uczynienia tej ochrony bardziej racjonalną, a przez to bardziej skuteczną. Rzecz jednak w tym, aby system sankcji karnych i ich stosowanie przestały być domeną arbitralnych decyzji władz politycznych i stały się instrumentem rzeczywistej ochrony ważnych interesów ogólnospołecznych oraz dóbr indywidualnych obywateli.

Zarówno racjonalizacja represji karnej, jak i cała reforma nie będą możliwe bez zapewnienia realnej niezawisłości sędziom orzekającym w sprawach karnych. Problem niezawisłości sędziowskiej ma oczywiście znaczenie szersze, gdyż wiąże się z problemem stosowania prawa w ogóle i pozycją sędownictwa w ustroju komunistycznym. Za fasadą deklarowanej niezawisłości sędownictwa władze poprzez przepis prawa, działania administracyjne i polityczne, starają się kępować niezawisłość sędziów i uczynić z nich posłusz-

nych woli partii funkcjonariuszy państwowych. Jednakże doświadczenie czasu Solidarność przekonuje, że ograniczenia narzucane sędziom są przez większość z nich potępiane, a w sytuacji, gdy jest to możliwe - odrzucane. Walka o niezawisłość sędziowska jest walką o prestiż sądownictwa w społeczeństwie, o jego społeczną akceptację. Tylko niezawisły sąd może być rzeczywistym strażnikiem praworządności i gwarantem właściwej ochrony dóbr społecznych i jednostkowych.

To założenie jest jedną z podstaw reformy prawa karnego, a postulaty dotyczące rewizji systemu sankcji i środków karnych zmierzają w istocie do usunięcia lub modyfikacji przepisów prawa ograniczających sędziów w orzekaniu zgodnie z własnym sumieniem. Propozycje dotyczące sankcji karnych zmieniają nie tyle do ich generalnego obniżenia, co przede wszystkim do likwidacji zbyt wysokich dolnych progów zagrożenia, gdyż właśnie podniesienie dolnych granic sankcji jest od lat wypróbowanym sposobem zmuszenia sędziów do orzekania surowszych kar. W ten sposób zaostrzono systematycznie represję karą m.in. w stosunku do recydywistów, sprawców tzw. przestępstw liganckich oraz zagarnięcia mienia społecznego.

Zbyt skrupowani są również sędziowie przepisami o warunkowym umorzeniu postępowania, warunkowym zawieszeniu wykonania kary i warunkowym przedterminowym zwolnieniu. Również w ramach tych instytucji sędziowie winni mieć większą swobodę w orzekaniu.

Csobnym problemem, związanym z ogólnym poziomem represyjności prawa karnego jest zagadnienie utrzymywania kary śmierci w ustawodawstwie PRL. Należy podtrzymać postulat zniesienia tej kary, wysunięty przez Komisję społeczną w 1981 roku. Wypada przypomnieć, że w komisji rządowej istniała w tej kwestii rozbieżność zdań i komisja ta przedstawiła ostatecznie dwa warianty rozwiązania: albo całkowite zniesienie kary śmierci, albo jej utrzymanie tylko ko dwa przestępstwa - zdradę ojczyzny i morderstwa.

#### IV

W toku dyskusji nad prawem karnym prowadzonej w 1981 roku podkreślano wielokrotnie, że wykazuje ono tendencję do nadmiernej penalizacji życia społecznego. Nadużywanie metody karnej w regulowaniu stosunków politycznych i ekonomicznych - tak charakterystyczne dla okresu stalinowskiego - nadal stanowi jedną z głównych cech obowiązującego prawa karnego i praktyki wymiaru sprawiedliwości.

W życiu politycznym i ekonomicznym za pomocą represji karnej utrzymywane są stosunki narzucone większości społeczeństwa przez centralny aparat partynoparlistyczny, a groźba kary jest głównym regulatorem tych stosunków. Konieczne jest weryfikacja szczególnie rozbudowanego katalogu przestępstw przeciwko państwu i porządkowi publicznemu oraz dostosowanie go do potrzeb realnej ochrony interesów państwa.

Te same uwagi odnieść można do sfery gospodarczej, gdzie sankcje karne nie mogą na dłuższą metę zastępować mechanizmów ekonomicznych. Utrzymanie przez władzę, a nawet ozbudowywanie, represji karnej we wspomnianych dziedzinach jest oczywistym zaprzeczeniem twierdzenia o postępującej normalizacji życia politycznego i gospodarczego w PRL. Pełną aktualność zachowują zatem głoszone już w 1981 roku postulaty ograniczonej i racjonalnej depenalizacji w dziedzinie przestępstw przeciwko państwu i porządkowi publicznemu. Chodzi tu przede wszystkim o przepisy zawarte w ostatnim rozdziale kodeksu karnego, które w obecnym kształcie praktycznie likwidują takie podstawowe prawa polityczne obywateli, jak: wolność słowa i druku, swoboda głosu poglądów, prawo do stowarzyszania się i zgromadzeń.

W przepisach o przestępstwach przeciwko podstawowym interesom państwa (rozdział XIX k.k.) przewidujących możliwość stosowania najsurowszych kar (w tym aż w siedmiu wypadkach kary śmierci) należałoby dokonać takie-



go uściślenia określeń dotyczących znamion przestępstw, aby wykluczyć możliwość arbitralnego oskarżenia o ich popełnienie osób, które władze wybiorą sobie do odgrywania roli głównych wrogów ustroju.

W dziedzinie ekonomicznej postulować trzeba przede wszystkim likwidację represji karnej służącej do egzekwowania przymusu pracy (zgodnie z ustawą antypasożytniczą), a także stopniową rezygnację z przepisów karnych dotyczących tych negatywnych zjawisk życia gospodarczego (takich np. jak spekulacja, niegospodarność czy spowodowanie niedoboru), które powinny być ograniczone i likwidowane przede wszystkim przy użyciu mechanizmów ekonomicznych. Należy przeciwstawić się używaniu więzienia jako podstawowego narzędzia osiągnięcia lub powstrzymania zmian społecznych. Wiedze, które w taki sposób używają metody karnej, chcą w rzeczywistości rozwiązać problemy społeczne przemocą, ukrywając to za fasadą propagandowych deklaracji o dążeniu do zgody społecznej i porozumienia.

## V

Zasadę sprawiedliwej ochrony prawnej narusza zbyt daleko posunięta dominacja ochrony interesów państwa nad ochroną dóbr i praw jednostki. Jest wprawdzie oczywiste, że współczesne prawo karne bardziej niż kiedykolwiek angażuje się w ochronę władzy państwowej, ale nie usprawiedliwia to absurdalnych różnic w sposobie traktowania interesów państwa oraz dóbr indywidualnych obywateli.

Od czasów stalinowskich utrzymywana jest rażąca dysproporcja w ochronie mienia społecznego i własności prywatnej, uzasadniana pryncypiami ustrojowymi. Efekty wieloletniego stosowania tej zasady prowadzą do wniosku, że wymuszenie poszanowania mienia społecznego pod groźbą kary nie może zastąpić innych działań, zmierzających do kształtowania obywatelskich postaw, w których szacunek dla tego mienia wynikać będzie z akceptacji państwa i jego polityki. Rażące jest utrzymywanie takiego sposobu karno-prawnej ochrony własności społecznej, zgodnie z którym najniższa kara, zależna od zagarniętej kwoty (obecnie minimum 5 lat pozbawienia wolności przy zagarnięciu mienia społecznego o wartości powyżej 300 000 zł) równa jest górnej granicy zagrożenia za kradzież mienia prywatnego. Likwidacja albo przynajmniej zmniejszenie różnicy w ochronie własności społecznej i prywatnej byłoby jednym z przejawów większego niż dotychczas poszanowania przez państwo dóbr indywidualnych obywateli.

Brak jest także właściwej regulacji prawno-karnej ochrony praw jednostki przed przestępstwami ze strony funkcjonariuszy państwa. Ustanowienie zastrzeżonej odpowiedzialności tych funkcjonariuszy za przestępstwa przeciwko prawom obywatela mogłoby się również przyczynić do zwiększenia akceptacji prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości przez ogół społeczeństwa.

## VI

Zagadnienie poszanowania podstawowych praw człowieka w procesie wymiaru sprawiedliwości karnej jest ważną częścią ogólniejszego problemu przestrzegania tych praw w całym systemie państwowym. Obowiązujące prawo karne zawiera szereg przepisów określających przestępstwa w sposób szeroki i niejasny, co powoduje zatarcie granic między działaniami zakazanymi a dozwolonymi i ułatwia stosowanie tych przepisów jako narzędzi eliminowania wszelkiego rodzaju niezależnej działalności społecznej w szczególności politycznej ekonomicznej i związkowej. Problem ten dotyczy zakresu represji karnej i wiąże się z postulatami depenalizacji życia społecznego.

Inną formą naruszania praw człowieka jest osłabienie lub brak gwarancji poszanowania tych praw w procesie stosowania prawa karnego, a w szczególności w postępowaniu przygotowawczym i wykonawczym.

W projektach reformy postępowania karnego z 1981 roku eksponowano przede wszystkim brak kontroli niezawisłego sądu nad pozbawieniem wolności stosowanym przez organy ścigania w formie zatrzymania lub tymczasowego aresztowania. Zwracano także uwagę na zbyt szeroko i nieprecyzyjnie ujęte podstawy prawne stosowania tych środków, a także na praktyczne wyłączenie prawa do obrony w postępowaniu przygotowawczym.

Zmiany w prawie, dokonane po 13 grudnia 1981 roku, a w szczególności ustawy o MSW oraz ustawy karne z 10 maja 1985 roku, czynią ówczesne postulaty reformy procedury karnej jeszcze bardziej uzasadnionymi i aktualnymi. Szczególnie jaskrawym przykładem naruszenia podstawowych praw człowieka jest przetrzymywanie całymi latami w więzieniu bez wyroku sądowego niektórych działaczy opozycyjnych. Wzrastające samowola organów ścigania i ich dominacja nad sądownictwem sprawiają, że postulaty dotyczące stworzenia minimalnych gwarancji przestrzegania praw jednostki w postępowaniu karnym powinny być traktowane jako szczególnie ważne i pilne. Dotyczą one także postępowania wykonawczego, a przede wszystkim sposobu wykonywania kary pozbawienia wolności.

Już w 1981 roku akcentowano konieczność poprawy sytuacji w więzieniach. Tylko niewielka część z nich została wówczas uwzględniona, a sytuacja w więzieniach PRL pogarsza się systematycznie, wobec narastającego przeładunku zakładów karnych oraz nie rozwiązane dotychczas problemu więźniów politycznych. Do najważniejszych obecnie postulatów dotyczących więziennictwa należy żądanie zagwarantowania jego społecznej kontroli przez dobrowolne organizacje osób, chcących poświadczyć się pomocy więźniom oraz domaganie się prawnej regulacji odrębnego statusu więźniów politycznych czy też - jak woła władze - "niekryminalnych".

Upominając się o realizację minimalnych żądań dotyczących zmian w funkcjonowaniu systemu więziennego nie można zapominać o konieczności jego bardziej zasadniczej reformy, której główne kierunki wskazuje już od dawna dyskusja naukowców i praktyków w dziedzinie penitencjarystyki.

Istotnym zadaniem praktycznym jest utrzymanie zainteresowania i pogłębienie wiedzy opinii publicznej o sytuacji w więzieniach PRL. Sytuację tę władze na ogół ukrywają bądź po prostu dezinformują społeczeństwo.

## VII

Przedstawiony dotychczas zarys głównych kierunków programu reformy prawa karnego i systemu wymiaru sprawiedliwości zmusza do zastanowienia się nad praktycznymi możliwościami jego realizacji. Oczywiście jest spostrzeżenie, że ani obecne czasy ani nawet możliwa do przewidzenia przyszłość nie sprzyjają wprowadzeniu w życie proponowanych zmian, a szanse ich wywołania przez wykorzystanie istniejących instytucji ustroju politycznego w PRL są niewielkie.

Nie oznacza to jednak, że władze mogą całkowicie nie liczyć się z faktycznym pluralizmem społeczeństwa polskiego i siłą jego nacisku. Ekipa rządząca PRL funkcjonuje w skomplikowanej sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, a swoboda jej działania jest w rzeczywistości mniejsza od tej, którą sugeruje optymistyczne propaganda. W takich warunkach nie tracą sensu żadne działania na rzecz poprawy stanu systemu karnego.

Wśród różnych, dostępnych form aktywności społecznej na pierwsze miejsce wysuwa się konieczność prowadzenia i rozszerzania odpowiedzialnej akcji edukacyjnej w szkołach, wyższych uczelniach i ośrodkach duszpasterskich, a także w różnych grupach nieoficjalnych. Należy także wykorzystywać do maksimum możliwość publikowania wypowiedzi w państwowych środkach masowego przekazu oraz propagowanie niezbędności reform prawa za pośrednictwem oficjalnych organizacji interesujących się problematyką prawną. Działaniom jawnym i publicznym towarzyszyć muszą akcje nieoficjalne. W szczególności wy-

dawnictwa niezależne powinny rozwinąć program odpowiedniej edukacji prawniczej, obejmujący również zagadnienia prawa karnego i wymiaru sprawiedliwości. Oprócz materiałów w prasie tygodniowej i publikowania specjalnego periodyku prawniczego należałoby rozpocząć wydawanie większych prac o charakterze popularno-naukowym, dostępnych dla przeciętnego odbiorcy bez wykształcenia prawniczego. Ogólnie rzecz biorąc, ważne jest aby władze odczuwały nacisk społeczny, aby miały dowody tego, że społeczeństwo nie odstąpiło i nie zamierza odstąpić od swoich żądań. Obecna polityka, nie tylko w dziedzinie prawa i wymiaru sprawiedliwości, może doprowadzić do kolejnej katastrofy i wydaje się, że prędzej czy później władze będą musiały jej ponieść na rzecz rozwiązań proponowanych przez stronę społeczną.

L.T. W.F.

## WIZJA PEWNEJ GOSPODARKI

Trzy cechy występujące łącznie powinny charakteryzować przyszły system ekonomiczny: samorządne przedsiębiorstwo, wolny od biurokratycznych deformacji rynek oraz rzeczywista społeczna kontrola nad państwowymi ośrodkami polityki gospodarczej. Dotychczas udało się wymusić na władzy formalną akceptację samorządów pracowniczych. Zaraz jednak po tym nastąpiło ograniczenie ich roli. Od wprowadzenia wolnego rynku władza programowo się odżegnuje. Form kontroli nad rządem jest dużo, ale skuteczna jest tylko jedna, którą sprawuje kierownictwo PZPR. Rzeczywistej kontroli społecznej nad ośrodkami władzy w ogóle nie ma. Dystans między stanem obecnym a pożądanym jest zatem ogromny.

### I

Efektywność przedsiębiorstwa zależy od tego, kto jest jego faktycznym gospodarzem oraz od warunków otoczenia przedsiębiorstwa. Faktycznym gospodarzem nie jest ten (indywidualny lub zbiorowy) podmiot, któremu formalnie przypisano tę rolę, ale ten, którego interesie leży pomyślność przedsiębiorstwa i który może decydować o tym, co i jak robić w przedsiębiorstwie, aby jego sytuację i perspektywę poprawić. Z kolei znaczenie warunków otoczenia polega na tym, że uzależnia pomyślność przedsiębiorstwa od jego efektywności i innowacyjności lub nie uzależnia. Wielokrotnie zostało już dowiedzione w teorii i praktyce, że najkorzystniej wpływają na efektywność i dynamizm innowacyjny przedsiębiorstwa: silne uzależnienie dochodów gospodarzy przedsiębiorstwa od jego wyników finansowych oraz otoczenia rynkowe.

Spór o to, kto może i powinien być gospodarzem przedsiębiorstwa stanowiącego własność publiczną, trwa w Polsce od dawna. Szerokie poparcie zyskał pogląd, że powinna nim być cała załoga czyli samorząd pracowniczy. Są jednak także opinie, że rolę tę powinno pełnić kierownictwo przedsiębiorstwa. W związku z tym wyróżnia się rozwiązania "samorządowe" i "menedżerskie". Jest to oparte na pewnym nieporozumieniu, które się powiększa, gdy zarządzanie "menedżerskie" w gospodarce centralnie planowanej broni się jako rzekomo podobne do zarządzania przedsiębiorstwami kapitalistycznymi.

Przedsiębiorstwa "samorządowe" nie różnią się od "menedżerskich" tym, że nie mają fachowego kierownictwa, gdyż bez niego nie mogłyby długo funkcjonować w jakimkolwiek systemie. Kryterium podziału stanowi to z czyjej woli działają kierownicy i przed kim ponoszą odpowiedzialność. Jeśli kierownicy nie działają z upoważnienia samorządu pracowniczego, to ich mocodawcą musi być jakiś podmiot zewnętrzny. W sektorze własności państwowej jest to wówczas, w ostatecznym rachunku, zawsze organ administracji państwowej. Nawet gdy formalnie nadzór nad kierownikami sprawują ciała złożone z przedstawicieli odbiorców, banku i administracji państwowej, decydujący głos posiadają ci ostatni. Tak więc, aby nazwy nie były mylące, należałoby mówić nie o systemach "samorządowym" i "menedżerskim", lecz o systemach samorządowo-

menedżerskim i państwowo-menedżerskim.

Opowiadanie się za rozwiązaniem samorządowo-menedżerskim jest równoznaczne z postulowaniem głębszej reformy systemu ekonomicznego niż ta, która wprowadza zarządzenie państwowo-menedżerskie. W tym ostatnim przypadku dyrektor przedsiębiorstwa jest, podobnie jak w systemie nakazowo-rozdzielczym przedsiębiorstwa państwowym, najniższym ogniwem państwowej administracji gospodarczej. Różnica jest tylko "ilościowa" w tym sensie, że menedżer - urzędnik państwowy otrzymuje od nadrzędnych organów administracyjnych większą autonomię, niż miał w systemie nakazowo-rozdzielczym. Poszerzenie autonomii następuje w związku z tym, że dyrektor otrzymuje od swych zwierzchników polecenia bardziej ogólne niż dawniej, zakodowane w tzw. nerządziech ekonomicznych i musi w bog tego dokonywać szczegółowych wyborów, istota sprawy pozostaje więc nie zmieniona: dyrektor wykonuje polecenia odgórne. Zmienia się tylko forma poleceń.

Ważną cechą rozwiązania państwowo-menedżerskiego jest również to, że nadrzędne organy mogą bez trudności wprowadzić do zestawu poleceń także bezpośrednio, szczegółowo nakazy, ograniczając tym samym autonomię dyrektora. Jako komitat państwowy nie może on przeciwdziałać takiemu postępowaniu administracji państwowej. Nawet głośne wyrażenie sprzeciwu narażałoby go na gniew przełożonych, zagrożający jego karierze. Należy dodać, że w systemie państwowo-menedżerskim nieuniknione są tendencje centralnej administracji do bezpośredniego ingerowania w decyzje dyrektorów.

Jawnym nieporozumieniem jest przypisywanie systemowi państwowo-menedżerskiemu wadów podobnych do tych, którymi odznacza się zarządzanie przedsiębiorstwami kapitalistycznymi. Tendencyjnie eksponuje się tutaj niezależność kapitalistycznych menedżerów od przedstawicielskich organów pracowniczych (co zresztą nie jest całkowicie ściśle). Natomiast pomija się fakt niezależności menedżerów od administracji państwowej. Tak jest, w każdym razie, w sektorze prywatnym, który dominuje. U nas przeważa sektor własności państwowej. W rezultacie tam menedżer tak kieruje przedsiębiorstwem, aby odosiło sukcesy na rynku, tu zaś tak, aby zostało dobrze ocenione przez odpowiednie urzędy.

Rozwiązanie samorządowo-menedżerskie jest w naszych warunkach ustrojowych koniecznym warunkiem wprowadzenia i konsekwentnego przestrzeżenia samodzielnosci przedsiębiorstwa. Samodzielność przedsiębiorstwa jest z kolei równoznaczna z jego rynkową orientacją. Dla sprawności i efektywności przedsiębiorstw istotne znaczenie ma wówczas charakter rynku. Sprawa ta zostanie dalej nieco dokładniej omówiona. W tym miejscu warto jednak poczynić pewną uwagę. Rynek, z jakim mamy dotychczas do czynienia w Polsce, nie jest rynkiem w pełnym tego słowa znaczeniu, a więc nie jest sferą swobodnych interakcji między samodzielnymi i samofinansującymi się kontrahentami. Dobitym, ale nie jedynym wyrazem tego jest fakt, że ceny nie są wynikiem uzgodnień między sprzedającymi i kupującymi. Nasz "rynek" jest sferą stosunków między sprzedawcami i nabywcami nieustannie organizowaną i kontrolowaną przez administrację państwową. Wyznacza ona rozmiary i strukturę podaży, proporcje w jakich to podaż przepływa do różnych grup odbiorców (często wskazuje nawet konkretnych odbiorców) oraz określa ceny lub obowiązkowe sposoby ich ustalania. Taki rynek, który stanowi tylko odbicie administracyjnych decyzji w sprawach cen i podaży oraz kierunków rozdysponowania podaży, można nazwać rynkiem pozornym.

Dla przedsiębiorstw samorządowo-menedżerskich rynek pozorny nie stanowi właściwego otoczenia. Otoczenie to składają menedżerów do koncentrowania uwagi nie na tym, jak dostosować działalność przedsiębiorstwa do wymagań odbiorców, lecz na korzystnym ułożeniu stosunków z tymi instytucjami państwowymi, które decydują o przepływach produkcji i o cenach. Instytucje te decydują również o podatkach, dotacjach, kredytach itp., co również ma znaczenie dla sytuacji finansowej przedsiębiorstwa. Krótko mówiąc, jeśli przedsiębiorstwo

działa w otoczeniu pozornego rynku, menedżerowie angażują się w pozarynkową "grę" o pieniądze i o czynniki wytwórcze. Warunki nie zmuszają ich natomiast do wysiłków, od których zależy obniżenie kosztów produkcji, poprawa jakości wyrobów, czy wzbogacenie struktury asortymentowej produkcji.

Pozarynkowa aktywność menedżerów uzależnia ich jednak nieuchronnie od administracji państwowej. Samorządy mogą przeciwstawiać się tej tendencji ale tylko dopóty, dopóki nie uznają, że opór staje się finansowo niekorzystny dla załogi. Wtedy uginają się, rezygnując z niektórych swoich uprawnień. System ewoluje więc w stronę rozwiązania państwowo-menedżerskiego. Proces ten może być przyspieszony środkami politycznego nacisku na dyrektorów i członków rad pracowniczych. Takie zmiany występują wyraźnie w obecnej reformie.

Sily polityczne zainteresowane w takiej ewolucji systemu, płacą za to dość wysoką cenę. Im mniejsze są rzeczywiste uprawnienia samorządów, tym mniejsze jest też ich odpowiedzialność za wyniki finansowe przedsiębiorstwa. Pracownicy nie dają się przekonać, że wyniki finansowe przedsiębiorstwa zależą głównie od ich wysiłków i wydajności, i że wobec tego płace powinny zależeć od tych wyników. Żądają więc od administracji i władz państwowych podwyżek płac, nie odwołując się w ogóle do sytuacji finansowej swego przedsiębiorstwa. To, że w końcu żądania te są spełniane, utwierdza załogi w przekonaniu, że ich rozumowanie było słuszne.

Utrzymanie się systemu samorządowo-menedżerskiego wymaga zastąpienia rynku pozornego przez rynek rzeczywisty. Aby taki rynek mógł powstać, potrzebna jest daleko idąca reforma planowania centralnego i poważna zmiana struktury, roli i funkcji wielu instytucji państwowych. Całość tych zmian, niezbędnych dla ekonomicznego upodmiotowienia załóg pracowniczych, nie prowadzi do ograniczenia społecznej własności środków produkcji, lecz na odwrót, do uczynienia jej bardziej autentyczną. Nie jest to możliwe bez powierzenia załogom dyspozycji majątkiem państwowym, istniejącym w przedsiębiorstwach. Dopóki przedsiębiorstwa płacą państwu "dywidendę społeczną" w postaci podatków, państwo nie ma powodów do ingerowania w ich (zgodne z prawem) działania gospodarcze. Gdy zaś jakieś przedsiębiorstwo podupada finansowo i nie rokuję nadziei na to, że w przyszłości sprostą wymaganiom rynku, troską państwa powinno być odzyskanie powierzonego majątku. Tylko po to, aby go udostępnić innym zespołom pracowniczym, potrzebującym gospodarować efektywniej. Dopiero przy tak zakreślonych granicach samodzielności i odpowiedzialności załóg, powstaje szansa na pobudzenie przedsiębiorczości menedżerów i samodyscypliny pracowników.

## II

Rynek jest formą współdziałania ludzi w procesach gospodarczych, która nie powstała w kapitalizmie, lecz wiele wieków wcześniej. Nie jest też formą zastępczą, ale stale zmieniającą się. Trwałość instytucji rynku świadczy o tym, że nie potrafiono znaleźć korzystniejszego sposobu nawiązywania stosunków wśród producentów oraz między wytwórcami a konsumentami. Zmienność tej instytucji wskazuje z kolei na to, że w każdej epoce rynek ujawniał różne słabości i wady, które starano się eliminować. Rynek nigdy nie był idealnym sposobem wymiany dóbr i usług między ludźmi. Zawsze też miał zdecydowanych krytyków i zagorzałych obrońców. Wady rynku i kontrowersje na jego temat nie prowadziły jednak do jego upadku, lecz do rozwoju, w toku którego stawał się instytucją coraz bardziej skomplikowaną.

Tak było aż do powstania gospodarki "realnego socjalizmu". Zwyciężył tu w praktyce nurt myśli socjalistycznej, który upstrzywał w rynku źródło niemal wszystkich społecznych niesprawiedliwości, niegodziwości i wyzysku. W rezultacie nastąpiła likwidacja rzeczywistego rynku, przerywająca ciągłość jego historycznego rozwoju. Rychło okazało się jednak, że nie można go usu-

nać całkowicie i na zawsze. Trzeba się było zgodzić, na pewne ustępstwa wobec rynku pod groźbą absolutnego chaosu w gospodarce. Ustępstwa pole gały na porzuceniu rynku artykułów konsumpcyjnych oraz rynku środków produkcji między różnymi sektorami własnościowymi: państwowym, spółdzielczy i prywatnym (jeśli się jeszcze zachował).

Natomiast możliwość poddania gospodarki regulacyjnemu oddziaływaniu rynku jest odrzucona przez władze i jej aparat. Propaganda antyrynkowa sięga do rzeczywistych słabości rynku, natomiast je jednak jednostronnie i nie konfrontuje ze słabościami systemu nakazowo-rozdzielczego i jego odmiany stosującej rynek pozorny.

Faktycznym powodem odrzucenia rynku nie są bowiem jego prawdziwe słabości, lecz to, że nie daje się on pogodzić z przyjętą koncepcją centralnego planowania i kierowania gospodarką. Koncepcja ta przewiduje ustalanie na szczelny państwa gałęziowej, branżowej, a często jeszcze bardziej szczegółowej struktury produkcji i inwestycji. Wymaga to wprowadzenia hierarchicznych stosunków w gospodarce, a przede wszystkim podporządkowania przedsiębiorstw administracji państwowej. Ten hierarchiczny porządek jest zbliżony za całą filozofią władzy w "realnym socjalizmie", wyrażającą się w zasadzie tzw. centralizmu demokratycznego. Porządek ten jest zaprzeczeniem ładu polegającego na swobodnym kształtowaniu stosunków między ekonomicznie niezależnymi podmiotami, czyli ładu rynkowego.

Wprowadzenie rynku wymaga odrzucenia podporządkowania przedsiębiorstw administracji państwowej i odpowiedniego dostosowania centralnego planowania i oddziaływania na procesy gospodarcze. Jak trudno jest to zrobić gdy system polityczny jest monocentryczny i hierarchiczny, pokazuje przykład Jugosławii. Przedsiębiorstwa są tam samorządne, samofinansujące się i zorientowane rynkowo. Administracja państwowa formalnie honoruje ten charakter przedsiębiorstw i nie ingeruje w sferę ich decyzji. Nie rezygnuje się tam jednocześnie z centralnego planowania głównych proporcji i kierunków rozwoju gospodarki.

Rezultaty rozwiązania jugosławińskiego są, jak wiadomo, częściowo zadowalające, a częściowo zniechęcające. Pozytywne jest to, że przedsiębiorstwa są bardziej zainteresowane dostosowaniem swej produkcji do popytu odbiorców, niż w systemie nakazowo-rozdzielczym lub w systemie stosującym rynek pozorny. Gospodarka jest więc odpowiednio bardziej elastyczna. Nie byłoby to możliwe bez poddania cen wpływowi rynku. Dzięki temu rynki towarowe są zrównoważone.

Pod innymi względami system jugosławiński okazał się niekorzystny. Dynamizm innowacyjny przedsiębiorstw jest słaby, przez co nie mogą one dorównać swym konkurentom zagranicznym. Najgorsze zaś są: wysoka inflacja, duże bezrobocie. Poważne i uporczywe trudności przeżywane przez gospodarkę jugosławińską są faktem bezspornym. Natomiast ich źródła nie są w pełni wyjaśnione. Byłoby błędem wskazywanie jednej tylko przyczyny. Znaczenie mają zapewne i słabości polityki gospodarczej i recesja gospodarcza za Związkiem, z którym powiązania gospodarcze Jugosławii są rozległe i rynkowy charakter gospodarki. Rynkowa orientacja przedsiębiorstw jugosławińskich nie wydaje się jednak być głównym sprawcą bezrobocia i inflacji.

Bezrobocie jest wynikiem reguł panujących na rynku tylko wówczas, gdy skala i dynamika inwestycji, skala bankructw przedsiębiorstw oraz długość tygodnia pracy, pozostają pod wpływem tych reguł. W Jugosławii takie zależności nie występują. Udział inwestycji w dochodzie narodowym należy do najwyższych w świecie. Również dynamika inwestycji nie podlega wahaniom koniunkturalnym i jest porównywalna z tempem wzrostu inwestycji w innych krajach socjalistycznych. Nie notuje się bankructw przedsiębiorstw, które w gospodarkach kapitalistycznych stale występują, a w okresach recesji nasilają się. Przeciętna liczba godzin przepracowanych w tygodniu przez robotników w przemyśle jest wysoka i utrzymuje się na stałym poziomie. Wszystko to wskazuje

zuje, że nie można obciążać rynkowego zorientowania gospodarki jugosłowiańskiej winą za utrzymujące się w niej wysokie bezrobocie.

Brak bankructw przy riskiej konkurencyjności przedsiębiorstw oraz bardzo szybki wzrost płac nominalnych mimo bezrobocia, świadczą o słaboci sił rynkowych. Rynek zapewnia kompensowanie wzrostu płac wzrostem cen, ale nie tworzy bezwzględnie przymusu wprowadzania inwestycji podnoszących efektywność. Skłania to do poglądu, że główne przyczyny trudności gospodarczych mają charakter pozarynkowy. Przypuszczalnie polegały one na zbyt dużej roli pozasekcyjnych (a więc i nierynkowych) kryteriów w polityce gospodarczej państwa i w systemie finansowym przedsiębiorstw (nieostre ograniczenia finansowe).

Ogwiadając się za rynkowym charakterem gospodarki w Polsce, nie można pominąć sprawy sektora prywatnego. Spychanie jego części pozarolniczej na margines gospodarki i sztuczne separowanie od sektora państwowego, pozbawia gospodarkę narodową możliwości do osiągnięcia korzyści. Jest dyktowane doktrynerstwem, a nie troską o wartości socjalistyczne.

Brak jest jakiegokolwiek przekonywującego kryterium, które pozwoliłoby ustalić udział sektora prywatnego (poza rolnictwem) w całości gospodarki na poziomie użytecznym i nienaruszającym zasady, że "podstawowe" środki produkcji stanowią własność publiczną. W 1946 r., gdy uchwalano ustawę nacjonalizacyjną, zdecydowano, że przedsiębiorstwo prywatne nie może zatrudniać więcej niż 50 pracowników na jedną zmianę. Gdy jednak Hilery Minc, referent ustawy nacjonalizacyjnej, reprezentujący Polską Partię Robotniczą, proponował górną granicę rozmiarów prywatnego przedsiębiorstwa, to twierdził, że w rezultacie sektor prywatny będzie zatrudniał 60% ogółu pracujących w przemyśle i rzemiośle. Było to wprowadzenie w błąd zarówno posłów Krajowej Rady Narodowej, jak i opinii publicznej, gdyż po przeprowadzeniu nacjonalizacji wieźnik ten wyniósł 23%. Różnica ta nie mogła wynikać z niedokładności przeprowadzonych szacunków. Faktycznie był to pierwszy krok w szybko postępującym procesie tępienia inicjatywy prywatnej. W 1970 r. udział zatrudnionych w gospodarce nieuspołecznionej poza rolnictwem wynosił zaledwie 4,4%. Różnica, po wielokrotnym zapaleniu "zielonego światła" dla prywatnej przedsiębiorczości, wskaźnik ten wzrósł prawie o połowę, co jednak podniosło go w 1983 r. tylko o 6,4%.

Sektor prywatny poza rolnictwem jest nie tylko mały, ale i rechytyczny. Przeważają w nim małe, 2-3 osobowe zakłady, najczęściej usługowe. Ponadto jest odgradzony od sektora państwowego za pomocą specjalnych przepisów. Zabraniają one, a w najlepszym przypadku zniechęcają przedsiębiorstwa państwowe do kooperacji, wymiany handlowej i współpracy technicznej z prywatnymi zakładami. Z drugiej strony, przedmiot dozwolonej działalności sektora prywatnego jest tak określony, aby nie mogło być również konkurencji między przedsiębiorstwami sektorów prywatnego i państwowego.

Realizowana od paru lat reforma nie dokonała w tej sprawie przełomu. W "Kierunkach reformy gospodarczej" z 1981 r. znalazła się deklaracja uznająca, że "wielosektorowość jest trwałą cechą naszej gospodarki". Obiecano, że system prawny, polityka finansowa oraz zasady zapotrzenia w środki produkcji, będą jednolite dla wszystkich sektorów. Praktyka jednak kolejny raz biegnie innym torem niż deklaracje. Sektor prywatny nadal traktowany jest jak obce ciało, narośl, której nie należy pozwolić rozwinąć się. W ostatnich latach terenowa administracja państwowa wyróżnia się w restrykcyjnych działaniach. Wykorzystuje przy tym swą władzę do bezkarnego naginania prawa, a nawet działań bezprawnych.

Trudna sytuacja gospodarcza Polski i brak perspektyw jej wyraźnej poprawy w przyszłych latach, powinny skłonić władze do bardziej pragmatycznego podejścia do inicjatywy prywatnej. Należy jej stworzyć możliwość ujawnienia się i rozwoju nie tylko w rolnictwie i rzemiośle, czy handlu, ale także w przemyśle, budownictwie i transporcie. O strukturze własnościowej gospodarki



powinien w powyższym stopniu decydować rynek. Przy daleko idących uciekach z kierunku skierowania prywatnych przedsiębiorstw, przy jednakowych zasadach rozkładu dochodów osobistych i działalności gospodarczej w różnych sferach własnościowych, przy dopuszczeniu normalnego rynku i przy zachowaniu prawa antymonopolowego niekiedy mogłoby się nakierzystniejsze efektywniejsze struktury wytworzyć. Decydowałoby o niej kryterium efektywne, jakiegoś od tego kryterium (np. związane z obronnością kraju lub z racjonalną zasobą publicznej własności "podstawowych środków produkcji") winny być uargumentowane i wprowadzone na drodze ustawowej.

Rynek nie obiecuje samodzielnym przedsiębiorstwom gospodarującym powierzonemu zęlogom majątkiem społecznym, łatwych zewnętrznych warunków działalności. Na odwrót, zapowiada konieczność wyłączonej, zdyscyplinowanej pracy, rezygnacji z wygodnej rutyny i pogodzenia się z nieuchronnością częstych zmian struktury produkcji i technologii, liczenia się z ryzykiem utraty miejsca w obchodzącym miejscu jej wykonywania, z niedogodnościami poszukiwania nowego miejsca pracy i utrzymywania się w tym czasie z zasiłku państwowego. Nie jest to atrakcyjna strona rynkowej gospodarki.

Ale jest także strona pozytywna, w ostatecznym rachunku przeważająca. Konsumentom zapewnia bogactwo asortymentowe towarów i usług, ich nowość i wysoką jakość oraz możliwość nabywania bez kolejek i protekcji. Producentom obiecuje tym większe realne zarobki, im większą wykężą chęć i pomysłowość w pracy. Gospodarcze narodowej zaś stwarza szansę wejścia na drogę przetrzymania barier, jakimi są dysproporcje, opóźnienie techniczne, pułapka zaciężenia, nieroztrawnie wysokie współczynniki zużycia materiałów i energii oraz zło jakość wyrobów. Sam rynek nie jest jednak w stanie rozwiązać tych problemów bez odpowiedniej polityki państwa, uzupełniającej siły rynkowe i korygujących je w stopniu dopuszczalnym i w kierunku społecznie pożądanym.

### III

Są sprawy gospodarcze, których współczesne państwa, także kapitalistyczne, nie pozostawiają wyłącznie rynkowi, lecz poddają regulowaniu według innych niż rynkowe kryteriów. Sprawami takimi są przede wszystkim proporcje podziału dochodu narodowego. Mówiąc ściślej, chodzi o proporcje dochodów pieniężnych - osób, przedsiębiorstw i instytucji niegospodarczych. Dochody w całości lub w przeważającej części zamieniają się w popyt na towary i usługi. Gospodarka towarowa, a w szczególności jej mechanizm dostosowawczy zapewnia, że szczegółowe struktury popytu i podaży dostosowują się do siebie.

Poprawienie przez państwo proporcji dochodów, kształtowanych przez rynek, stosowane jest ze względu na trzy ważne cele: 1) zachowanie ciągłości i określonego tempa rozwoju gospodarczego; 2) świadome wpływanie na skalę rozpiętości warunków życiowych różnych grup ludności; oraz 3) oddziaływanie na rozwój dziedzin świadczących usługi ważne dla kondycji fizycznej i duchowej społeczeństwa, a których pobudzenie przez impulsy rynkowe uznaje się za powodów społecznych za niedostateczne lub wadliwe.

Osiągnięcie pierwszego celu jest najtrudniejsze zarówno w gospodarce kapitalistycznej jak i socjalistycznej, chociaż w każdym przypadku trudności polegają na czymś innym i wynikają z innych źródeł.

W gospodarce kapitalistycznej pojawia się co pewien okres niedostateczny popyt inwestycyjny, co pociąga za sobą bezrobocie. Państwo stara się walczyć korygując podmiotową strukturę dochodów, aby w ostatecznym rezultacie zachęcała one do inwestycji. Powszechnie wiadomo, że chociaż w porównaniu z przeszłością państwa kapitalistyczne osiągnęły w tej sprawie znaczny postęp, to jednak nie jest ona rozwiązana. W ostatnich latach bezrobocie dochodzi w niektórych krajach do kilkunastu procent ogółu pracujących i

i poszukujących pracy.

W gospodarce socjalistycznej plan centralny określa przede wszystkim sumy dochodów (dochodu narodowego), na inwestycje i konsumpcję. Równocześnie plan centralny ustala program działań inwestycyjnych, dla przedsiębiorczych działów i gałęzi, a nawet wskazuje w niektórych dziedzinach inwestycyjno. Część dochodu narodowego przeznaczona na inwestycje, która jest przewidywaną sumą nakładów na realizację centralnego programu inwestycyjnego. Część ta zostaje rozdzielona zgodnie z przedłożoną (działową, gałęziową, zadaniową) strukturą programu inwestycyjnego.

Gospodarce planowej w Polsce nigdy nie udało się dotychczas utrzymać udziału inwestycji w dochodzie narodowym na planowanym poziomie, z planowany poziom rzadko okazywał się rozsądny. Bardzo często było to przyznawane post factum i podejmowano różne środki, aby zarówno decyzyjną, jak i wykonawczą część sfery inwestycyjnej racjonalizować, lepiej przyporządkowując ją celom rozwojowym i potrzebom społecznym. Nigdy nie przynosiło to pozytywnych skutków.

Uporczywe trudności z opanowaniem procesów inwestycyjnych zawsze dezorganizowały całą gospodarkę i uniemożliwiały osiągnięcie zapowiadanej poprawy w zaspokajaniu potrzeb ludności. Brak rynku powodował, że co podmiotowych proporcji dochodów nominalnych (proporcji już odchylnych od planu pod wpływem zaskórności w sferze inwestycji) nie dostosowywały się ani ceny, ani podaż. Mimo przywiązywania przez władze największego znaczenia do rozwoju gospodarczego i powtarzanych obietnic, że posłuży on do stałego podnoszenia stopnia zaspokajania potrzeb społecznych, w praktyce gospodarka zaczęła służyć przede wszystkim samej sobie i to, z okresu na okres, coraz gorzej. Gospodarka została w znacznej mierze wyjątkowa ze społecznych potrzeb, pozbawiona społecznego sensu, wyobcowana. Przez to zaczęła się widać w coraz większe wewnętrzne sprzeczności.

Przyczyny tego stanu rzeczy leżą głęboko w systemie instytucjonalnym powołanym do planowania i kierowania procesami gospodarczymi. Nie można tych przyczyn sprowadzać po prostu do błędów w polityce gospodarczej. Polityka gospodarcza jest bowiem w znacznym stopniu produktem skomplikowanego spłotu stosunków panujących w systemie instytucjonalnym. Stosunki te nie poddają się swobodnemu regulowaniu (w ramach systemu instytucjonalnego), a wobec tego decyzji, które powstają pod wpływem tych stosunków, nie można traktować jako rezultat wyboru oparłego wyłącznie o rację rozumową.

System instytucjonalny jest dwuwarstwowy. Jego widoczną warstwę są oficjalne struktury aparatu administracyjnego i politycznego. Zgodnie z zasadami "realnego socjalizmu" aparat ten jest wyłączonej spod kontroli społecznej. Podlega wyłącznie swoim zwierzchnim organom, z których najwyżej usytuowane ogniwa są zarazem naczelnymi ośrodkami decyzji państwowych. Drugą, niewidoczną warstwę systemu instytucjonalnego są działowe, branżowe i regionalne grupy interesów. Stanowią one formację nieoficjalną, mającą doskonałe warunki działania dzięki temu, że przenika strukturę aparatu nie podlegając kontroli. Grupy interesów mają częściowo zbieżne, a częściowo sprzeczne cele. Cele te nie są wyrażone bezpośrednio. Są one włączane do oficjalnych programów, w których uzyskują interpretację, awansując je do rangi celów ogólnogospodarczych i ogólnospołecznych. To maskowanie rzeczywistości nie musi być w pełni uświadomione przez tych, którzy obiektywnie stosują je. Wielu funkcjonariuszy aparatu broni oficjalnego programu przed zewnętrzną krytyką w przekonaniu, że służy on społeczeństwu w sposób optymalny.

Partykularne cele grup interesów wchodzić do oficjalnego programu proporcjonalnie do wpływu jakie poszczególne grupy uzyskują w decyzyjnych ośrodkach decyzyjnych. Także i w tych ośrodkach rodzą się pewne elementy programu. Gdy w ekipie kierowniczej pojawia się stosunkowo silna osobowość, może ona nachylić cały program do własnej wizji połączonych kierunków roz-

woju gospodarczego.

Ostatecznie program rozwoju gospodarczego staje się zlepkiem sprzecznych wzajemnie peryzikalnych celów i wizjonerskich pomysłów.

Przedstawiony mechanizm powstania decyzji składających się na centralny plan gospodarczy, którego główną częścią jest plan inwestycyjny, wyrażenie ścisłego chronologicznego skłócenia do podporządkowywania celów społecznych zadaniom rozwoju gospodarczego. Tym samym zrozumiała jest tendencja do windowania udziału inwestycji w dochodzie narodowym. Udział ten rośnie dopóki, dopóki nie powstają one bariery, które napotyka inwestycje (ograniczone możliwości wykonawcze, ograniczony zasób siły roboczej), lub protesty albo resinta groźba protestów ludności, domagającej się poprawy warunków życia. Amerykańscy konaulcy prawie nie ma, to znaczy są zbyt słabe, aby miały praktyczne znaczenie.

Skuteczne wykreślenie wód gospodarki coraz bardziej tracącej zdolność zaspokajania potrzeb społecznych, wymaga rezygnacji z tworzenia na artykułach realizacji działowo-gaździowo-zadaniowych i obligatoryjnych programów inwestycyjnych (i promulgujących). Lwia część inwestycji w sferze produkcyjnej powinna być wynikiem decyzji rynkowo zorientowanych przedsiębiorstw. Przedmiotem planowania centralnego powinny być natomiast ogólny poziom popytu inwestycyjnego (ściśle związany z poziomem dochodu narodowego na inwestycje i konsumpcję) oraz programy inwestycyjne dotyczące trzech segmentów gospodarki. Segmentami tymi są: infrastruktura o ekonomiczną (główne rodzaje transportu, energetyka), infrastruktura społeczna (oświata, służba zdrowia, ochrona środowiska naturalnego itp.) oraz - w sferze produkcyjnej - inwestycje w bazie surowcowej, których przedsiębiorstwa nie będące monopolistycznymi kolosami nie podlegają z powodu zbyt szczupłych środków finansowych i zbyt słabego określenia ze efekty ekonomiczne. Skale inwestycji państwowych w infrastrukturę ekonomiczną i w bazie surowcowej, powinna być dostosowane do specjalizacji ekspansji inwestycji przedsiębiorstw.

Aktywność państwa w procesach inwestycyjnych może dotyczyć także inwestycji przedsiębiorstw, ale w żadnym przypadku nie powinna mieć charakteru ingerencyjnego. Uczestnicząca aktywność państwa polegałaby na podudzeniu lub kierowaniu ogólnej skłonności inwestycyjnej przedsiębiorstw środkami polityki budżetowej i pieniężnej. Wskazane pożądane byłoby także oparcowywanie przez instytucje państwowe informacji o przewidywanych trendach cen i popytu na rynkach krajowych i zagranicznych, o oczekiwanym kształtowaniu się zasobów siły roboczej i popytu na nią - globalnie i w przekrojach regionalnym i zawodowym, oraz innych ważnych informacji o przyszłych warunkach gospodarczych. Tymczasem także, jeśli ich wiarygodność była by potwierdzona w praktyce, niewątpliwie wywarłyby wpływ na kierunki inwestycji przedsiębiorstw.

Plan centralny powinien też ustalać pożądane zmiany w rozmianach i kierunkach hołda zagranicznego i współpracy gospodarczej z zagranicą oraz składy oszczędności tych państw. Jest oczywiście, że dopuszczalne byłoby także metody niesprecyzowane z samodzielną ekonomiczną przedsiębiorstwa i ich rynkowym nastawieniem.

Uwolnienie planu centralnego od ustalania działowo-gaździowo-zadaniowej struktury inwestycji (i, tym bardziej, struktury produkcji bieżącej), pozwoliłoby rozwinąć część obejmującą politykę społeczną państwa. Tu należałoby precyzyzować program rozwoju infrastruktury społecznej (uwzględniony w części dotyczącej podziału dochodu narodowego na inwestycje i konsumpcję - tylko w kwestiach globalnych), ustalić pożądaną proporcję między konsumpcją indywidualną i konsumpcją z funduszy społecznych, proporcje rodzysponowania funduszy społecznych oraz zamiarzenia w sprawie rozpiętości dochodów osobistych.

#### IV

Rynkowy charakter gospodarki uruchamia procesy samoregulacyjne. Ca-

lem państwowej regulacji nie jest ich niszczenie lecz umiarkowanie i uzupełnianie. Przyjęcie tej tezy jest równoznaczne z zaakceptowaniem systemu ograniczenia swobody kształtowania planu centralnego, według którego odbywa się państwowa regulacja. Dotychczas ograniczaniem swobody kształtowania planu centralnego były bariery materialne i opór konsumentów. W ramach tego ograniczania władze centralne mogły gwałtownie zmienić politykę gospodarczą, wprowadzając do gospodarki zakłócenia o charakterze szoków. Wprowadzenie systemowego ograniczenia i honorowanie go, wyłącza możliwość dokonywania szokujących zwrotów w polityce gospodarczej. Takie samoograniczenie się państwa w oddziaływaniu na gospodarkę, warunkuje jej efektywność, adaptacyjność, i tendencję do równowagi.

Systemowe ograniczenie swobody kształtowania planów centralnych wymaga odpowiedniego dostosowania kompetencji organów państwowych zajmujących się regulacją gospodarczą. Kompetencje te nie mogą zagrażać samodzielności samorządnych przedsiębiorstw. Zasada ta do tej pory nie jest przestrzegana. Np. prawo zezwala dziś administracji państwowej na narzucenie "samodzielnym" przedsiębiorstwom obowiązku zawarcia między sobą. Kompetencje gospodarcze administracji państwowej nie powinny jej również zezwalać na regulowanie spraw systemowych według własnego uznania. Np. jeśli struktura rynku ma być konkurencyjna, to kryteria określające co jest, a co nie jest zakazanym związkiem monopolistycznym, powinny być zapisane ustawowo. Tymczasem według dostępnych informacji, przygotowywana od dłuższego czasu ustawa tzw. antymonopolowa ma doprowadzić do powołania organu administracyjnego, który będzie decydował o strukturach podmiotowych w gospodarce. Takie rozwiązanie zagrażałoby zarówno samodzielności przedsiębiorstwa, jak i konkurencyjnej str. turze rynku.

Po właściwym ustaleniu kompetencji administracji państwowej, dobre prawo i niezależne sądy powinny chronić gospodarkę przed ich nadużywaniem. Dobre prawo, to takie prawo, które jest wewnętrznie niesprzeczne, zgodne z przyjętymi zasadami systemu ekonomicznego oraz stabilne. Nasze prawo gospodarcze nie spełnia tych warunków. Po 1981 r. wprowadzono wiele przepisów niezgodnych z zaakceptowanym wcześniej systemem ekonomicznym (przymusowe pośrednictwo pracy, szeroki zakres reglamentacji, uzależnienie cen od kosztów, zwiększające się uzależnienie samorządów i dyrektorów przedsiębiorstw od administracji państwowej itp.). Przepisy prawne są wyjątkowo niestabilne. Stała pojawiają się nowe regulacje służące jakimś bieżącym interesom politycznym władzy i jej aparatu. Mimo euforii legislacyjnej i ciągłego podkreślenia, że instytucje państwowe działają zawsze zgodnie z prawem, nie wprowadzono ustawy regulującej sam proces tworzenia prawa. W rezultacie w tworzeniu prawa szerzy się bezprawie. W tej sytuacji nie może być mowy o stabilności unormowań. Na straży prawa powinny stać niezależne instytucje wymiaru sprawiedliwości. Istnieje wiele przykładów manipulowania sądami przez władzę. Jednym z szeroko znanych przykładów była decyzja Sądu Najwyższego uznająca ważność powołania dyrektorów przedsiębiorstw bez trybu konkursowego, chociaż już wówczas był to wynóg ustawowy. Mimo wiarygodności sądów, władza wykazuje silną tendencję do nadawania niesądowym instytucjom uprawnień do interpretowania i egzekwowania prawa. Zdecydowane przełamanie tej tendencji oraz nadanie sądom właściwej rangi, są - obok wcześniej wymienionych warunków - niezbędne, aby system ekonomiczny posiadał pożądaną cechy i nie tracił ich. Dopiero przy tych ograniczeniach systemowych należałoby centralnie regulować procesy gospodarcze, kierując się planem państwowym.

Metody centralnej regulacji powinny być adekwatne do cech przedsiębiorstw (samorządność, samodzielność, samofinansowanie), do charakteru rynku (rynek rzeczywisty i niezmonopolizowany) i do zakresu planu centralnego oraz powinny być skuteczne. Postulaty te spełniają stosowane równolegle metody: budżetowe, pieniężno-kredytowe, rynkowe i metode bezpośrednich inwestycji państwowych. Intensywność wykorzystywania tych metod nie jest dowolna.

Wiąże się to ze wspomnianym już systemowym ograniczeniem swobody kształtowania planów centralnych.

Metoda budżetowa ma w nowym systemie zupełnie inne cele do spełnienia niż te, które realizuje obecnie. Ma dokonywać planowej redystrybucji dochodów. Rolą rynku jest dostosowanie struktury podaży i relacji cen do planowo skorygowanego rozkładu dochodów. Dotychczas polityka budżetowa jest tylko odbiciem centralnych decyzji o strukturze produkcji i kierunkach jej rozdysponowania. Tek pozornie ustalona struktura produkcji nie zostaje później "uznana" przez rynek, mimo dostosowywania do niej rozkładu dochodów i administracyjnego ustalania cen. Jest to źródłem ciągłych zakłóceń w bilansach i równowagach.

Oddziaływanie na rozkład dochodów winno odbywać się przy homologowaniu określonych zasad systemu podatkowego i określonych procedur w kształtowaniu kierunków i proporcji wydatków budżetowych.

Opodatkowanie przedsiębiorstw niezależnie od rodzaju własności, powinno być oparte na jednolitych i trwałych zasadach. Podatki tworzą dochody budżetowe, służące finansowaniu ważnych celów, ogólnych - społecznych i gospodarczych. Jako obciążenie wyników finansowych przedsiębiorstw, wpływają jednocześnie ich społeczną użyteczność, to jest zdolność przyczyniania się do zaspokojenia potrzeb ogólnych. Taką zdolność mają tylko przedsiębiorstwa rentowne.

Jednolitość zasad podatkowych nie wyklucza możliwości wykorzystywania podatków dla wpływania na decyzje przedsiębiorstwa. Można i należy wykorzystywać system podatkowy dla zachęcania lub zniechęcania przedsiębiorstw do inwestycji. Służy temu łagodzenie lub zaostrzenie opodatkowania reinwestowanej części zysków. Oczywiście i w tym przypadku rozwiązanie powinno być jednolite dla wszystkich przedsiębiorstw, gdyż w przeciwnym przypadku wróciłibyśmy do dawnej administracyjnej uznaniowości.

W stosunku do dochodów osobistych system podatkowy spełnia inne zadania. Reguluje rozpiętość dochodów, aby rozpiętość ta nie przekraczała granicy społecznego zrozumienia i tolerancji. Musi przy tym wystrzegać się sprowadzenia różnic w dochodach poniżej granicy motywowania do rzetelnej i wydajnej pracy, do podejmowania inicjatywy i uruchamiania pomysłów i działalności zawodowej.

Proporcje celów realizowanych za pomocą wydatków budżetowych ulegają w nowym systemie również istotnym zmianom. Maksymalne ograniczenie ogromnych obecnie dotacji dla sfery produkcyjnej, umożliwi wysunięcie na plan pierwszy celów społecznych. Utrzymuje się także finansowanie wydatków na działania gospodarcze w ramach państwowej polityki rynkowej i polityki bezpośrednich inwestycji państwowych.

Metoda rynkowego oddziaływania państwa na gospodarkę polega głównie na tym, że odpowiednie instytucje państwowe występują na rynku jako nabywcy i sprzedawcy. Zamawiają, kupują i gromadzą określone towary oraz sprzedają je, obniżając posiadane zapasy. Różne mogą być cele takich działań. W nowym systemie chodzi o to, aby państwo, działając na wolnym rynku, było buforem, łagodzącym skokowe zmiany w sytuacji rynkowej, w odniesieniu do dóbr o szczególnie dużym znaczeniu dla konsumentów (np. zboże) lub wpływających w dużym stopniu i zakresie na koszty produkcji (np. węgiel, stal). Gromadzenie i upłynianie zapasów państwowych służy stabilizacji cen rynkowych danych towarów. Aby instytucje państwowe mogły skutecznie oddziaływać tą drogą na ceny rynkowe, lista towarów poddanych regulacji nie mogła być długa.

Należałoby natomiast zrezygnować z subsydiowania producentów dla utrzymania cen ich wyrobów poniżej poziomu kosztów. W wielu krajach rozważanych subsydiowane jest rolnictwo. Gdyby tego nie robiono, obniżyłaby się produkcja i - jeśli nie nastąpiłby rekompensujący wzrost importu - zwiększy-

łyby się ceny. Jednak to nie prespektywa wzrostu cen wydaje się być głównym powodem subsydiowania gospodarstw rolnych, których znaczna część została ekonomicznie zrujnowana, gdyby nie dotacje państwowe. Nasza sytuacja jest zupełnie inna. Utrzymywanie cen żywności poniżej kosztów odbywa się przy niedoborze podaży w stosunku do popytu i szczerze ten niedobór powiększa. To z kolei powoduje, że wzrost produkcji rolnej staje się zawsze pożądanym, niezależnie od kosztów, które trzeba przy tym ponieść. Lata siedemdziesiąte dostarczały tu jaskrawych przykładów. Obecnie nadal (z wielu powodów) efektywność wykorzystania ziemi i innych czynników produkcji rolnej, utrzymuje się na stosunkowo niskim poziomie. Można więc stwierdzić, że dotowanie produkcji żywności wraz z innymi systemowymi rozwiązaniami, częściowo wynikającymi z trzymywania dotacji, nie przyczynia się do poprawiania sytuacji na rynku żywnościowym, ani od strony popytu, ani od strony podaży.

Z budżetową metodą centralnej regulacji gospodarczej wiąże się również polityka bezpośrednich inwestycji państwowych. Chodzi o te inwestycje w infrastrukturze ekonomicznej i w bazie surowcowej, których brak wstrząsałby całą gospodarką (jak to pokazywały i pokazują niedobory energii elektrycznej i usług transportowych), o co do których istnieje uzasadnione przekonanie, że przedsiębiorstwa ich nie podejmą. Są to z reguły inwestycje o wielkich nakładach i bardzo długim okresie realizacji. Program tych inwestycji, jego skala i struktura, powinien antycypować potrzeby gospodarki, wprowadzone z prognoz tempa i kierunków inwestycji przedsiębiorstw.

Metodą, ile dotychczas wykorzystywaną, o której rengo w nowym systemie ekonomicznym wyraźnie warstwie, jest polityka pieniężno-kredytowa. Państwo, poprzez bank centralny, powinno bezpośrednio kształtować podaż pieniądza i stopy procentowej od kredytów krótko i długoterminowych. Stopa długoterminowa nie jest dotychczas narzędziem oddziaływania na aktywność inwestycyjną przedsiębiorstw i na wybór technik. Jest to jeden z powodów niesdekwalności rachunku efektywności inwestycji. Stopa procentowa jest "ceną" pieniądza, gdy jest na poziomie równoważącym popyt na kredyty z ich podażą. O popycie decyduje przedsiębiorstwo (z założeniem - w pełni samofinansujące się), ale z uwzględnieniem "ceny", na którą państwo wpływa poprzez podaż pieniądza. Istnieje tu więc możliwość prowadzenia świadomej polityki, przy zachowaniu samodzielności przedsiębiorstwa.

Państwo może wpływać na podaż pieniądza przez lokaty części swych dochodów w banku i przez ich wycofywanie, przez sprzedaż oprocentowanych obligacji i przez wykupowanie ich. Istnieje tu wiele możliwych operacji, z których część pociąga za sobą dodatkową emisję pieniądza, a część sprowadza się tylko do redystrybucji zasobów pieniężnych. W przypadku występowania również rynku akcji przedsiębiorstw, co należy przewidywać, sfera państwowej polityki pieniężno-kredytowej rozszerza się i staje się coraz bardziej skomplikowana. Wszystko to jest oczywiście, trudniejsze niż utracone już

podatkowa i proste rozdzielanie dotacji. Ale warto się trudzić, aby nie niweczyć bodźców do efektywności i postępu technicznego w przedsiębiorstwach. Aby instytucje państwowe mogły prowadzić świadomą i skuteczną politykę pieniężną, nie basta równocześnie decydować o strukturze produkcji i alokacji inwestycji. Nie tylko dlatego, że podlegałyby wszystkim naraz. Głównie dlatego, że ich programy byłyby sprzeczne. Próbując rozwiązać te sprzeczności administracja państwowa niewątpliwie przyznałaby priorytet strukturze produkcji i inwestycji w stosunku do ich strony finansowej i wszystko wróciłoby do stanu obecnego.

## V

Zdemokratyzowanie procedur decyzyjnych i kontrolnych w gospodarce narodowej jest niezbędne dla ochrony społeczeństwa przed woluntaryzmem i arbitralnością w planowaniu i regulowaniu procesów gospodarczych. Nie ma innej skutecznej ochrony przed tymi schorzeniami.

Sprawy takie jak: podział dochodu narodowego na inwestycje i konsumpcję bieżącą; udział w inwestycjach nakładów na budownictwo mieszkalne i na infrastrukturę społeczną (oswista, służba zdrowia, nauka, kultura); stosunek poziomu konsumpcji indywidualnej do konsumpcji z funduszy społecznych; zasady dysponowania funduszami społecznymi; polityka podatkowa dotycząca dochodów indywidualnych - powinny być rozstrzygane w toku demokratycznych procedur. Nie ma w tych zagadnieniach obiektywnych miar pozwalających znaleźć "jedynie słuszne" rozwiązanie. Różne grupy ludności mają różne preferencje czyli z różną intensywnością odczuwają potrzeby poszczególnych rodzajów. Mają też odmienne opinie na temat najlepszych makropropozycji podziału dochodu narodowego oraz kierunków i proporcji jego wykorzystania. Informacje specjalistów z różnych dziedzin wiedzy mogą korygować preferencje różnych grup ludności, ale ich nie ujednolicią.

Arbitralne decyzje przynoszą nie rezultaty nawet wówczas, gdy władza podejmuje je dysponując zebrałymi informacjami o istniejących w danym czasie w społeczeństwie układach preferencji. Wszystko czego można i należałoby oczekiwać od wiedzy, to przedstawienie jej własnych preferencji. Ale te preferencje, nawet wariantowe ujęte, nie powinny być narzucane jako nieprzekraczalny zakres wyboru. W publicznych dyskusjach powinny być im przedstawiane alternatywne warianty programowe przez niezależne od rządu kręgi społeczne.

Nie ma oczywiście możliwości zniżyć potrzeby aby całą ludność dyskutowała o planie gospodarczym. Konieczne jest jednak uczestnictwo w dyskusjach i decyzjach wiarygodnych reprezentantów grup społecznych o odmienne preferencjach. Akcent pada oczywiście na wiarygodność reprezentantów. Jeżeli władza sama dobiera sobie rozmówców, to sprawa nie zostaje posunięta naprzód. Celem wymiany opinii i konfrontacji argumentów jest bowiem osiągnięcie consensusu społecznego. Będzie on zawsze kompromisem. Jako taki nie daje on nikomu pełnej satysfakcji. Ponieważ jednak jest osiągnięty w sposób demokratyczny, nie frustruje wszystkich tak, jak arbitralnie narzucane decyzje.

Zdemokratyzowanie procedur decyzyjnych wymaga spełnienia kilku warunków o zasadniczym znaczeniu. Pierwszym jest swoboda samoorganizowania się obywateli o zbliżonych lub identycznych interesach ekonomicznych i społecznych i o podobnych opiniach na tematy gospodarcze i społeczne w ogóle. Możliwość ich organizowania się jest niezbędna, aby mogli wspólnie formułować argumenty przemawiające na korzyść ich opinii i postulatów.

Formalnie nic nie stoi temu na przeszkodzie. Zgodnie z Konstytucją "PRL zapewni obywatelom prawo zrzeszenia się" (art. 84, p. 1) "dla czynnego udziału w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym" (p. 2). Zakazane są tylko takie zrzeszenia, które "godzą w ustroju polityczny i społeczny albo w porządek prawny PRL" (p. 3). Zakaz godzenia w porządek prawny nie oznacza jednak, że nie można domagać się zmiany przepisów. Można wysuwać takie postulaty gdyż "prawa PRL są wyrazem interesów i woli ludu pracującego" (art. 8, p. 1).

Praktyka jest jednak całkiem inna, władza godzi się tylko na takie zrzeszenia, które wykazują uległość wobec jej aparatu, dopuszczając jego ingerencje w strukturę organizacyjną, obsadę stanowisk kierowniczych i program działania. W tym sensie można mówić, że w praktyce dozwolone są tylko zrzeszenia konesjonowane przez władzę państwową.

Organizacje społeczne konesjonowane przez władzę, nie stanowią zabezpieczenia przed jej arbitralnością. W okresach, w których sprawowanie rządów w państwie napotyka na trudności polityczne, władza poszerza a nie ogranicza zakres ingerencji w strukturę organizacyjną i wykazuje zainteresowanie ich opiniami, a one z kolei prezentują opinie nie zawsze zgodne z oczekiwaniami władzy. Nawet jednak w takich okresach władza ustępuje w sprawach nieistotnego znaczenia, a w sprawach, które uznaje za ważne, przerywa

diskusje i decyduje według własnego uznania. Organizacje koncesjonowane przez władzę są bardzo przydatne jako demokratyczna zastępa arbitralności. Władza może łatwo bowiem inspirować określone "inicjatyw" organizacji społecznych, a następnie realizować je, dając tym dowód swej wrażliwości na głosy opinii publicznej.

Warunek swobody samoorganizowania się obywateli jest równoznaczny z warunkiem dopuszczenia do powstawania i działania organizacji społecznych niekoncesjonowanych. Takimi powinny być samorządy precownicze i lokalne, związki zawodowe, organizacje konsumentów, a także stowarzyszenia zawodowe, naukowe itd. Postulat ten nie oznacza, że absolutnie wszystkie organizacje społeczne muszą być niezależne. Oznacza natomiast, że powinno być miejsce i o k z e dla niezależnych organizacji. Oprócz władzy przeciwnemu jest zrozumiałe. Sam fakt istnienia niezależnych organizacji wywiera wpływ na zakres autonomii organizacji koncesjonowanych. To już by bardzo poważnie ograniczało możliwość prowadzenia arbitralnej polityki gospodarczej i dowolnego zmieniania zasad funkcjonowania gospodarki. Oponowanie przeciw temu daje się zrozumieć, ale może być uzasadnione wyłącznie egoizmem władzy i jej aparatu.

Dla zdemokratyzowania procedur decyzyjnych konieczne jest aby niezależne zrzeszenia społeczne miały prawo do zgromadzeń, krytycznego wypowiadania się o koncepcjach w projektach planów gospodarczych oraz o metodach i środkach polityki gospodarczej i społecznej rządu, a także prawo rozpowszechniania swych opinii w środkach masowego przekazu i - jeśli miałyby na to fundusze - we własnych wydawnictwach. Niezależne organizacje powinny mieć również dostęp do wszystkich informacji nie stanowiących tajemnicy wojskowej lub państwowej.

Można iść krok dalej i postulować utworzenie organu złożonego z przedstawicieli organizacji społecznych - niezależnych i koncesjonowanych - i stanowiącego forum do rozmów z rządem w sprawach gospodarczych i społecznych. Jest to idea drugiej Izby Sejmu - Izby Samorządowej. Nawet jednak gdyby do tego nie doszło, istnienie niezależnych organizacji społecznych, mających prawo do publicznego ujawniania swych opinii i projektów, odegrałoby bardzo pozytywną rolę. Rząd nie musiałby podzielać tych opinii, ani wprowadzać w życie sugerowanych projektów, ale byłoby mu niezmiernie trudno nie brać ich pod uwagę i np. odrzucać bez przedstawienia własnej argumentacji. Wszystko bowiem dziełoby się na oczach opinii publicznej, której nie można całkowicie ignorować, gdy istnieją niezależne źródła informacji i niezależne środki opiniotwórcze.

Trzeba jednak postawić pytanie, jak się mają te propozycje do tzw. kierowniczej roli PZPR. Osią pozostawiają bez zmian decydowanie PZPR we wszystkich najważniejszych sferach i sprawach politycznych. Tak więc kierownicze instancje PZPR zachowują monopol w nadzorowaniu armii i aparatu spraw wewnętrznych, w kształtowaniu polityki zagranicznej, w decydowaniu o ordynacji wyborczej, zatem i o strukturze politycznej Sejmu (w przypadku dwóch izb - jego izby politycznej), a także o składzie osobowym rządu.

Nie powinno się mieć złudzeń, że monopol PZPR w tych sprawach nie będzie kwestionowany przez opozycje polityczne. Walki z tym zakresem monopolu PZPR, nie włącza jednak do swego programu ruch, dążący do zdemokratyzowania stosunków we wszystkich pozostałych sferach. Taka niepełna demokracja, wyłączająca wyselekcjonowane dziedziny polityki państwa, jest możliwa. Równocześnie, co najmniej taka demokracja jest w Polsce absolutnie niezbędnym warunkiem, aby gospodarka stała się efektywna i podporządkowana ludzkim potrzebom.



## O SYSTEMACH POLITYCZNYCH, interesach i koalicji

Idea politycznej koalicji między partią komunistyczną, Kościołem i Solidarnością była bardzo popularna w latach 1980-81. Nie była jednak przez nikogo systematycznie i w sposób pogłębiony opracowana. Funkcjonowała raczej jako slogan, pod którym różne kręgi podkładały odmienne treści. W tekście tym zawarta jest próba ukazania niektórych istotnych cech takiej koalicji sił społeczno-politycznych, która mogła się uformować w Polsce burzliwych lat 1980-81.

### Układy stosunków politycznych

Rozważania moje wymagają zarysowania choćby w kilku zdaniach ogólnego tła teoretycznego. Tak więc przyjmuję tutaj, że system polityczny - to aspekt organizacji społeczeństwa. Obejmuje on całość takich stosunków, w których wyraża się polityka jako dążenie do realizowania interesów i celów społecznych. W systemie politycznym uczestniczą więc wszystkie siły społeczne stawiające sobie za zadanie formowanie opinii publicznej, programu działania dla społeczeństwa i decyzji publicznych (w warunkach nowoczesnych społeczeństw - przede wszystkim państwowych).

Proces ustalenia programu - to najistotniejsza część "polityki", która właśnie rozgrywa się w stosunkach między siłami politycznymi. Proces implementacji - to działania rządu. Te działania przynoszą w efekcie określone rezultaty (korzyści, deprivacje) pewnym kategoriom ludności lub zorganizowanym grupom, a inne zbiorowości pozostają nietknięte.

Minimalne warunki, które muszą być spełnione dla istnienia systemu politycznego w zarysowanym tu ujęciu, to występowanie kilku niezależnych organizacji - jako aktorów procesu politycznego - dysponujących wpływem politycznym. Uczestniczą oni w ustalaniu polityki "dla społeczeństwa" w interakcji, walce lub "grze" między sobą oraz każdego z nich z istniejącym aktualnie rządem i społeczeństwem. Zakłada to osiągnięcie pewnego poziomu demokratyzacji życia publicznego. Możliwość samodzielnej artykulacji różnorodnych interesów przez grupy społeczne oraz ich możliwość samodzielnego udziału w dochodzeniu swych interesów jest tu ujęta jako warunek wyjściowy dla realizacji demokracji politycznej.

Układ stosunków politycznych, który istniał w 1981 roku w Polsce nie

---

Drukowany przez nas, bez wiedzy i zgody autora, szkic jest fragmentem większego tekstu, napisanego w 1981 roku. Przy omawianiu wydarzeń z lat 1980-81 zmieniono czas teraźniejszy na przeszły - redakcja.

jest łatwy do określenia. W rzeczywistości funkcjonowały silne, niezależne centra wpływów politycznych, choć oficjalna doktryna ustroju o tym nie mówiła, istnienie tych centrów zezwala, przystępnej w pewnym stopniu, na analizowanie ówczesnej "polityki" w kategoriach procesu politycznego i systemu politycznego w przyjętym powyżej rozumieniu (choć oczywiście ograniczenia były znaczne). Na poziomie czysto deskryptywnym, w życiu politycznym uczestniczyły: kilka partii politycznych; trzy centra związków zawodowych i Solidarności Wiejskiej; Kościół i organizacje katolików świeckich; kilka organizacji młodzieżowych, organizacje reprezentujące kobiety, kombatanów i inne jeszcze środowiska społeczne.

Znaczenie poszczególnych "sektorów" nie było jednakowe, ale dla naszej analizy najważniejszy jest proces ich emancypowania się, przybierania charakteru niezależnych uczestników (albo - w pewnym stopniu niezależnych uczestników) życia politycznego. Refleksja: myśl dalsza, ewolucją tego układu stosunków wydawca się bardzo potrzebna. W tym celu wydawało się użyteczne zarysowanie kilku "modeli" systemu politycznego. Poszczególne modele będą nazywane tutaj typami, albo skromniej: "układami stosunków politycznych". Cztery szkieletowane układy nazwiemy: dominacyjnym, hegemonicznym, koalicyjnym i opozycyjnym. Przystępując do ich przedstawienia chciałbym podkreślić, że nie są one opisem jakiegokolwiek istniejącej empirycznie rzeczywistości, choć z obserwacji realnych układów płyną bodźce do ich konstruowania. Jak każda typologia, tak i te przedstawione tutaj, wyodrębnia niektóre cechy oraz powiązania między nimi, aby przedstawić klarowniej ich "wzór", czyli wzajemne zależności. W rzeczywistości stosunki polityczne są bardziej rozbudowane i pogmatwane (albo formalnie, albo realnie, albo w obu aspektach). Modelowe myślenie ma tę wartość, że pozwala lepiej zrozumieć wzajemne uwarunkowania poszczególnych stosunków, więc przedstawia wartość także dla tych, którzy zaangażowani są w praktyczne działania polityczne.

#### Układ dominacyjny.

Układ 1, nazwany dominacyjnym, nie należy do tej samej rodziny, co pozostałe. Jest układem bez niezależnych centrów wpływów politycznych, ale posiada pewne cechy formalnie go upodabniające do układów pozostałych, mianowicie, wielość uczestników. Występują w nim różne partie polityczne i organizacje społeczne, które formalnie "reprezentują" interesy odrębnych ośrodków społeczeństwa i "mają prawo" oddziaływanie na politykę rządu. Lecz uformowana trwała polityka - a także towarzysząca jej doktryna - przekreśla samodzielność uczestników na rzecz dominacji jednej partii. Prowadzi to do sytuacji, którą nazywa się zwykle monolitycznym systemem władzy. Układ ten tylko formalnie może być rozważany jako "system polityczny" (w przyjętym przez nas rozumieniu), bo nie spełnia wyjściowego warunku istnienia niezależnych ośrodków wpływów politycznych, czyli takich, które spełniałyby mogły funkcje ośrodków niezależnej artykulacji interesów. Jednak omówimy ten model, gdyż stanowi on faktyczne podłoże lub "zasadę" działania instytucji politycznych w naszym kraju od 1949 r. i jego przedstawienie pozwoli zrozumieć układy pozostałe.

W układzie dominacyjnym występują dwie podstawowe, rozbudowane i wielofunkcyjne, struktury życia politycznego: partia i rząd oraz szereg innych struktur zdecydowanie mniej ważnych. W partii centrum struktury stanowi Biuro Polityczne i Sekretariat, a w rządzie Prezydium Rządu. Ze względu na zabezpieczenie się składów personalnych wymienionych ciał, stanowią one jedno centrum władzy.

Pozostałe struktury życia politycznego: Sejm jako ciało ustawodawcze, inne partie polityczne, związki zawodowe i stowarzyszenia profesjonalne, organizacje spółdzielcze i inne - nie odgrywają faktycznie znaczącej roli państwowej. Ich drugorzędność wynika z braku samodzielnej myśli programowej i braku autonomicznego wpływu politycznego.

Wielokrotnie brak tym organizacjom nawet pomysłów co do konkretnych rozwiązań spraw, nad którymi mają one formalnie sprawować pieczęć. Skąd bierze się ta immobیلność? Najogólniej - z autorytarnego charakteru "władzy centrum", a więc Biura Politycznego i pierwszego sekretarza. Lecz warto wskazać i mechanizmy pomocnicze. Wydaje się, że dwie długotrwałe działające przyczyny leżą u podstaw tego stanu rzeczy. W tym modelu politycznym wpaja się działaczom niższych szczebli, że istnieje tylko jedna prawidłowa interpretacja marksistowskiej teorii rozwoju społeczno-gospodarczego, a w związku z tym jedna prawidłowa interpretacja potrzeb rozwojowych społeczeństwa. Do podawania jedynie trafnej interpretacji (albo orzekania o niej) powołani są najwyżsi przywódcy partyjni. Takie założenia, choć nie są "skodyfikowane" - są faktycznie obowiązującą doktryną.

"Aktorów" uczestniczącym w "układzie 1-szym" oraz stosunki między nimi można skrótkowo przedstawić jak w diagramie 1.

Ustalenie programu dla społeczeństwa oraz podejmowanie decyzji szczegółowych, dotyczących implementacji - odbywa się w obszarze interakcji partii i rządu. Organizacje społeczne (włączając w to polityczne stowarzyszenia takie jak ZSL lub SD) nie artykułują odrębnie interesów społecznych i nie rozporządzają samodzielnym wpływem na rząd. Podstawowym zadaniem różnych organizacji "pośrednich" jest w tym modelu wspomaganie partii i rządu w urabianiu opinii publicznej (przez tzw. "przenoszenie uchwał") oraz na mobilizowaniu różnych środowisk do wykonania wytyczonych zadań; są to w dużej mierze zadania wykonania planów gospodarczych. Takie działania organizacji zostało wytyczone w koncepcji transmisji woli partii do mas przez inne organizacje. Koncepcja ta nigdy nie została przewyższona, mimo prób zapoczątkowanych w naszym kraju już w 1956 r. Do zadań wspomaganie partii i rządu dochodzi w tym modelu dodatkowa - okazjonalna i rytualna coraz bardziej - funkcja formalnego przekazywania poparcia określonym działaniom rządu ze strony różnych środowisk społecznych. Stosunki w tym układzie dobrze oddaje żargon odnoszący się do działań; występuję w nim nie tylko "przenoszenie uchwał w dół", ale także "ustawianie pracy organizacji masowych".

Nie bardzo nawet wiadomo, czego samodzielną wpływ polityczny organizacji społecznych miałyby dotyczyć, skoro najlepszy z możliwych kurs polityczny jest wybierany dla społeczeństwa przez partię (konkretnie: Biuro Polityczne). Stąd zezwala się im najwyższej na "samodzielną" działalność "sygnalizacyjną": mają one donosić, co dzieje się w dole ztego, niezaplanowanego, nieprzewidzianego etc. Jednak z sygnałów tych robi się pożytek wówczas jeśli usunięcie zła leży "po drodze" w wykonywaniu zadań (nowych lub starych) przewidzianych w globalnym planie. Jeśli do tego planu nie pasują - sygnały są ignorowane.

Wszelkie próby faktycznego przyznania organizacjom prawa do wyrażenia samodzielną opinią zatrzymywały się u progu uznania ich prawa do ujawnienia samodzielną wpływu politycznego (jeśli istniała potencjalna baza dla zgromadzenia takiego wpływu). Taką sytuację, nągminnie się powtarzającą, przynosiła w rezultacie zniechęcenie wśród członków społecznych organizacji oraz frustrację wśród tych aktywistów, którzy zaczęli swą działalność w przekonaniu, że mogą coś zmienić, na coś wpłynąć. Wydaje się, że jedynie, ale bardzo wolno czynione kroki, w stronę odejścia od takiego układu stosunków (a może nawet stałe powstrzymywanie się od pełnego ich uformowania według "modelu") można było zaobserwować w Polsce w stosunkach między partią a ZSL-em. Stronnictwo chłopskie próbowało artykułować szczególne interesy wsi i czasem jego sugestie były brane pod uwagę.

System ten nie działa jednak tak, że żaden wpływ "z zewnątrz" monolitycznej struktury władzy nie jest uwzględniany w tworzeniu polityki w jej różnych aspektach i horyzontach czasowych. Paradoxs polega raczej na tym, że oficjalnie istniejące organizacje, występujące w zróżnicowanej ponad miarę strukturze formalnej, nie wywierają wpływu politycznego, ale za to wywierają go niezorganizowane siły oraz organizacje i instytucje formalnie znajdu-

jące się poza ramami systemu desygnowanego do wyrażania życia politycznego społeczeństwa. Chłopi i robotnicy wywierają wpływ polityczny przez zmniejszenie lub zatrzymanie produkcji, hierarchia kościelna w. wiera swój wpływ w trakcie spotkań z leaderami partii, intelektualści próbują czemuś zapobiec mobilizując nieformalną opinię publiczną lub coś przedstawić na spotkaniach z przywódcami, jeśli takowe są organizowane.

Trzeba sprawiedliwie przyznać, że zakres oddziaływania społeczeństwa na kompleks władzy: partia/rząd był w Polsce większy niż gdzie indziej w bloku. Były to jednak dewiacje od modelu.

#### Układ hegemoniczny

Układ 2 - nazwany tutaj "hegemoniczny" - jest podobny do pierwszego w tym sensie, że "wdrażana" jest w nim pewna wizja rozwoju społecznego i występuje w nim kierownicza rola partii komunistycznej. Rząd jest pod decydującym wpływem partii - zwłaszcza w układaniu i realizowaniu długofalowych programów społeczno-gospodarczych. Model ten wprowadza jednak nowe rozwiązanie: jest nim względna samodzielność myślenia i działania innych stronnictw politycznych i organizacji społecznych. Model ten dopuszcza więc pewien stopień pluralizmu w artykułowaniu interesów i dążeń społeczeństwa. Pojawia się realne współdziaływanie partii komunistycznej, stronnictw politycznych i organizacji społecznych w procesie tworzenia polityki. Wywołują się mechanizmy kumulowania wpływu przez "organizacje pośrednie" i używania tego wpływu do dochodzenia wyartykułowanych interesów, przede wszystkim interesów ekonomicznych różnych klas, warstw i grup społecznych. Organizacje te oddziałują na politykę rządu (patrz diagram 2).

Na poziomie władz państwowych zarysowuje się "rozdzielenie władzy ustawodawczej i wykonawczej. Sejm i rząd nie zawsze mają już tę samą, z góry ustaloną opinię we wszystkich sprawach.

Następuje emancypacja władzy ustawodawczej spod dominacji władzy wykonawczej oraz bezpośrednich wskazań agend wykonawczych partii (Wydziałów KC). Nie ma tej emancypacji w stosunku do globalnej linii politycznej partii (ponieważ partia kontroluje skład sejmu).

Istnienie tej generalnej linii skierowuje uwagę na wybrane interesy, obszary zjawisk i zagadnienia. Sprzyjać to może mobilizacji społeczeństwa, zwłaszcza niektórych jego klas i grup, ale równocześnie działa zawężająco, tak na procesy artykułowania interesów, jak i procesy mobilizacyjne.

Istotnym elementem życia politycznego w układzie 2 są wyprzedzające konsultacje partii z innymi stronnictwami i organizacjami społecznymi. Te konsultacje mogą także obejmować Kościół, stowarzyszenia twórcze, kręgi naukowe etc. Natura tych konsultacji jest szczególna. Nie są to negocjacje, w których strony są "równe". Uznanie przodującej roli partii prowadzi do jej hegemonii w rozmowach i daje jej możliwość ostatecznego pominięcia sugestii "partnerów".

Taki układ stosunków w czyste postaci jest możliwy do stworzenia w oparciu o jedną z dwu podstaw: 1) autentycznego, niewymuszonego przez "partnerów" prawa partii do przewodzenia - a więc tak czy inaczej, w oparciu o jej moralny autorytet; 2) większego zakresu poparcia społecznego, a więc w oparciu o autentyczny wpływ polityczny, który to wpływ może być albo rezultatem długotrwałego działania autorytetu moralnego lub innych przyczyn, np. określonej, krótkotrwałej konfiguracji w życiu politycznym kraju. Brak którejś z tych podstaw stwarza warunki sprzyjające ewolucji w kierunku układu "dominacyjnego". Obie podstawy istnieć mogą na dłuższą metę tylko przy akceptacji przez większość społeczeństwa programu tworzonego przez partię.

W modelu "hegemonicznym" poszczególne środowiska społeczne, poprzez swoje zorganizowane reprezentacje (związki zawodowe, stowarzyszenia etc),

odgrywają samodzielną rolę w specyfikacji problemów, które domagają się rozwiązania. Informacja i wiedza gromadzona w ramach organizacji społecznych jest przez partię i rząd traktowane poważnie. Partia hegemoniczna uznaje nie tylko odmiennosc, ale sprzeczność wzajemną interesów różnych grup; uznaje także, że poszczególne organizacje mogą czasem lepiej niż ona rozpoznawać interesy i dążenia poszczególnych kategorii i grup ludności, a te rozpoznania nie muszą dobrze pasować do uchwalonego i aktualnie realizowanego programu partii; dopuszcza się nawet częściową sprzeczność tych rozpoznań z programem ogólnym partii.

W powiązaniu z tą sytuacją w polu artykulacji interesów pojawia się jakby samodzielny wpływ polityczny organizacji "pośrednich" w rozmaitych sferach decyzyjnych (do ciał ustawodawczych państwa włącznie), a więc w polu życia politycznego. Jego istnienie jest elementem demokracji, lecz ze względu na całokształt rozwiązań jest to wpływ szczególny: ani decydujący ani trwały. Dlatego użyłem zwrotu "jakby samodzielny" wpływ polityczny. Może on być ostatecznie zignorowany lub nawet "odebrany" w przypadku ostrego kryzysu stosunków między partią hegemoniczną a "młodszym partnerem". Jednym z drastycznych sposobów odebrania wpływu jest likwidacja organizacji.

Wydaje się, że Marks i Gramsci mieli w przybliżeniu obraz szkicowanego tu modelu, kiedy pisali na temat hegemonii partii komunistycznej w całości kształcie życia ideowo-politycznego przyszłego społeczeństwa. W projektowanym nowym systemie partia była primus inter pares. Nie zakładali oni, że państwo socjalistyczne pozbawi grupy społeczne możliwości demokratycznego wyrażania ich interesów i dążeń. Raczej wyobrażali sobie - mgliście - taki system, w którym partia komunistyczna będzie faktycznym "sercem" życia politycznego. Będzie ona siłą wiodącą w społeczeństwie, ponieważ jej teoria i ideologia będą dobrze wyrażały długofalowe tendencje rozwoju socjalistycznego, a ten kierunek rozwoju znajdzie spontaniczne poparcie większości społeczeństwa.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że taki stan faktyczny, jeśli miałby zaistnieć i trwać, zakłada ciągle odnawiającą się zbieżność percepcji i projekcji rzeczywistości (a więc artykulacji interesów) w zespołach ludzi odmiennie ułożonych w systemie społecznym; z jednej strony - wśród przywódców partii, a z drugiej - wśród różnych klas, warstw i grup (krótko - kategorii społecznych). Otóż osiągnięcie zbieżności percepcji i projekcji rzeczywistości w tych, tak odmiennie ułożonych zbiorowościach, jest niezmiernie trudne jeśli nie problematyczne w ogóle. Wymaga to postrzeżenia przez partykularne kategorie ludności swoich częściowych i bieżących interesów nie inaczej, lecz przez pryzmat interesów ogólnospołecznych i długofalowych. Wymaga także trafnej, "prawidłowej" percepcji możliwości rozwojowych kraju w gronie przywódczym. Wymaga to dodatkowo, aby elita przywódcza nie "wbudowała" swoich wąsko-elitarnych interesów w program bieżący i długofalowy. (Społeczeństwo dość szybko rozszyfrowuje takie elementy lub aspekty programu).

Taka idealna niemalże sytuacja percepcyjna jest logicznym fundamentem na którym wzniesiona jest teza o przywódczej, teoretyczno-ideologicznej roli partii, która jest uznana faktycznie i znajduje ciągle wsparcie mas pracujących.

Dlatego w sformułowaniu powyżej podaliśmy mniej wymagające i bardziej realistyczne warunki ewentualnego zrealizowania się kierowniczej roli partii. Są nimi: 1) uznanie przez innych zorganizowanych partnerów politycznego "pierwszeństwa" partii, 2) zgromadzenie faktycznego wpływu politycznego, niezależnie od jego podstaw. Jednak te warunki występować mogą rzadko i krótkotrwałe.

#### Układ koalicyjny

Układ 3 - nazywany koalicyjnym - polega na pełnej samodzielności róż-

norodnych partnerów występujących w systemie politycznym; ich niezależności w artykułowaniu interesów i dążeń oraz samodzielnym używaniu własnych wpływów. Układ ten dopuszcza znaczną elastyczność. Interesy mogą być różnego stopnia ogólności.

Organizacje pod względem formalnym mogą być bardzo różnorodne. Nie muszą to być partie polityczne. Zasadniczą cechą głównych partnerów koalicji jest ich faktyczna moc polityczna (wpływ, który może być efektywnie "pokazany"). Zgromadzony wpływ i umiejętność jego użycia w negocjacjach ma znaczenie dla ostaćczych "uzgodnień", czyli formowania określonej treści decyzji państwa.

Różnice w zekumulowanej mocy politycznej partnerów nie mają w tym modelu rozstrzygającego znaczenia, choć, oczywiście, nie są bez znaczenia. Tworzony program jest rezultatem kooperacji wszystkich sił społecznych. Obojętne jest ich faktyczna moc polityczna, cechą istotną tego modelu jest istnienie trwałej koalicji kilku podstawowych (najbardziej wpływowych) sił. Stopień demokratyzmu tego układu jest wyższy niż układu 2. Organ ustawodawczy w tym modelu nie może być podporządkowany jednej sile (partii). Winien być ważnym centrum "pracy" koalicji (czyli negocjacji).

Taki system - to coś więcej, niż "rząd koalicyjny". Rządy koalicyjne zazwyczaj powstają w modelu stosunków politycznych, który tutaj jest nazywany "opozycyjnym" (jest o nim mowa poniżej). Takie rządy są przejawem czasowego zawieszenia broni dla rozwiązania palących problemów lub powstają z powodu wzajemnego blokowania się partii w systemie parlamentarnym, z takiego impasu, że żadna samodzielnie nie może sformować rządu, który uzyska niezbędne poparcie w ciele legislacyjnym państwa.

Natomiast naszukiwany tu "układ 3" jest oparty na względnie trwałej społecznej umowie zorganizowanych sił o dużym wpływie społecznym i raczej potrzeby stworzenia średniokresowego, akceptowanego przez ludność programu dla kraju, niż potrzeby uformowania się arytmetycznej większości w parlamencie, stanowiąc podstawę uformowania się koalicji.

Gdyby taki system polityczny został stworzony w Polsce, przyjąłby zapewne kształt koalicji PZPR, Kościoła, Solidarności, ZSL, SD, Solidarności Wiejskiej. Kościół byłby prawdopodobnie formalnie reprezentowany przez lewicę stowarzyszenia katolików (w przyszłości nie byłoby wykluczone uformowanie się partii chrześcijańsko-demokratycznej). Dokładne wyliczenie partnerów nie jest tutaj potrzebne. Natomiast potrzebne jest jasne zdanie sobie sprawy z podstawowych, typologicznych właściwości takiego modelu. Jest to potrzebne nawet przy założeniu, że rzeczywistość nigdy nie będzie tak klarowna jak model. Szukujemy pewien projekt w oparciu o elementy wiedzy historycznej i refleksję teoretyczną. Jest to projekt modelu, a nie projekt koalicyjnego porozumienia do realizacji. W płaszczyźnie teoretycznej model ten czerpie inspirację ze szkicu Stanisława Ossowskiego o "systemie międzygrupowych porozumień".

W tym systemie nie ma takiego planu rozwoju społeczno-gospodarczego, który mógłby być traktowany jako najlepsza implementacja teorii socjologicznej lub ekonomicznej (konkretnie: teorii marksistowskiej). Jako zasadniczy tworzony jest średnioterminowy program rządu. Ustaione są także i traktowane jako istotne, wiodące zasady polityki społeczno-gospodarczej. Są również jasno sformułowane reguły współpracy i konkurencji sił politycznych działających w systemie. Takich rozwiązań po prostu wymaga natura sił społecznych, które uczestniczą w koalicji. Mają one swoje odrębne "ideologie" w tym sensie, że podstawami ich działań są odmienne doktryny filozoficzne i polityczne lub programowy brak doktryny. Nie ma wśród tych sił zgody na przyjęcie jednej teorii ekonomicznej lub socjologicznej za podstawę programowych działań - choć mogą one wspólnie dochodzić do wniosku, że jedne założenia teoretyczne są lepsze niż inne.

Brak wspólnej ideologii nie oznacza, że koalicja działa w aksjologicznej próżni. Wprost przeciwnie. Najogólniejszym fundamentem utworzenia koalicji jest wspólna akceptacja pewnego zestawu wartości oraz dążenie do implementacji tych wartości w oparciu o naukowe diagnozy i prognozy. Zestaw wartości ulega więc transformacji w cele polityki społecznej oraz w akceptowane mechanizmy realizacji celów. Zestaw wartości nie jest jednak wzięty z jednej doktryny, a nauka traktowana jest bardziej instrumentalnie niż wizjonersko. Zakłada się, że ma ona pomagać we wdrażaniu idei społecznych, a nie rozstrzygać, które z nich są lepsze, ważniejsze czy priorytetowe.

Zestaw wartości jest wzięty z "ideologicznych zasobów" członków koalicji. Specyficzne ideologie członków koalicji przedstawiają wartości swoiste i ustrukturalizowane, wskazując wprost lub przez implikację, które wartości są ważniejsze lub mniej ważne; które są wartościami "ostatecznymi" nie wymagającymi uzasadnienia, a które wartościami instrumentalnymi do osiągnięcia tych pierwszych. Otóż natura koalicji wymaga, aby zgody dotyczyły zestawu wartości, a ich ustrukturalizowanie pozostawia się domenie działalności partnerów. W jednej ideologii własność społeczna środków produkcji, a w drugiej nienaruszalność praw osoby mogą być uznane za najważniejsze. Dla koalicji wystarczy - ale jakże to dużo zarozem - by w programie realizowanym przez rząd znalazło się miejsce i dla efektywnych metod funkcjonowania społecznej własności środków produkcji i dla tworzenia warunków do realizowania się autonomii jednostki. Podobnie może być np. z wartościami sam rządowej partycypacji i sterowanego rozwoju społeczno-gospodarczego.

Takie rozwiązanie oparte jest na przesłance, że koalicyjna zasada rzeczywistego pluralizmu stwarza warunki możliwie szerokiego, nieskrępowanego wyrażania się ze społeczeństwa różnorodnych interesów i dążeń w ramach oficjalnego układu stosunków.

Ten model utrzymuje podział zorganizowanych aktorów życia politycznego na dwie grupy: zasadnicze siły społeczne tworzące "klub koalicyjny" oraz siły pozostałe (patrz diagram 3). Nie jest to jednak podział ostry. Możliwe jest zawsze dołączenie do sił podstawowych jakiejś nowej organizacji, stopniowe wznoszenie się jakiejś organizacji do rangi siły zasadniczej. Układ stosunków między siłami podstawowymi a pozostałymi aktorami jest bardziej zróżnicowany niż był w układzie 2. Różne organizacje, reprezentujące partycularne interesy grup lub specyficzne interesy społeczeństwa (np. ochronę środowiska), występując w jednej z trzech ról: 1) stałych sojuszników jednej z sił podstawowych, 2) sojuszników okazjonalnych lub częściowych, 3) sił niestowarzyszonych z żadną siłą podstawową. Możliwe są przesunięcia w pełnionych rolach. Istotnym rysem układu stosunków w tym modelu jako całości jest to, że wszyscy aktorzy sceny politycznej akceptują podstawowy zestaw wartości zaproponowany przez "klub koalicyjny". Wartości te dotyczą podstaw życia gospodarczego, kulturalnego i politycznego. W realizacji tych wartości widzą zaspokojenie swych interesów mniejsze lub większe grupy, aktywne na scenie społeczno-politycznej. Zgoda na zestaw wartości pociąga za sobą zaakceptowanie określonych mechanizmów realizacyjnych. Sposoby transformowania wartości w cele działania, celów w programy konkretne, czyli strona implementacyjna wspólnego programu, jest jakby drugą częścią globalnego porozumienia, tej swoistej "konstytucji koalicji".

Program koalicji, a także samo jej istnienie wyzwała albo co najmniej wzmacnia, siły dośrodkowe, integrujące tak w mechanizmach rządzenia, jak i w społeczeństwie. Wartości i cele, które koalicja proponuje społeczeństwu do realizacji są zakrojone szeroko, ale jednak wyselekcjonowane. Ta swoista równowaga między różnorodnością a koncentracją stwarza potencjalne szanse skupienia uwagi zespołu przywódczego na wybranych zagadnieniach oraz wysiłku społeczeństwa na wyselekcjonowanych obszarach, bez jawnego i "uzasadnionego teoretycznie" lekceważenia jakichś istotnych interesów i potrzeb społecznych (co często zdarza się w poprzednich modelach).

Ten model kryje w sobie duże możliwości mobilizacji społeczeństwa do

wykonywania przyjętych programów. Stwarza on także grunt dla wyzwolenia oraz intencjonalnego kształtowania postaw społecznych. Zarysowany układ stosunków faworyzuje bowiem kooperację na różnych szczeblach i w różnych obszarach aktywności społecznej.

Naszkicowany układ stosunków nie eliminuje, bo nie może, współzawodnictwa między partnerami koalicji, pojawiają się tendencje odśrodkowych, a także konfliktów. Jednak otwiera on możliwości, aby współzawodnictwo różnych organizacji i sił społecznych przybierało łagodniejszą formę.

#### Układ opozycyjny

Układ 4 jest zwykle nazywany "systemem wielopartyjnym". Najbardziej adekwatną wydaje się nazwa "układu partii opozycyjnych", ponieważ cechą wyróżniającą go nie jest samo istnienie wielu partii, lecz ich stały i nieprzerwany ciągły walka o przejęcie steru rządów. Walka ta odbywa się według ściśle określonych reguł, które w całości można nazwać demokratycznym kodeksem uprawiania polityki. W tym układzie istnieją największe szanse ujawnienia się różnorodnych interesów i dążeń poszczególnych odłamów społeczeństwa (lub jego całości). Natomiast jego możliwości mobilizacyjne są mniejsze.

Działanie tego systemu można scharakteryzować jako codzienną walkę i grę różnorodnych ośrodków wpływów politycznych, które dążą do oddziaływania na decyzje rządu oraz okresowe batalie partii politycznych, zmierzających do obsadzenia rządu i nadania jego polityce określonego kierunku. Programy partii pretendujących do rządu są odmienne - choć czasami odmiennosc nie jest tak znaczna później, w realizacji, jak była w manifestach wyborczych. System ten nie wyklucza dwu krańcowych sytuacji: prowadzenia takiej samej polityki przez nową ekipę i - na drugim krańcu - całkowitej zmiany ustroju społeczno-gospodarczego (czyli rewolucji ustrojowej tzw. "drogą parlamentarną"). Nie trzeba chyba rozwijać uwagi, że "partią u władzy", jak i "partią w opozycji" może być więcej niż jedna partia, czyli ich zgrupowanie. Nie zmienia to charakteru tego modelu i jego mechaniki politycznej.

Ten model dostarcza najlepszej ilustracji kumulowania wpływu politycznego przez partie polityczne i grupy interesów, używania tych wpływów w walce politycznej, transformacji wpływów w wiążące decyzje legislatury i rządu. Stosowany najczęściej w literaturze podział aktorów sceny politycznej to podział na: 1) partie polityczne, które określa się jako zasadnicze siły polityczne zainteresowane zarówno treścią polityki jak i obsadą stanowisk państwowych, 2) grupy interesów (lub grupy nacisku) zainteresowane treścią decyzji państwowych, a nie zainteresowane obsadą stanowisk państwowych, 3) ruchy masowe, nie posiadające struktury (a często i trwałości), które pełnią ważną rolę w lansowaniu nowych interesów, wartości, rozwiązań.

Układ 4, ze względu na okresowe zmiany rządów i ich programów, ukształtował szczególną drogę realizacji interesów grupowych. Realizację interesów można tam nazwać "sekwencyjną" lub "przemienną". Rządy prawicowe prowadzą politykę sprzyjającą interesom klas posiadających, a rządy lewicowe - klas pracujących. Zderza się, że zmiana partii u władzy powoduje "odwołanie" realizacji pewnych interesów, ale rzadko kiedy zdarza się, aby całość polityki była zmieniona. Występują więc równoległe dwa zjawiska: 1) przemienność zaspokajania szczegółowych interesów klas i grup, 2) historyczna kontynuacja w realizacji niektórych przynajmniej interesów klas oraz widoczna kontynuacja w realizacji pewnych globalnych interesów społeczeństwa, takich, które zabezpiecza rozwój oświaty, ubezpieczeń, służby zdrowia. (Konsekwentnie nie omawiamy w tym opracowaniu interesów zabezpieczanych w ustroju kapitalistycznym permanentnie przez samo funkcjonowanie określonego ustroju własności).

W kontekście naszych rozważań na jeszcze jedno, dość ważne zjawis-



sko, trzeba zwrócić uwagę. Powiedzieliśmy powyżej, że model 4 stwarza najdogodniejsze warunki dla pojęciowej artykulacji różnych interesów. Teraz powiedzić trzeba, że te warunki nie mają już takiej samej mocy i "samoczynnego działania" w płaszczyźnie ukonstytuowania się interesów na scenie życia politycznego, a więc ich upowszechnienia, formalnego zalegitymizowania i usadoczenia przy stole przetargów.

Liberalizm polityczny i światopoglądowy oraz swoboda badań naukowych sprzyjają wyrażaniu się bardzo różnorodnych interesów grupowych, sektoralnych, ogólnospołecznych; ekonomicznych i politycznych; obecnych i bardziej przyszłościowych. Jednak prawdziwości walki politycznej działają blokująco wobec procesów konstytuowania się nowych interesów, na scenie życia politycznego. Działają kilka powiązanych przyczyn. Życie polityczne w ustabilizowanych systemach opozycyjnych jest zdominowane przez wielkie organizacje, które reprezentują już ukonstytuowane interesy. Ze względu na koszty finansowe i wymagania organizacyjne, jest bardzo trudno nowym interesom (grupom, organizacjom) usadocić się, ukonstytuować, obok wielkich potentatów. Duże, istniejące organizacje czasem artykułują nowe interesy, ale czynią to chętniej, jeśli wzmacnia to ich siły: poszerza społeczną bazę poparcia, pęsuje do przyjętych planów walki, dodaje barw ich programowi; natomiast zmniejsza ich zainteresowanie nowymi interesami niebezpieczeństwo zantagonizowania wpływowych grup, pomniejszenia poparcia ze strony starych zwolenników, konieczność wydatkowania wysiłku lub funduszy na "zbyt mało znaczącą sprawę".

Znane są analizy pokazujące działania mechanizmów, które blokują nowym interesom drogę do sceny politycznej. W świetle tych analiz nie jest zaskakujące, że nowe interesy konstytuują się często poprzez masowy ruch protestu, który wyłania się obok normalnej "gry politycznej" ustabilizowanej sił społecznych. Tak było w wielu krajach europejskich w przypadku lotesów i praw robotników. Niedawnym wymownym przykładem był ruch marynarski w Stanach Zjednoczonych o szeroko pojęte prawa obywatelskie, prawa, w których odzwierciedlały się ekonomiczne i polityczne interesy ludności marynarskiej. Ważne jest jednak, że masowy ruch protestu w systemie demokracji politycznej prowadzi ostatecznie do takiej lub innej jego instytucjonalizacji, a co najmniej - inkorporacji jego interesów w funkcjonowanie systemu.

#### Ogólne problemy koalicji w Polsce

Cztery modele stosunków politycznych, przedstawione uprzednio, odwoływały się do materiału empirycznego znanego z doświadczeń historycznych, choć w teoretyczny sposób przetworzonego. Poniższe rozważania będą kontynuacją tego podejścia. Jakie teoretyczne problemy związane bezpośrednio z praktyką polityczną, należy mieć na uwadze, rozważając hipotezę koalicji? Można bowiem wysunąć twierdzenie, że taka koalicja była historycznie możliwa, mimo że ewolucja sytuacji politycznej wskazywała na ogromne trudności uformowania się nowego układu stosunków politycznych.

Trzeba zacząć od prostej uwagi, że stworzenie "układu" koalicyjnego wymaga faktycznego i jawnego wejścia podstawowych sił społecznych do systemu politycznego. Wymaga również uznania ich oficjalnego prawa do artykułowania różnorodnych interesów i dążeń ludności oraz gromadzenia i wywierania wpływu politycznego, skierowanego na treść programu władz państwowych. Elementy takiej rzeczywistości wyłaniały się. Była to jednak w dużym stopniu sytuacja niesformalizowana, a więc już choćby z tego powodu obciążona niejasnością i niepewnością.

Ważne jest od samego początku określenie perspektywy koalicji, zwłaszcza wtedy, kiedy pojawiają się rozmaite jej "projekcje". Jedno z wyścigowych pytań da się sformułować prosto: czy ma być to taktyczna ugoda, czy strategiczne przymierze? Stan stosunków między PZPR a Solidarnością wskazywał na to, że po obu stronach istniały silne grupy, które jeśli by nawet za-

ekceptowały koalicję, to chciałyby szybko, przy naderżających się okolicznościach, ją przekreślić i "przeważyc na swoją stronę". Widać to było zwłaszcza po stronie tych, którzy dotychczas rządzą. "Czujnie wyczekiwanie" na reintegrację pełni władzy w dwoich rękach podminowały zaufanie do deklaracji rządowych na temat koalicji. Trzeba brać pod uwagę przewa psychologii politycznej. Nikt nie chce być tym naiwnym, który został oszukany. Do zawarcia porozumienia potrzebne jest dwustronne przekonanie, że partner jest odpowiedzialny, obciążony społeczną wyobraźnią i nie tylko egoistyczne interesy własne ma na względzie.

Inne pytanie brzmi: koalicja pragmatyczna, czy koncepcyjna? Przemyśle potężnych sił społecznych nie może być tworzone tylko dla rozładowania bieżących napięć społecznych. Nie może być jego zadaniem podejmowanie decyzji w pałacach, ale jednostkowych sprawach. Głównym zadaniem koalicji jest rozważenie spraw zasadniczych, prowadzenie rozmów wyprzedzających wyderzenia, chciałyby się powiedzieć: planistycznych w dobrym rozumieniu tego słowa.

Jest oczywiste, że w takich rozmowach ujawniają się odmienne podejścia poszczególnych partnerów do wielu spraw, lecz ujawni się również komplementarność ich zainteresowań, która może sprzyjać integracji.

Można było liczyć się z tym, że obok komplementarności wystąpi zjawisko przenikania się koncepcji oraz - na szczeblu operacjonalizacji - także proponowanych sposobów realizacji, co mogło mieć znaczenie dla umocnienia procesów integracji.

Przyszli historycy prawdopodobnie wyrażać będą zdziwienie z powodu dysproporcji, jaka w 1981 roku istniała między ekceptowaniem przez wszystkich potencjalnych partnerów koalicji określonego zestawu celów, a stopniem napięcia politycznego w kraju.

Nie będzie odległe od rzeczywistości stwierdzenie, że potencjalni partnerzy polskiej koalicji zgodziliby się na formułę, że podstawami systemu społeczno-politycznego winny być: społeczne (państwowe, spółdzielcze, komunalne) własność środków produkcji w dużym przemyśle oraz prywatna w rolnictwie samorządy jako istotne elementy zarządzania w różnych dziedzinach życia, na różnych szczeblach; bardziej pluralistyczne niż poprzednio procedury tworzenia programów dla społeczeństwa i powoływania władz państwowych; praworzadność jako podstawa funkcjonowania wszystkich instytucji; tolerancja światopoglądowa. Zgodziliby się również, że cele, jakie powinny przyswiecać średniokresowym planom rządu, obejmują: zabezpieczenie materialnego aspektu życia wszystkich rodzin (co, niestety, obejmuje tak podstawowe sprawy, jak zaopatrzenie rynku w towary i intensyfikację budownictwa mieszkaniowego); niedopuszczenie do nadmiernego zróżnicowania dochodów rodzin, pomoc grupom słabszym (np. emerytom); upowszechnienie oświaty i kultury wśród warstw nadal pod tym względem upośledzonych etc.

W teorii marksizmu, w myśli teologicznej i społecznej Kościoła, w formujących się zasadach ideologicznych Solidarności, w historycznie ukształtowanym zapleczu ideowym ruchu ludowego - te podstawy systemu i cele działania mają inne akcenty i uzasadnienie: są bowiem wtopione w szersze rozważania filozoficzne i socjologiczne. Lecz to nie przekreśla możliwości znalezienia uzasadnień dla realizacji ich wszystkich, a nawet - dla uzgodnienia, jakimi "blokami spraw" trzeba by stopniowo polepszać warunki życia i pracy ludności.

#### Koalicja a konkurencja

Trwała koalicja niejednorodnych sił społecznych jako podstawa władzy państwowej - choć miała w Polsce szczególne warunki do uformowania się (obok kontrtendencji) - zawsze jest trudnym do stworzenia i utrzymania modelem uprawiania polityki. Decydują o tym warunki systemowe, a nie tylko

incydentalne czy historyczne. Trzeba więc zwrócić uwagę choćby na niektóre spośród nich.

Samodzielność sił społecznych produkuje nieustannie tendencje odśrodkowe, które pojawiają się na wielu poziomach; tak szczytów koalicyjnych, jak i "dołów" członkowskich. Siły odśrodkowe żywią się politycznym egoizmem organizacyjnym i ambicjami jednostkowymi; wyrastają na podłożu ambicji do zwiększonego wpływu i prestiżu własnych organizacji, ich przywódców i członków. Racjonalizacje tych ambicji przybierają formę przekonania o większej wartości własnych programów lub ich wyłącznej adekwatności do aktualnej sytuacji. Dlatego wcześniejsze ustalenia programu wspólnego podcina korzenie tym racjonalizacjom, choć nie jest w stanie ich zlikwidować zupełnie.

Nawet po stworzeniu i uruchomieniu wspólnego programu dla rządu, pewien stopień konkurencyjności partnerów koalicji w społeczeństwie wydaje się nieuchronny. Należy się liczyć z rozmaitymi, spontanicznymi rodzajami się przejawami konkurencji. Powstaje więc pytanie: czy może ona świadomie być ograniczana i sterowana przez te same siły, które w koalicję zainwestowały? Wydaje się, że tak, choć sprzeczność wewnętrzna będzie obecna na stałe w działalności każdego partnera. "Chłodzenie" tej sprzeczności, aby nie przerodziła się w konflikt, jest niezbędne w życiu każdej siły społecznej z osobna, gdzie zawsze ujawniać się będą oddolne głosy domagające się zerwania koalicji, a na szczytach pojawić się może pokusa zdobycia w oczach społeczeństwa przewagi nad innymi liderami koalicji.

Dochođzimy w tym miejscu do niezmiernie ważnego zagadnienia, a mianowicie - realnego stosunku sił i "demonstracji wpływów" w relacjach między partnerami koalicji. Sposób kontrolowania konkurencyjności zależy bowiem od ułożenia sprawy najistotniejszej: układu wpływów politycznych, które pozostają w dyspozycji partnerów. Wydaje się, że trwała i delekcyjna w swych celach koalicja wymaga szczególnej aranżacji wpływów politycznych. Jest to ważny wniosek teoretyczny, który nie powinien być przeoczony ani przez Solidarność ani przez PZPR.

#### Powstrzymywanie się od demonstracji wpływów

Partnerzy koalicji nie powinni uruchamiać swych wpływów do walki politycznej o program rządu tak, jak zwykle dzieje się w "modelu 4". Koalicja jest bowiem zaprojektowana jako względnie trwała społeczna podstawa władzy państwowej. Mechanika wpływów musi być tu szczególna, mianowicie podporządkowana utrzymaniu koalicji i zrealizowaniu programu, Tak więc, w debatach i przetargach, dotyczących "konstrukcji programu" globalnego, nie powinno dochodzić do "demonstracji siły", w znaczeniu okazywania rozmiarów wpływu własnego i testowania rozmiarów wpływu partnera (lub partnerów). Można by nawet powiedzieć więcej: przez cały okres trwania koalicji warunkiem jej poprawnego funkcjonowania jest powstrzymywanie się partnerów od prób zdobywania przewagi nad innymi w procesie decyzyjnym. Pośrednio oznacza to konieczność przejawiania powściągliwości w dążeniach do zdobycia przewagi w społeczeństwie.

Trzeba sobie jasno zdawać sprawę z tego warunku istnienia "modelu 3" bo on najbardziej go wyróżnia. Spełnienie tego warunku powoduje pewne "wstrzymanie" lub "zawieszenie" normalnej "gry" wpływów politycznych, a w konsekwencji - trudności w określeniu rozmiaru wpływu, jakim dysponuje każda z głównych sił koalicji. Partnerzy zawierają jakby cichą umowę, że nie będą się stawiać się wzajemnie pod tym względem. Przyjmują oni rozmiar swych wpływów za pewną "stałą", a nawet jakby na dłuższy okres "z grubsza równą", choćby nawet istniały dowody, że równa nie jest. Przyjęcie takiego założenia jest dyktowane przez zasadę równości partnerów i oczekiwanie, że każdy z nich dołoży wszelkich starań do zrealizowania ustalonego programu i będzie działał na rzecz utrzymania koalicji. Spełnienie tego założenia jest psychologicznie trudne dla tej siły, której wpływy rosną.

Występuje w tym modelu coś jakby dłuższe, intencjonalne "zamrożenie" stosunku sił i dynamiki wpływów. To zamrożenie jest kontynuacją początkowego stanu zawieszenia walki w momencie przystąpienia do tworzenia wspólnego programu. Sukcesywne zamrożenie winno obejmować okresy dłuższe (jeśli koalicja ma spełnić swe powołanie), a więc być przedłużone na okresy kolejnych modyfikacji i dalszych implementacji programu. Takie zamrożenie trwałości koalicji spełnia ważne funkcje, m.in. służy obniżeniu konfliktowości debat i przetargów. Sprzyja natomiast podniesieniu rangi argumentacji merytorycznej.

Jeśli zamrożenie lub co najmniej świadome ograniczenie dynamiki wpływów wydaje się możliwe i konieczne w debatach toczonych w ramach czy parlamentu, to nie wydaje się ono w takim samym stopniu możliwe w trakcie życia społecznego. Liderzy mogą się umówić, że nie będą testowali swych wpływów w trakcie dyskusji nad programem rządu, ale nie są oni w stanie ani kontrolować ściśle swych organizacji, ani - tym bardziej - spontanicznych procesów psychologicznych przebiegających w opinii publicznej i jej poszczególnych odcinkach. Stopień zamrożenia procesów kumulowania wpływu (lub jego rozpraszania się) - a także testowania go w konfrontacjach będzie więc zawsze mniejszy na "niższych poziomach" życia społecznego niż na poziomie szczytów koalicyjnych.

W tym miejscu wypada przedzić do problematyki konkurencyjności sił sprzecznych. Jest ona nieuchronna. Sądzić można jednak, że daje się ona przynajmniej częściowo ukierunkować na obszary produktywnie korzystne dla całego społeczeństwa, a pod pewnym względem korzystne także dla poszczególnych partnerów koalicji. Codziennej pracy nad takim ukierunkowaniem powinni patronować liderzy koalicji. Możliwość produktywnej współpracy obok konkurencji ma podstawę w tym, że partnerzy koalicji mają sfery zainteresowań częściowo wspólne, ale i częściowo odrębne. Ponadto te, które są wspólne, nie muszą być uznane za jednakowo ważne przez każdego partnera. Specjalizacja zainteresowań pozwala więc kierować część ducha konkurencji na działalność nie wywołującą bezpośrednich zwańc. Ambicją działaczy określonej siły społecznej może być wtedy lepsze przygotowanie i lepsze wdrożenie programu odnoszącego się do dziedziny życia, którą się oni szczególnie interesują. Oczywiście stan sprzeczności nie zawsze musi być w ten sposób wyeliminowany. Wszystko to oczywiście nie oznacza, że w dłuższym odcinku czasu lepsze działanie jednego partnera w jakimś obszarze nie narusza interesów i stanu wpływów pozostałych partnerów. Takie sytuacje są raczej rzadkie. Zyski i straty w polityce powodują, że model 3 nie gwarantuje stabilności sił. W ramach tego modelu możliwe są i nieuchronne przesunięcia długofalowe. Cały zaś model może funkcjonować jedynie przy zachowaniu równowagi między sprzecznymi tendencjami do współpracy i do konkurencji.

### O politycznej równości

Podstawowa zasada równości partnerów ma istotne konsekwencje dla koncepcji "kierowniczej roli partii". Ważniejsza rola jednej siły społecznej w tworzeniu i realizowaniu wspólnego programu nie jest zgodna z systemem koalicyjnym. Przecież partnerzy są w pełni samodzielni, a ich działalność oparta jest na własnych koncepcjach filozoficznych i społecznych. Mają oni własne, szerokie i mocne bazy wpływów politycznych. Wejście do koalicji, przekazanie tych wpływów władzom państwowym swoiste "zainwestowanie w rząd" nie może być ze strony partnerów aktem uznania swojej drugorzędności i wyrażeniem zgody na wyjątkowe uprawnienia tylko jednej siły społecznej. Byłaby to autodeprecjacja własnej, społecznej bazy wpływów i własnej myśli programowej. Tak więc w uchwalonym przez sejm programie dla społeczeństwa idee i pomysły PZPR mogą znaleźć odzwierciedlenie o tyle, o ile zyskują akceptację ze strony pozostałych członków koalicji. W społeczeństwie te idee i pomysły winny szukać poparcia w normalnym procesie współzawodnicstwa z innymi propozycjami i. W obu przypadkach nie powinno być uprzywilejowania wyrażającego się w pierwszeństwie lub przewadze, które są zagwaran-

towne z góry i na zapas.

Przyznanie z góry jednemu z uczestników koalicji ważniejszej roli czyli pozostałych uczestników "pomocniczymi" partnerami, a to jest wzór stosunków wzięty z modelu dominacyjnego lub hegemonicznego. Przy stanie umysłów w kraju w latach 1980-81 i rzęczywałam układzie wpływów politycznych, który był niekorzystny dla partii, zaakceptowanie przez partnerów faktycznej, a nie pozornej "kierowniczej roli partii" było niemożliwe do osiągnięcia. Pozornosc natomiast byłaby ziarnem konfliktogennym.

Idea kierowniczej roli partii została całkowicie odbrazowiona przez 30 lat stosowania jej praktycznej wykładni. Wbrew słownym deklaracjom, nie oznaczała ona ani najtańszego odnajdywania przez partię dróg rozwoju gospodarczo-społecznego, ani systematycznego tworzenia sprawiedliwych stosunków społecznych, ani rozwijania demokracji. Była ona przede wszystkim praktykowana jako narzędzie ograniczania, jeśli nie eliminowania demokracji politycznej.

W koalicji równych partnerów niemożliwe jest zaakceptowanie takich przywilejów partii, które byłyby przejawem politycznej nierówności uczestników. Koalicyjny model stosunków wymaga pełnej równości między partnerami, a także swobody politycznej interakcji każdego partnera ze społeczeństwem. W związku z tym można by określić ten model mianem "demokracji dla partnerów" (a niekoniecznie pełnej demokracji politycznej).

Tak więc dla zrealizowania tego modelu jest niezbędna likwidacja politycznych przywilejów partii w zakresie: 1) procesu stanowienia prawa, 2) procesów decyzyjnych w gospodarce, 3) procesu zbierania, przetwarzania i udostępniania informacji, 4) procesu upowszechniania wartości ideowych.

Jeśli koalicja się uformuje, to w stanowieniu prawa będzie musiała być wyeliminowane narzucanie składu legislatury oraz narzucanie treści ustaw przez gremia partyjne. Proces stanowienia prawa jest dla polityki zasadniczy, ponieważ stwarza on ramy dla funkcjonowania wszystkich instytucji oraz procesów tworzenia programów rządowych. Proces ten nabiera szczególnego znaczenia w świetle nowej, przewidywanej roli sejmu oraz budowania całego systemu samorządów, w których procesy normotwórcze będą bardzo ważne.

W zakresie kierowania gospodarką niezbędne jest wyjęcie ogniw planowania i zarządzania oraz dyrekcji przedsiębiorstw spod dominującego wpływu organów partyjnych, tak w zakresie treści, jak i obsady stanowisk. Utrzymanie tzw. "nomenklatury" byłoby przejawem nierówności politycznej partnerów koalicji. Ewentualne pomysły, aby nomenklaturę rozpiszać na członków koalicji ani nie są praktyczne, ani nie zyskują szerszego poparcia. Niezbędna jest obsada stanowisk w gospodarce według kompetencji.

W dziedzinie informacji, zwłaszcza dotyczącej procesów gospodarczych i społecznych (choć także każdej innej) partia nie może arbitralnie określać programu zbierania, analizowania i udostępnienia danych. Nie do utrzymania są praktyki określenia przez władzę grono polityków, co jest informacją potrzebną, a co nie, komu potrzebna, komu nie. Pełna informacja jest potrzebna wszystkim przywódcom koalicji oraz szeregowym członkom. Oznacza to jawność informacji i swobodę badań. Zjawiska i procesy społeczne muszą być chwytywane w takich zakresach i przekrojach, aby mogły być sprawdzane różne hipotezy, propozycje praktyczne i koncepcje teoretyczne. Różne hipotezy i propozycje będą się bowiem pojawiać wśród sił społecznych składających się na koalicję. Nie obejdzie się więc bez swobodnego "uspolecznienia" GUS, oraz zagwarantowania swobody badań wszystkim plecówkom naukowym, tak rządowym jak i społecznym. Podobnie jak w przypadku obsady stanowisk w gospodarce, "demokracja dla partnerów" w zakresie informacji rozszerza się na demokrację dla wszystkich.

Niezmiernie ważna jest sprawa upowszechniania wartości. Jeśli poszczególne siły społeczne wnoszą do koalicji swoje zasadnicze wartości, a okreś-

lony ich zestaw zostaje uznany za godny realizacji, to nie może następować ich hierarchizowanie przez jedną siłę. Może najwyżej następować wspólne w koalencji ich pragmatycznie uszeregowanie lub grupowanie z punktu widzenia siłownia i kolejności realizacji w określonym odcinku czasu. Równe szanse w upowszechnianiu wartości są warunkiem zaufania i zgody wśród partnerów koalencji. Wypada tu powtórzyć to, co powiedziane było wcześniej: istnieje zgoda w sprawie wartości naczelnych, bo obejmują one rozwój społeczny, dobrobyt, demokrację, równość, wolność, autonomię jednostki, samorządność, sprawiedliwość, uspołecznienie.

Potrzebna tu jest jedna uwaga. Wszystkie wartości społeczne, głoszone przez różne siły społeczne w okresie 1980-81 nie były sprzeczne z socjalistyczną ideologią. Ich upowszechnianie nie stwarzało groźby dla podstaw ustroju socjalistycznego w jego najogólniejszych charakterystykach. Naruszało podstawy niedemokratycznej wersji socjalizmu.

I uwaga druga. Formującą się myśl społeczną Solidarności nie odwoływała się explicito do nazwy: "wartości socjalistyczne", ale programowe dążenia tego ruchu zawierały je implicito. Unikanie terminologii socjalizmu nie było trudne do wyjaśnienia. Stan psychologiczny mas był taki, że terminologia socjalizmu nie wywoływała pozytywnych skojarzeń. Kryzys został przecież przyniesiony przez forsowną realizację nieakceptowanej wersji socjalizmu.

Pełna równość partnerów koalencji w dostępie do środków upowszechniania wartości wymagałaby nowych rozwiązań instytucjonalnych. I rzeczywiście, niektóre z nowych rozwiązań uformowały się faktycznie, pod ciśnieniem rzeczywistości (np. niezależna prasa Solidarności). Niektóre rozwiązania stały się rozszerzoną (lub bardziej swobodną) kontynuacją bardzo dawnych odstępstw od monopolu partyjnego (prasa katolicka). Kością niezgody był w pewnym czasie problem bardzo ważny: dostęp Solidarności do telewizji, prewo do nieocenzonego przedstawiania tam swego stanowiska.

Wyrzuczenie się przez PZPR przywilejów w systemie władzy politycznej nie musiało wcale oznaczać rezygnacji z dążeń do szerokiego, politycznego i ideowego oddziaływania na społeczeństwo. W zakresie starań o kształtowanie opinii żadna z sił społecznych nie może zrezygnować z demokratycznie przysługujących jej uprawnień. Uzyskiwanie szerokiego wpływu politycznego - to byłaby jednak rola postulowana wobec siebie. Nie może to być rola przyznana z góry przez partnerów. W nowym ujęciu musi być rolą odmityfikowaną.

Jedną z przyczyn zaistniałego kryzysu, bodaj najgłębszą, był rozdźwięk między formalnie przyznaną partii jej "kierowniczą rolą" a brakiem społecznego zaufania i poparcia. Jeśli system polityczny koalencji ma być w szerokim sensie demokratyczny, to nie jest on w stanie wytrzymać na dłuższą metę rozdźwięku między rzeczywistością a jej obrazem formalnym, niezależnie od tego, kto i gdzie chciałby ten obraz przedstawić i podtrzymać.

Niektórzy skłonni są do formułowania twierdzenia, że kierownicza rola partii potrzebna jest u nas ze względu na międzynarodowe stosunki, w jakie uwikłany jest nasz kraj. Mówi się, że partyjne kadry winny zachować dominującą pozycję w kilku ministerstwach, które są kluczowe dla zachowania sojuszków z krajami socjalistycznymi. To stanowisko wydaje się powierzchowne, choć być może zawierające na pewien okres użyteczną wskazówkę. Jest ono powierzchowne dlatego, że koalicja tworzy politykę tak wewnętrzną, jak i zagraniczną, a tworząc ją - bierze za nią odpowiedzialność. Gwarantowanie sojuszków międzynarodowych nie może więc być specjalną domeną jednego partnera - ani jego przywilejem, ani wyłącznym obowiązkiem. Może tylko pozostawać w sferze większych lub mniejszych jego zainteresowań.

Podobnie zresztą jest ze sprawą społecznej własności środków produkcji. Ci, którzy twierdzą, że kierownicza rola partii jest potrzebna po to, aby zachować społeczną własność środków produkcji, zapominają o tym, że koalicja, jeśli się uformuje, musi określić swój stosunek do ustroju gospodarczego.

go i oddał ona w całości staje się jego "strażnikiem". Nie może jeden uczestnik być ani strażnikiem, ani gwarantem całego ustroju gospodarczo-społecznego.

Sprawa właściwego pojmowania współrzędzenia i współodpowiedzialności ma zasa nicze znaczenie dla uformowania się i funkcjonowania koalicji. Nie ma współrzędzenia bez współodpowiedzialności i vice versa. W związku z tym krytyce muszą być poddane dwa stanowiska, które w rozwiniętej formie nie zostały sformułowane, ale ich skrótowość ukrywa tendencje przeciwdziałające uformowaniu się koalicji.

W Solidarności mówilo się czasem, że chce ona kontrolować działania rządu bez wchodzenia do niego; że jakby z zewnątrz narzuci rządowi program działania i będzie patrzyła, czy dobrze jest on wykonywany. Jest to program faktycznego rządzenia bez brania odpowiedzialności za rezultaty.

W PZPR mówilo się, że aktywność i wpływ Solidarności trzeba ograniczyć do sfery spraw socjalno-produkcyjnych i w tych dziedzinach trzeba uczynić ją współodpowiedzialną z rządem za rezultaty. W tym stanowisku jakby "nie dostrzegano się", że w scentralizowanej gospodarce import surowców i rozdział półproduktów zależy wyłącznie od rządu, więc przestoje w zakładach z powodu braku materiałów są wyłącznie winą rządu. W systemie upaństwowionej gospodarki nie można partnera czynić współodpowiedzialnym za sprawy gospodarcze bez dopuszczenia go do współrzędzenia w skali politycznej. Takie sugestie można było nazwać programem uczyńnienia Solidarności współodpowiedzialną bez dopuszczenia jej do realnego wpływu na bieg spraw.

Obydwa stanowiska były groźne i wywierały wpływ blokujący drogę do koalicji.

Uchronienie życia społeczno-gospodarczego przed postępującą dezorganizacją jest niemożliwe bez porozumienia głównych sił społecznych. PZPR nie jest dostatecznie silna, aby sama, bez pomocy innych sił społecznych, zreorganizować życie w kraju - i zachować ciągłość przez wprowadzenie zasadniczych zmian. Koalicja jest szansą na osiągnięcie tego; być może decydującą, stworzenia w Polsce nowej odmiany socjalizmu.

#### Systemowe ograniczenia artykulacji

Model koalicyjny, przy bliższej jego analizie ujawnia nie tylko trudności swego funkcjonowania, ale też i systemowe ograniczenia. Dotyczy to także procesów artykulacji i konstytuowania się interesów. Model otwiera pole dla wyrażenia wielu interesów, ale równocześnie forsuje wspólnotę programu działania głównych partnerów koalicji; przez to drugie w pewnym stopniu włącza życie społeczne w ramy, które zostały przez koalicję określone. Rozważając problematykę konkurencyjności trzeba więc zauważyć, że ten model daje lepsze szanse współzawodnictwa dla sił społecznych już uformowanych niż dopiero formujących się, dla interesów już ukonstytuowanych niż dopiero konstytuujących się.

W każdym mo elu, nawet opozycyjnym, który jest najbardziej otwarty dla rozmaitych artykulacji, istnieje niebezpieczeństwo mniej lub bardziej intencjonalnej blokady interesów. Wstępują dyskryminacje niejawnione choć zupełnie realne, na przykład dyskryminacje relatywne. Takie względne krzywdy polegają na tym, że kategoria ludności A ma czegoś więcej niż kategoria B, a przy głębszym zastanowieniu się trudno ten stan uznać za potrzebny dla społeczeństwa ("funkcjonalny" dla całości) lub sprawiedliwy według przyjętych kanonów moralnych.

Należy założyć, że zawsze występują w życiu społecznym "obszary zaciemnione" lub "nieostre", nie poddane jeszcze dokładnej analizie rozpoznawczej, na których mieszczą się niejawnione jeszcze interesy (być może wyrażają się one dopiero w trakcie przemian struktury społecznej i systemu wra-

tości). Partnerzy koalicji lub ich sprzymierzeńcy mniejszej rangi mogą nie dostrzegać tych interesów. Przyczyny powodujące ten stan rzeczy mogą być rozmaite. W grę wchodzi historyczne ograniczenia percepcji ("zawsze tak było, że ta grupa ludności miała czegoś mniej"), ograniczony budżet czasu i ograniczona podzielność uwagi ludzi, którzy za artykulację w pewien sposób odpowiedzialni (zaabsorbowanie innymi sprawami, w tym realizacją innych interesów, które domagają się głośno zaspokojenia); wreszcie niebłaha powód: brak środków na zaspokojenie danych interesów (i tak nie jesteśmy w stanie tych potrzeb zaspokoić, więc nie podnośmy sprawy). Nie należy wykluczać nieumówionego, ale zgodnego milczenia partnerów koalicji, które mają podłoże w systemie kulturowym najszerszej pojętym.

Niebezpieczeństwo opóźnionej (lub nawet zahamowanej) artykulacji nie jest wykluczone w układzie koalicyjnym. W związku z tym należy zwrócić uwagę na trzy obszary zjawisk. Są to: 1) nierówna moc artykulacyjna poszczególnych grup ludności, 2) nierówna sprawność artykulacyjna głównych partnerów koalicji, 3) ograniczenia percepcyjne całej koalicji, które mają podłoże w systemie kulturowym najszerszej pojętym.

Pierwszy obszar jest niezmiernie ważny, gdyż na nim przebiegają procesy podstawowe; tutaj, można by powiedzieć, wszystko się zaczyna lub niknie w zarodku. Poszczególne kategorie ludności nie rozporządzają taką samą zdolnością artykulacji swoich różnorodnych interesów. Na przykład grupy o niskim poziomie wykształcenia mogą mieć słabe rozpoznanie specyficznych mechanizmów funkcjonowania gospodarki i jasno nie pojmować, jakie konkretne aspekty tych mechanizmów przynoszą aktualnie szczyłek ich interesom, a jakie zmiany przyniosłyby polepszenie ich sytuacji społecznej. W tych kategoriach ludności występować może jedynie odczucie krzywdy bez pojęciowego zdefiniowania i systemowego zlokalizowania przyczyn krzywdy.

Występowanie takich stanów daje się udokumentować naukowo. Niejednokrotnie przedstawiciele nauk społecznych, analizując rozkład dóbr i zinstytucjonalizowane stosunki społeczne, dostrzegają takie "niewyartykułowane społecznie" interesy. Ich obserwacje i konkluzje są pierwszym krokiem ku artykulacji, ale jeśli nie zostaną one podtrzymane i upowszechnione społecznie, to istnieją poniżej społecznego progu artykulacji. Dla wejścia na scenę życia publicznego - czyli przekroczenia progu artykulacji - potrzebne jest uczynienie ich jawnym problemem politycznym, a to może się stać albo przez zorganizowanie się samych zainteresowanych, albo przez roztoczenie opieki nad ich interesami przez jakąś już zorganizowaną siłą polityczną.

Drugi czynnik wpływający na ewentualne "przeoczenia" w procesie artykulacji - to nierówna moc artykulacyjna poszczególnych partnerów koalicji. Analizowany tu układ - przypomnijmy - polega na ustaleniu polityki rządu dla społeczeństwa przez kilku partnerów. Są oni mocni swymi wpływami politycznymi, ale to nie znaczy, że tak samo sprawni w artykulacji interesów, które chcą lub powinni reprezentować ("powinni" ze względu na poparcie, jakie już otrzymują od określonych grup ludności lub ze względu na trwałe zainteresowanie określonymi dziedzinami życia). Duże wpływy aktualnie posiadane mogą demobilizować w pracy nad ciągłą reartykulacją interesów lub przyjąć zaniechanie myślenia perspektywicznego, co oznacza pozbawienie się zdolności dostrzegania nowych, wytaniających się dopiero interesów.

Sprawność artykulacyjna uzależniona jest od różnych czynników; wraz z ilością społecznej przywódco, potencjału intelektualnego doradców, badawczego doświadczenia instytucji i zespołów technicznych, których zadaniem jest zbieranie informacji i analizowanie trendów rozwojowych, które leżą w sferze zainteresowań danej siły społecznej. Do tego wszystkiego należy dodać giętkość intelektualną średnich i wyższych kadr przywódczych. Ta giętkość jest istotną w ogólnej umiejętności artykulacji interesów, zwłaszcza zapewne nowych.



Jeśli występuje nierówna sprawność artykulacyjna między poszczególnymi siłami społecznymi, to przynosi to uszczerbek tym grupom i interesom, które mniej sprawna siła chce reprezentować. Może to mieć dalekosiężne konsekwencje - także dla jej przyszłych wpływów społecznych.

Najbardziej ukryte ograniczenia i hamulce artykulacyjne nakładane są przez przyjęty system wartości, którego program koalicji jest uszczegółowieniem i narzędziem realizacji. Ten system wartości ma swe źródła w historii i kulturze. Posiadając znaczną moc w wyrażaniu wielu interesów narodu, koalicja nie daje gwarancji przeciw historycznym przeoczeniom.

Trzeba więc mieć zawsze w pamięci, że na najwyższym szczeblu uwarunkowań ograniczających procesy artykulacyjne działa sposób widzenia rzeczywistości, typowy dla danego kręgu kulturowego i cywilizacyjnego. Co bywa pomyślane jako interes, a co nie; co jest postrzegane w ogóle jako prawnomocne dążenie, a co uznane za sberację umysłu - jest determinowane na tym najogólniejszym poziomie. Fazy rozwoju poszczególnych kręgów kulturowo-cywilizacyjnych także charakteryzują się zmianami w ogólnej percepcji świata: natury, jednostki, grupy, społeczeństwa. Takie zmiany - co łatwo jest prześledzić w historii naszego kręgu kulturowo-cywilizacyjnego - otwierają zazwyczaj drogę dla nieznanych, "niewyraźlnych" przedtem artykulacji.

Nie ma tu miejsca na rozwinięcie tematyki najogólniejszych uwarunkowań kulturowych, ale ich problematyka jest mniej abstrakcyjna niż się to wydaje na pierwszy rzut oka. Czy małe zainteresowanie licznymi aspektami relatywnej dyskryminacji oświatowo-kulturowej rolników lub dyskryminacji płacowej kobiet we współczesnym społeczeństwie polskim, a także słaba artykulacja ich specyficznych interesów nie ma swego podłoża w zasygnalizowanych tutaj uwarunkowaniach kulturowych, w tej specyficznej konfiguracji wartości i obyczajów, które wytworzone zostały w historycznym procesie i tylko częściowo ulegały zmianie? Czy ewentualna koalicja sił społecznych, obejmująca PZPR, Kościół, Solidarność, ZSL, Solidarność Wiejską - stanowić by mogła dostatecznie czuły i sprawny instrument artykulacji i realizowania nowych interesów?

Koalicja w Polsce, jeśliby powstała, miałaby bardziej palące problemy do rozwiązania niż te, które zasygnalizowałem w końcu tekstu. Jej podstawowym, jakże trudnym zadaniem, byłoby stworzenie i wcielenie programu zaspokojenia dobrze wyartykułowanych, licznych interesów. Zwrócenie uwagi na przyszłe procesy artykulacyjne i ewentualne ich ograniczenia wydało mi się potrzebne jako ostrzeżenie. Byłoby groźne dla samej koalicji, gdyby kiedykolwiek uznała swój program za niewymagający sukcesywnych zmian. Ze względu na brak ostrej konkurencji, takiej jaka jest typowa dla modelu 4, może zawsze programowi koalicji grozić skostnienie. Więc refleksja bardziej ogólna na temat konieczności ciągłego przewyżniania własnych ograniczeń wydała mi się na miejscu.

#### Post scriptum

Esej ten był pisany między majem i październikiem 1981 r. Wiele myśli w nim zawartych skryształizowało się już w roku 1980, lecz pewną trudność sprawiało mi sformułowanie, w kształcie definitywnym, dość istotnych dla całości tekstu ocen i propozycji zawartych w części "O politycznej równości". Dopiero po ich ostatecznym sformułowaniu doszedłem do wniosku, że całość tekstu jest "logiczna". W tekstach, które pojawiły się na temat koalicji w tygodnikach polskich w latach 1980-81, uważałem za niespójne dwa postulaty: jeden mówiący o koalicji "równych" partnerów, a drugi domagający się utrzymania kierowniczej roli partii. Gdy doszedłem do własnej konkluzji w tej sprawie, tekst swój uznałem za możliwy do zakończenia.

Jednakże, kiedy zbliżałem się do tego zakończenia, potęgowały się we mnie wątpliwości czy zasadnicza, konstruktywna myśl tego eseju - o potrzebie i warunkach utworzenia koalicji - nie jest przejawem politycznej ne-

iwności. Z miesiąca na miesiąc społeczeństwo radykalizowało się coraz bardziej, a kierownictwo Solidarności poddawało się tej radykalizacji, bo i w swym gronie miało sporo osób o takim nastawieniu. W partii idea o dzieleniu władzy przez wielu traktowana była jako slogan taktyczny obliczony na "prze-czekanie" naporu mas, a nie jako rzeczywisty program, przy czym zdecydowana większość aparatu odrzucała jakąkolwiek myśl o "modyfikacji" kierowniczej roli partii. Mimo pozorów poszukiwanie kompromisowego rozwiązania, dwa "obozы polityczne" faktycznie coraz bardziej oddalały się od siebie. Własne wątpliwości co do trafności idei koalicji pogłębiał w istotnym stopniu prosty fakt uzależnienia Polski od bloku, do którego należy oraz od generalnych założeń ideologicznych, na których wspiera się system polityczny "realnego socjalizmu".

Pomimo tych wątpliwości esej postanowiłem zakończyć i nie modyfikować jego zasadniczej myśli, zdając sobie sprawę z jego "nisiowości" lub braku realizmu. Bowiem wątpieniu ciągle przeciwstawiała się inna myśl zasadnicza, mianowicie ta, że w ówczesnej sytuacji tylko program "nierealistyczny" nosił znamiona propozycji pozytywnej. Wszelkie inne rozwiązania uznajem za negatywne, to znaczy gwarantujące powrót do tego, co było przed rokiem 1980, czyli starego systemu, bezpośrednio lub pośrednio, od razu lub stopniowo, przy użyciu takiej lub innej przemocy.

Ponieważ w polityce zdarzają się (bardzo rzadko, to prawda) rzeczy niezwykle, to praca nad znalezieniem rozwiązania "niezwykłego" była właściwie jedyną pozostawioną nam opcją, jeśli nie chciało się odmówić społeczeństwu do zrezygnowania z minimalnych - zdaniem przytaczającej większości - ambicji narodowych i społecznych. Tylko niepraktykowane dotąd w bloku aranżacja życia politycznego mogła uchronić kraj przed materialną ruiną i totalną psychologiczną depresją.

Włodzimierz Wesółowski

### Objaśnienia do diagramów

"partie" i organizacje społeczne, stowarzyszone, pomocnicze, nazywane też w tekście "pośrednie"

organizacje społeczne samodzielne

siły społeczne lub partie polityczne w procesie konstytuowania się

oddziaływanie bardzo mocne, jednokierunkowe i dwukierunkowe

oddziaływanie znaczące, jednokierunkowe i dwukierunkowe

oddziaływanie słabe lub niestate i niepewne, jednokierunkowe i dwukierunkowe

oddziaływanie znaczące w jednym kierunku, a niepewne co do rezultatu - w drugim kierunku

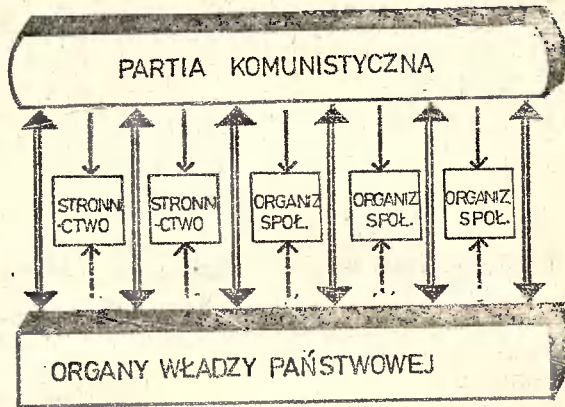
Uwagi: 1) Oddziaływanie w kole, zaznaczone      oznaczają równoległą interakcję wszystkich partnerów;

2) Strzałki wskazujące na Sejm i rząd oznaczają oddziaływanie na obydwie te organy władzy, niezależnie od tego, w którym miejscu

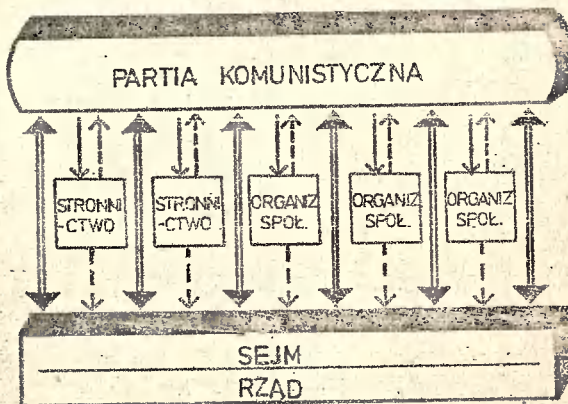
- strzałki te dotyczą prostokąta;
- 3) W układzie 4 brak strzałek między niektórymi uczestnikami systemu o "Sejmem i rządem" oznacza, że ci uczestnicy znajdują się aktualnie w opozycji;
  - 4) W układzie 3 różnorodność układu strzałek wskazuje różnorodność oddziaływań między "aktorami" systemu; układ strzałek (oddziaływań) w miejscu, w którym w koło wpisano "PZPR" lub "Solidarność" nie ma konkretnego znaczenia, jest tylko ilustracją różnorodności. Taką samą zasadę ilustracji zastosowano w układzie 4.

UKŁADY STOSUNKÓW POLITYCZNYCH

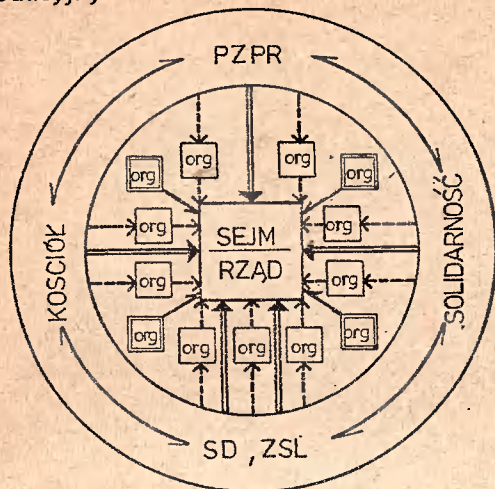
Układ 1 „dominacyjny”



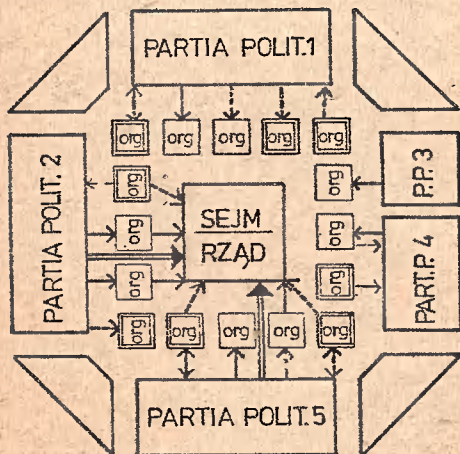
Układ 2 „hegemoniczny”



Układ 3. „koalicyjny”



Układ 4. „opozycyjny”



## Polska - Niemcy - Przyszłość

Wizyta Willi Brandta w Warszawie wywołała głośne echo i gorące spory, które prawdopodobnie przekraczają jej rzeczywiste znaczenie. Wywołała też sporo zamieszania i stała się przyczyną pojawienia się w prasie podziemnej wielu gorzkich uwag, wyrażających zdziwienie, a nawet oburzenie z powodu polityki SPD, która może niekiedy sprawiać wrażenie równie naiwnej, co Körtkowszrocznej, a nawet - jak sądzą niektórzy - niezbyt przybliżonej wobec uzasadnionych aspiracji narodu polskiego. Zachowanie się niektórych przedstawicieli SPD, jak Wischniewski, czy Vogel mogło bowiem istotnie nasuwać przypuszczenie, że żywią oni cieplejsze uczucia wobec partyjno-politycznej dyktatury w Polsce, niż wobec polskiego społeczeństwa. O ile jednak postawa SPD-owskich "aparaczyków" wzbudziła tylko zdziwienie i niechęć, o tyle niejasności kryjące się w postawie Willi Brandta wzbudziły uczucia głębsze: zaskoczenia i dość boleńego rozczarowania. Jest tak dlatego, że Brandt, człowiek nieustraszonej walki przeciw totalitaryzmowi, rzecznik pojednania między narodami, w tym również pojednania polsko-niemieckiego, autor przejmującego gestu dokonanego pod pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie - ten człowiek - w oczach Polaków stał się autorytetem. Człowiekiem szczerym i szanowanym, jednym z tych Niemców, których dokonania, mądrość i kultura pozwalają mieć nadzieję, że stosunki polsko-niemieckie mogą w przyszłości układać się na innej zasadzie i o wiele lepiej, niż to było w niedawnej przeszłości.

Tak więc ten rozczarowanie, jaki pojawił się w licznych polskich głosach jest zrozumiałe i nie może stanowić zaskoczenia. Jest on jednak dowodem, że kwestia niemieckiej "polityki wschodniej" i w ogóle stan spraw niemieckich oraz ich przyszłe perspektywy, a co za tym idzie, również sprawa naszego polskiego do nich stosunku - wszystko to jest obszarem, na którym niezależna polska myśl polityczna wciąż porusza się z trudem i nieraz niezręcznie. Wydaje się to wskazywać na brak głębokiego przemyślenia kwestii niemieckiej i zagadnienia polityki wschodniej RFN. Świadczy to również o braku umiejętności wyobrażenia sobie różnych wariantów możliwego przyszłego rozwoju sytuacji w Europie.

Jest to z pewnością dowodem słabości myśli politycznej polskich środowisk niezależnych. Dlatego prośba redakcji "21" przedstawienia pełnej dokumentacji związanej z wizytą Brandta w Warszawie (patrz numer 1 pisma - przyp. red.) wydaje się słuszna i pożyteczna. Zarazem jednak pożyteczne może być także przedstawienie garści spostrzeżeń, których celem jest zwrócenie uwagi na słabości, pojawiających się w prasie "drugiego obiegu", rozważań o

Od redakcji - tekst ten ukazał się miał w poprzednim numerze pisma. Zawnił "chochlik". Za przykry błąd przepraszamy autora i czytelników.

kwestii niemieckiej. A nawet coś więcej: zaproponowanie innego sposobu myślenia o tej sprawie, myślenia bardziej długofalowego, które w wielu punktach musi wejść w kolizję z utartym myśleniem obiegowym. Uważam, że nie należy tego unikać. Przeciwnie: sądzę, że obowiązkiem ludzi piszących w niezależnych czasopiśmiech jest łamanie utartych stereotypów, wskazywanie, że istnieje inne, nowe możliwości oceny i interpretacji zarówno obecnej rzeczywistości, jak i możliwego przyszłego rozwoju wydarzeń.

Polskie myślenie o sprawie niemieckiej i o tym, jaki może być przyszły rozwój wydarzeń w tej dziedzinie jest obciążony przeraźliwym ciężarem. Nie trzeba tłumaczyć z czego on się składa. Jest w tym i rola Prus w rozbiorach Polski (choć wina Rosji w rozbiorach była większa), i bismarckowski Kulturkampf, wóz Drzymały i dzieci z Wrześni, Hakkata i pruskie rugi. Przede wszystkim zaś jest w tym rok 1939, Wawer, Oświęcim, Palmiry, getta w polskich miastach, Majdanek i Treblinka, ruiny Warszawy z roku 1944. Głaz, który przytłacza polskie myślenie o sprawie niemieckiej jest wyjątkowo ciężki. Nic dziwnego, że stało się ono nieruchawe i pozbawione wyobraźni.

Wiedział o tym Stalin i wiedzą komuniści, zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie. Stalin nie dlatego był gorącym zwolennikiem wysunięcia polskiej linii granicznej jak najdalej na zachód, że tak sobie Polaków umiłował i chciał im wynagrodzić krzywdy. Jak bardzo kochał Polaków pokazał 23 sierpnia i 17 września 1939 roku, pokazał w łagrach dalekiej północy i w podsmoleńskim lesie na wiosnę roku 1940, później zaś pod Warszawą w roku 1944. Jeżeli więc wkrótce potem w Poczdamie, w roku 1945, bronił naszych interesów, to dlatego, że przesunął w ten sposób na zachód granice imperium radzieckiego; i również dlatego, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż strach przed Niemcami będzie odąd najskuteczniejszym i najtrwalszym narzędziem utrzymywania nad Polską radzieckiego panowania.

Nie pomylił się. Całe polskie myślenie o polityce jest dotąd sparaliżowane strachem przed jakąkolwiek zmianą w położeniu Niemiec. Polacy, świadomie lub podświadomie, czują się więźniami roku 1945. Sądzą, że układ jaki powstał w Europie w wyniku Jałty i Poczdamu, jest w gruncie rzeczy jedynym gwarantującym im jakie takie bezpieczeństwo. I to właśnie, obok otwartej przemocy, wciąż obecnej groźby interwencji - jest podstawą komunistycznego panowania w Polsce.

Propaganda komunistyczna od 40 lat stara się podtrzymać w Polakach przekonanie, że w RFN wciąż żywe są tendencje do rewanzu, że są one słabo maskowane, a w gruncie rzeczy wielka część Niemców myśli tak, jak panowie Hupka i Czaja, którzy głośno mówią to, co inni powtarzają po cichu: że żywe są tam nadal wspomnienia hitlerowskie. Owa propaganda stara się utrwalić irracjonalne przeświadczenie, że czas, jak gdyby się zatrzymał i czterdzieści jeden lat dzielących nas od roku 1945 nie miało większego znaczenia. Jednak po roku 1970, to znaczy od chwili podpisania układu między Polską a RFN, zadanie to stało się trudniejsze, a propaganda musiała sięgnąć po nieco subtelniejsze metody; ale nadal, gdy tylko władza w Polsce poczuje się zagrożona, natychmiast sięga po propagandę antyniemiecką.

To jednak wszelako tylko jedna strona medalu. Władza strasząc Polaków Niemcami próbuje też straszyć Niemców Polakami. Lansuje tezę (czyż to na przykład Rakowski w swojej wydanej w RFN książce), że Solidarność i wszystkie ugrupowania niezależne w Polsce stanowią niebezpieczeństwo dla pokoju w Europie. Polskie społeczeństwo (z wyjątkiem komunistów) składa się, zdaniem władzy, głównie z awanturników i szaleńców, którzy nie bacząc na układ sił, na geopolitykę i pojałtańskie realia usiłują zakłócić porządek europejski, naruszyć równowagę, na której opiera się pokój europejski, sprokować wielkie nieszczęścia dla siebie i sąsiadów. Trzymajcie się od Polaków z daleka - powiada polska władza - bo to są głupcy i najgroźniejsi wrogowie pokoju i współpracy w Europie. Tylko Rakowski, Passent, Urban, czy Wojna są prawdziwymi rzecznikami odprężenia na naszym kontynencie.

Straszenie Polaków Niemcami powoli, w miarę upływu lat i pojawienia się młodych pokoleń, traci poprzeczną skuteczność, choć nadal zyskuje postać wśród ludzi starszych. Trwające od kilkunastu lat kontakty osobiste, duża liczba wyjazdów emigracyjnych, a wreszcie humanitarna pomoc, z jaką Niemcy z RFN pospieszyli Polakom po 13 grudnia 1981 r. - w poważnym stopniu osłabiły oddziaływanie tej propagandy. Natomiast straszenie Niemców Polakami, w wielu przypadkach, okazuje się dość skuteczne.

Spróbujmy dokonać niezbędnego w każdym myśleniu politycznym eksperyment - spróbujmy spojrzeć na sytuację polityczną oczami drugiej strony, to znaczy Niemców. Dla Niemców centralną kwestią narodową jest sprawa jedności. Oczywiście nie jest to jedyna sprawa, bo równie dla nich ważne jest zachowanie niezależności, pomyślności gospodarczej (która wynika z ich przyależności do Zachodu) oraz bezpieczeństwa. W tych sprawach poglądy wszystkich głównych sił politycznych w RFN są zbliżone. Może ktoś powiedzieć, że Zieloni, a także część SPD, wyrażają się o tych sprawach inaczej, ale Zieloni są, mimo wszystko, zjawiskiem marginalnym, którego trwałość jest wątpliwa. Główny zaś kandydat SPD na stanowisko kanclerza w przypadku przejęcia władzy przez tę partię - Johannes Rau, wypowiedział się ostatnio jasno i zdecydowanie: RFN pozostanie w NATO i pozostanie też lojalnym partnerem Zachodu. W dłuższej perspektywie centralnym zagadnieniem jest jednak kwestia jedności. Tej sprawie służy zapoczątkowana przed 17 laty przez Brandta, a kontynuowana przez CDU cierpliwa, wytrwała, nie zrażająca się przeciśłowymi trudnościami niemiecka polityka wschodnią. Polega ona na upartym dążeniu do obniżania barier pomiędzy obu państwami niemieckimi, do mnożenia kontaktów, do ułatwiania życia obywatelom po obu stronach granicy, do zacieśniania współpracy gospodarczej i wymiany kulturalnej. Konksekwencją, z jaką RFN postępuje, jest w tej mierze godna podziwu. Celem tej polityki jest przeciwdziałanie dążeniu proklamowanemu przed laty przez NRD: ograniczenia, przecięcia więzów, utrwalenia podziaku. I trzeba powiedzieć, że właśnie przez swą konsekwencję, cierpliwość, wykorzystanie wszelkich nadarzających się okazji RFN osiągnęła bardzo poważne sukcesy. Stało się to możliwe, ponieważ opiera ona tę swoją cierpliwą politykę na swej niezaprzeczalnej wyśzości: gospodarczej, kulturalnej i politycznej, a także na swej przewadze w perspektywach dalszego rozwoju. Polityka wschodnia opiera się więc na potężnych realiach i stąd jej długofalowa skuteczność.

Obecnie Niemcy z zainteresowaniem przyglądają się zmianom zachodzącym w obozie wschodnim. Oni też podobnie jak wszyscy, nie wiedzą, co przyniesie era Gorbaczowa - i czy w ogóle coś przyniesie. Wiedzą natomiast, że u steru w ZSRR nastąpiła dreszczycna zmiana pokolenia, przeprowadzona bardzo szybko i przy użyciu metod, które - jak się wydaje - przysługują na gwałtowności. Wiedzą też, że choć polityka sowlecka jest nacogół bardzo trwała i wciąż zmierza do tych samych celów, to jednak tym razem zmiana pokolenia jest doprawdy głęboka, a problem zacofania ZSRR w rozwoju i barier nie drodze jego dalszego rozwoju staje się coraz ostrzejszy. ZSRR stoi więc w obliczu zasadniczych decyzji. Jeżeli je podejmie, to dla Niemiec i całej Europy mogą się otworzyć nowe możliwości. Jeżeli się przed nimi cofnie - wtedy proces stabilizacji tego państwa znacznie przybiegnie na tempie.

Co z tego wszystkiego wyniknie? Nikt tego nie wie. Może przez dłuższy czas nic, a wtedy sprawa niemiecka pozostanie w tym punkcie, w którym znajduje się teraz. Niemcy nie chcą jednak popsuć tego stanu rzeczy, nie chcą narazić na szwank dotychczasowych wyników swej polityki wschodniej. Lecz może jednak ujawnią się jakieś nowe możliwości? W tym drugim przypadku żaden Niemiec nie chciałby z góry zaprzepaścić lub utracić takiej szansy.

W Niemczech Zachodnich jest dużo ludzi, którzy rozumieją, że postęp w kwestii przyszłości Niemiec nie da się osiągnąć bez zgody Moskwy. Taka zgoda nie będzie oczywiście wynikiem nagłego przypiływu dobrej woli, pojednawczości i umiowania pokoju ze strony ZSRR. Może natomiast kiedyś być osiągnięta jako rezultat szerszych konieczności i potrzeby głębokiej zmia-



ny kursu. Na przykład wtedy, gdy nie mogą się uporać z problemami wewnętrznymi, z pogłębiającą się niewydolnością gospodarki, z rosnącą apatią społeczeństwa, z nieumocnieniem dotrzymania kroku amerykańskim postępem naukowym, technicznym, zbrojeniowym, a także wobec zagrożenia wynikającego z postępowym rywalkiem na Dalekim Wschodzie, Moskwa zdecydowała się dokonać głębokiej i rewolucyjnej zmiany polityki zagranicznej. Ta chwila może nie być wcale taką odległą, a powyższe kalkulacja - choć dziś sprawia wrażenie dość utopijne - wspiera się jednak nie na fantazjach, lecz na trzeźwej ocenie powszechnie już dziś znanych twardych faktów, których Moskwa jak dotąd nie udaje się przeszkodzić.

Otóż ci ludzie w Niemczech, którzy to rozumieją, a jest ich wielu w obu partiach, mogą być poddani na wspomniany argument władz PRL. Mogą się zastanawiać, czy zbytne manifestowanie sympatii dla Solidarności i ogólnie mówiąc - dla strony społecznej w Polsce, nie będzie raczej działało na rzecz oddalenia tej perspektywy. Czy nie jest zatem, z punktu widzenia Niemiec i Europy, niebezpieczne, a nawet szkodliwe? Czy nie umocni w Moskwie tendencji do uznanie wszelkich zmian za niemożliwe i niedopuszczalne? Czy nie odsunie mogących się zmaterializować zmian w daleką i nieznana przyszłość?

RFN jest jedynym krajem zachodnioeuropejskim, dla którego zmiany zachodzące w Moskwie, i ewentualnie mogące się tam zarysować nowe możliwości, mają najbardziej żywo i znacząco. Nie jest tak ani dla Francji, ani dla Wielkiej Brytanii, ani dla Włoch. Również zainteresowania amerykańskie tą sprawą, choć duże, nie da się porównać z niemieckimi. Ze wszystkich narodów zachodnich jedynie w przypadku Niemców dalsze losy ich centralnego zagadnienia ośrodkowego zależą przede wszystkim od rozwoju wydarzeń na Kremlu. Stąd niezwykle ostrożność ich polityki zagranicznej.

Argumentacja zaprezentowana przez Rakowskiego (a także innych publicystów rządowych piszących czasem w prasie RFN) jest fałszywa. Solidarność nigdy nie wypowiedziała się na rzecz ewentualstwa i burzenia porządku europejskiego. Przeciwnie: z niezwykłą konsekwencją wypowiedziała się przeciw przemocy. Ale w odpowiedzi na to może paść argument ze strony niemieckiej, że nieważne jest naprawdę było, ważne, co myślał Rosjanie. Trzeba więc zwrócić uwagę, że żaden ucisk lekceważący aspiracje czterdziestomilionowego narodu w centrum Europy nie wróży stabilizacji i spokoju. Przyszłość Europy z pewnością wymagać będzie rozwiązania problemu niemieckiego, albowiem podział, który tam istnieje i został narzucony siłą, jest sztuczny i nie będzie trwały. Ale kiedy nadejdzie chwila rozwiązania tego problemu, wtedy przed Niemcami, Polakami i wszystkimi Europejczykami stanie też zagadnienie stosunków polsko-niemieckich. A ponieważ minęły czasy, kiedy wielkie problemy europejskie można było rozwiązywać przemocą (co zresztą i tak rzadko bywało skutecznym i trwałe), przeto pojednanie polsko-niemieckie stanie się wówczas koniecznością historyczną, podobnie jak w ostatnim trzydziestu latach stało się nią pojednanie francusko-niemieckie. Dlatego ludzie kształtujący politykę RFN nie powinni zapominać, że kwestia stosunków między Niemcami a Polakami nie może zostać sprowadzona tylko do stosunków rządu i partii w RFN z ekipą generała Jaruzelskiego. Powinni o tym pamiętać, by nie popełnić tak żalosnych błędów, jakie niektóre rządy zachodnioeuropejskie popełniły w stosunkach z ekipą Gierka. Albowiem, wbrew pozorom, te "mocne ekipy" są w rzeczywistości słabe. Nie dysponują podstawowym czynnikiem, zapewneającym rządowi naprawdę silną i bezpieczną pozycję: zeuleniem większości narodu. Stąd wciąż się powtarzające polskie kryzysy. Parafrazując to, co powiedział Stalin o Niemczech, można rzecz ująć tak: ekipy przychodzą i odchodzą, a naród polski pozostanie. I właśnie z narodem polskim będą mieli Niemcy do czynienia w przyszłości; on pozostanie i pozostanie też zagadnieniem przyszłości Europy, pozostanie i nacił się coraz oczywistsza konieczność głębokiej przemiany wzajemnego nastawienia dwóch najlicniejszych narodów zamieszkujących region centralny Europy. Bez takiej przemiany lepsza przyszłość europejska nie będzie możliwa.

Aby jednak stało się ona możliwa, potrzebne jest zaangażowanie w tym dziele obu stron. Wkład niemiecki musi polegać na budowie i umocnieniu trwałego przekonania wśród Polaków, że nowe Niemcy są Niemcami pokojowymi, które wyrzekają się przemocy, nie dążą do zmiany swej sytuacji siłą, nie kwestionują polskich granic, natomiast przyszłość Europy upatrują w przyjaznej współpracy - takiej samej, jaka łączy dziś narody EWG. Aby umocnić takie przekonanie Niemcy nie mogą ani na chwilę dopuścić do powstania wrażenia, że lekceważą oni i ignorują istnienie i aspiracje narodu polskiego, szukając kontaktu jedynie z władzami w Warszawie. Muszą uświadomić sobie, że porozumienie z Polakami, to sprawa niezmiernie dziś złożona i delikatna.

Świat dobrze pamięta wczorajszą niemiecką arogancję i przeświadczenie, że Niemcy są lepsi i cenniejsi, niż wszystko, co ich otacza. Niemcy otrzymali od historii bolesną i chyba rozstrzygającą lekcję. Ale świat nie zawierzy im na słowo. Upiory przeszłości znikną tylko w gruntownie przekształconej Europie, w której Niemcy będą partnerem o równych prawach. Nie większych od innych (jak tego kiedyś sami chcieli) i nie mniejszych (jak tego chciano bezpośrednio po przegranej przez nich wojnie). Niezbędnym warunkiem powstania takiej Europy jest pojednanie polsko-niemieckie, wzajemne uznanie swych praw i wspólnego, nadrzędnego interesu europejskiego. Bez tego taka nowa Europa nigdy nie powstanie, powtarzać się mogą tylko dawne katastrofy.

A jaki powinien być wkład Polaków? Powinien on polegać przede wszystkim na przełamaniu stereotypów myślowych, które przyczyniają się do utrzymywania sprawy polskiej wewnątrz błędnego koła. Zacząć trzeba od tego, że gdy myślimy o kwestii niemieckiej i próbujemy ocenić politykę prowadzoną przez Niemców, powinniśmy jasno zdawać sobie sprawę, jak głębokie i dalekosiężne motywacje tą polityką kierują. Wiedząc to, powinniśmy umieć spojrzeć na tą politykę chłodno i trzeźwo, bez ulegania zastarzałym odruchom wywodzącym się ze wspomnień dawnych koszmarów. Ujrzymy wówczas, że sprawa przedstawia się tak: jeżeli my Polacy upatrujemy w każdej zmianie sytuacji niemieckiej i sytuacji Europy śmiertelne zagrożenie - wtedy okazujemy się ofiarami propagandy, której główna racja istnienia polega na tym, by wciąż udowodniać, że dla Polski nie ma innej przyszłości poza PRL-owską.

Następnym krokiem powinno być wyrobienie sobie umiejętności widzenia dalekowszocznego, umiejętności dostrzeżenia i wyobrażenia sobie różnorodnych wariantów przyszłego rozwoju wydarzeń. Poważne i skuteczne myślenie polityczne nie może polegać na odmowie przewidywania zmian, jakie może przynieść przyszłość, na upatrywaniu w nich wyłącznie zagrożenia, na rezygnacji z dostrzegania możliwych szans i korzyści. Jesteśmy wszak zainteresowani w zmianie sytuacji europejskiej; w obniżeniu napięcia, w rozluźnieniu barier, we współpracy. Polska może na tym tylko skorzystać; natomiast na utrzymywaniu się napięcia i wrogości - może tylko stracić. Musimy więc być również zainteresowani tym, aby Niemcom udało się osiągnąć postępy w sprawach wewnątrzniemieckich. Postępy osiągnięte drogą pokojowych rokowań. Wszystko bowiem, co prowadzi do powstania pokojowej Europy, która przewycięży podział na bloki, leży w naszym interesie. Lecz trzeba sobie uświadomić płynące z tego implikacje: nie można być jednocześnie za zbliżeniem międzyeuropejskim i przeciw przyszłej możliwości zjednoczenia Niemiec, a więc powstania Europy w nowym kształcie, którego z. j. sy przeczował - może zbyt wcześnie - de Gaulle. Trzeba natomiast wyobrazić sobie nasze w tym miejsce.

Warunkiem takiego przyszłego rozwoju jest pojednanie polsko-niemieckie. Praca nad nim musi poprzedzić przyszłe wydarzenia, które mogą zacząć się przyoblekać w ciało może za kilka lat, a może za kilkadziesiąt. Początek temu dał list polskich biskupów i pamiętna wizyta Willi Brandta w Warszawie w 1970. Uczelwioś nakazuje przyznać, że mimo swych tchub i błędów przyczynił się do tego również Władysław Gomułka.

Chodzi o to, abyśmy spojrzeli na sprawę po nowemu. I o to również, a-

byśmy umieli sobie wyobrazić, że gdy Willi Brandt, Genscher czy Kohl rozwijają swoją politykę wschodnią, gdy dążą do złagodzenia napięć, obniżenia barier, zacieśnienia współpracy, otwierania nowych możliwości, to ich działalność leży zarówno w interesie Niemiec, jak i w naszym, długofalowym interesie, który jest interesem polskim i europejskim zarazem. Powinniśmy umieć dojrzeć w tym korzyści, a nie tylko dopatrywać się zagrożeń. Największym dla nas zagrożeniem jest pozostanie wszystkiego bez zmiany: wraz z Jaltą, z polami minowymi nad Łabą, z raketami nuklearnymi pod płotem, z żelazną kurtyną, z więzieniami dla ludzi i dla idei.

Nie chcemy zakłócać pokoju. Ale chcemy nowej Europy - choćby przyszło długo na to czekać.

Karol Grodkowski

# MOC

z księdzem kardynałem HENRYKIEM GULBINOWICZEM

rozmawia JANUSZ JANKOWIAK

- W alfabetycznym spisie miejscowości atlasu samochodowego Polski na rok 1939/40 nie znalazłem miejscowości rodzinnej księdza kardynała - Szukiszek.

- Nic dziwnego. Szukiszki, to folwark ziemski.

- Jakie były, jak wyglądały?

- Szukiszki leżały nieopodal traktu napoleońskiego z roku 1812. Miejscowość usadowiła się na skraju tak zwanego Wyżu Święciańskiego; teren więc pofalowany, dużo lasów sosnowych, ziemia różnorodna w swojej wartości, mówiąc współczesnym sposobem klasyfikacji - druga, trzecia klasa, ale najwięcej czwartej i piątej, a więc dosyć uboga.

- A ludzie?

- W pobliżu przeważnie zaścianki szlacheckie. W Szukiszkach mieszkali w zasadzie tylko dwie rodziny. O liczbie hektarów nie będziemy mówić, ponieważ to dziś ani modne, ani nikogo nie ciekawi.

- Porozmawiajmy więc jeszcze chwilę o rodzinnym gnieździe, nie mówiąc o hektarsach.

- Mieszkańcy tych okolic nabyli swoje majątki ziemskie od znanej w tamtych punktach Wileńszczyzny rodziny - Łazarewiczów. Klucz majątków, czy folwarków, składał się z kilkunastu posiadłości. Moja rodzina wywodzi się z miejscowości leżącej nad bardzo pięknym urwiskiem Willi - z Williciec. Tam właśnie znajduje się bród, przez który przechodził w 1812 r. Napoleon. Jak mówi nasza rodzinna historia, Napoleon zatrzymał się u mojego pradziadka i ten, będąc kilkunastoletnim chłopcem, podawał mu jakiś chłodzący napój. Działo się to w altanie, którą później wielokrotnie oglądałem, altanie obsadzonej pięknymi lipami, dejącymi nawet w największy skwar ożywczy chłód. Pradziadek zmarł mając 107 lat, a tę historię opowiadał mi wielokrotnie z dumą mój dziadek Józef. Polacy mieli przecież w stosunku do Napoleona wielkie nadzieje.

- Czy postać Napoleona jest Eminencji szczególnie bliska?

- Myślę, że nie. Napoleon był hajdamaką hulającym po Europie, dopóki szczęście nie odwróciło się od niego. Historia zna wielu podobnych. Wszelkie zaborcze instynkty wśród wodzów - lub całych narodów - muszą kończyć się klęską. Ale w spadku po nich pozostają często nie tylko wspomnienia weteranów, pozostają i nowe granice. Osobiście jestem przekonany, że granice są przesuwane zawsze na długo, nie zmienia się ich na miesiąc czy lata, ale na dziesiątki, czasem setki lat. Często czyni się tak wbrew woli narodu. A poczucie przynależności do jakiegoś obszaru państwowego tkwi głęboko w świadomości całych pólceń. Świadomość taka, to coś więcej niż wyznaczone na mapie lub zawłaszczone granice.

- Teren, na którym osiadła rodzina księdza kardynała dostarczał dowodu na trwanie takiej świadomości.

- To prawda. Są tam ślady powstania 1831 roku w postaci cmentarzyska powstańców. Legenda głosi, że oddział został zdradzony przez jednego z chłopów i wycięty w pień przez carskich kozaków. W Powstaniu Styczniowym walczyli na tych terenach kolejne oddziały, a w jednym z nich, jako kilkunastoletni chłopiec, wspomniany już mój dziad Józef. Pierwsza wojna pobrała stąd także swoją daninę. A i później nie było spokojnie. W roku 1920 zginął mój stryj - Ignacy - miał niespełna 20 lat. Sześćdziesięcioletni okres okupacji niemieckiej, rosyjskiej, litewskiej, niemieckiej i znów rosyjskiej, 1939-1944, a więc w czasie drugiej wojny światowej, był na tych terenach ciągłym pasmem działalności partyzanckiej. Wśród nich liczyły się trzy partyzantki: silna - polska, generała Wilka, słaba - litewska, i bardzo silna - sowiecka. Z każdą z nich "ludność cywilna" musiała nauczyć się współżyć.

- Burzliwa historia nie może pozostać bez wpływu na ludzi.

- Ludzie w tych burzliwych czasach trwali wierni swoim tradycjom Bronili odważnie tego, co uważali za swoją własność. Potrafili bronić przekonań i własności, choć nieraz odbierali za to nieliche cięgi.

- Dotyczyło to chyba nie tylko ludności polskiej?

- Myślę, że każdej z narodowości na tych terenach. Z tym, że ja mieszkając wśród ludzi mówiących piękną polszczyzną, kultywujących tradycje polskości i uważających się za Polaków czystej krwi.

- Jak określiłyby Eminencja te cechy charakteru, która zawdzięcza tradycji rodzinnej?

- Byliśmy wychowywani w surowych zasadach moralnych, uczeni szacunku dla starszych, tolerancji wobec odmiennych przekonań, również religijnych. Ambicja nasza cierpiała często z powodu odbierania kar, na które zasługiwaliśmy. Za najbardziej przykre uważaliśmy klęczenie i całowanie w rękę. Obydwoch nie cierpiełem - choć takie ćwiczenia dobrze wpływały na cierpliwość, wyrozumiałość i wyrabiały pokorę. Rośliśmy w rodzinnej tradycji przywiązania do ziemi i kultu przodków.

- Jak ksiądz kardynał trafił do wileńskiego Seminarium Duchownego?

- Po wyzwoleniu Wilna przez Armię Krajową i oddziały radzieckie, w lipcu 1944, czasy nie należały do najspokojniejszych. Do Seminarium wstąpiłem w październiku 1944. Nie chciano mnie początkowo przyjąć, bo nie miałem odpowiedniego wieku kanonicznego. Ale wileńskie Seminarium miało wtedy to do siebie, że przyjmowało niemal wszystkich. W ten sposób sporo polskiej i katolickiej młodzieży uchroniło się od wielu niespodzianek życiowych. Często wiedziliśmy, że niektórzy koledzy nie zamierzają zostać kapłanami, a chcą przeczekać niespokojne czasy. Stąd też pierwszy rok stanowiła niesamowita mozaikę, od młodzików do super ad uti. Było nas, na wszystkich latach, tylko 60 uczniów: 45 Polaków i 15 Litwinów. Żyliśmy bardzo zgodnie i, odpowiednio do czasów, barwnie. Zdarzały się przedziwne historie. Kiedyś, na przykład, przychodził do mnie kolega, nazywał się Maj, wyjmując dwa pistolety i mówił: przechowaj, bo jedę do rodziców. Wiedziliśmy, że do Seminarium przyszedł prosto z oddziału.

- Dziwne Seminarium.

- Piękne, proszę pana. Kościół zawsze daje schronienie potrzebującym. W wileńskim Seminarium, w tym czasie, nie pytano: jak długo będziesz, po co przychodzisz? Potrafiono przewidziwie ocenić rzeczywistość za murami i dawano bezinteresownie chleb, dach nad głową i wiedzę, która zawsze się przyda oraz względne poczucie bezpieczeństwa.

- Eminencji również nie pytano, dlaczego przychodzi?

- To wyglądało tak. Przyjmował mnie rektor, ksiądz prałat Uszyńko. Potężny mężczyzna, dwumetrowy, otyły, swoją posturą kojarzył się nam, skorym do psoty, z wielkim ogórkiem. Uroczy kapłan, który wychował czterdzieści ro-

czników kapłańskich. Przeszedłem do niego w mundurku harcberskim, który nosiłem po to, żeby wyglądać jeszcze młodziej. Popatrzył na mnie z wysokości swoich dwóch metrów i zapytał: - O, mianowicie, a czego ty chcesz? - Chciałbym - mówię - prosić księdza rektora o przyjęcie do Seminarium Duchownego. - Ciebie? - zdziwił się rektor. - O, mianowicie, przecież ty w krótkich majtkach chodzisz.

- Wtedy nie pytano księdza kardynała, dlaczego? A gdybym dziś zapytał o powód, dla którego Eminencja znalazł się w Seminarium? Co zdecydowało: powołanie, czy też trochę chęć przechowania się w niepewnych czasach?

- Wyznają taką zasadę: Bóg, dając powołanie kapłańskie, Duch Święty, kreśląc je w psychice, to znaczy osobowości, młodego człowieka, dostosowuje pragnienia do "pojemności osoby". Poszedłem do Seminarium, ponieważ interesowało mnie służba kapłańska, czemu nie przeszkadzało to, że kiedyś bardzo chciałem być artystą na scenie. Dalej - liturgia zawsze fascynowała mnie swoją tajemnicą. Miałem też kolegę, kleryka, który imponował mi, kiedy chodził w sutannie. Tak więc różne okoliczności, mniej i bardziej istotne, złożyły się na tę decyzję. Byłem chyba za młodo, żeby naprawdę lękać się niepewnych czasów. Reasumując, do Seminarium wstąpiłem świadomie, na tyle, na ile pozwalał na to mój wiek.

- W Seminarium w Wilnie nie pobytł ksiądz kardynał zbyt długo...

- Aresztowano nas 20 lutego 1945 roku.

- Całe Seminarium, łącznie z wykładowcami?

- Niektórym udało się uciec po linie z piętrowej. Nas pozostawili zamkniętym w jednej sali i kazano czekać. Czekaliśmy. Był z nami, między innymi, ksiądz Sopoćko i wielu innych profesorów. Modliliśmy się, bo nikt nie wiedział, jaki będzie finał.

- Pomogło?

- Tak, bo w końcu nas zwolniono. Powiedziano, że w Republice Litewskiej może być tylko jedno Seminarium Duchowne; ponieważ jest w Kownie, więc albo do Kowna, albo - wyjeżdżając do Polski, Władze Seminarium rozesłały nas do poszczególnych księży proboszczów, bo trzeba było starać się o dokumenty repatriacyjne. Na przesiedlenie trzeba było czekać, występować długie godziny w odpowiednich urzędach, po odpowiednio dokumenty, pozwolenia. Pamiętam, że w kolejce po decydujący dokument miałem z sąsiada pana profesora Oko, znanego wykładowcę Uniwersytetu Stefana Batorego.

- A rodzina Eminencji?

- Matka, ojciec i siostra zostali jeszcze na Wileńszczyźnie. Rodzice wahałi się. Sporo wtedy, na początku przesiedlania, było jeszcze tych wahających się: czy warto, czy wolno pozostawić ziemię rodzinną.

- Zimą roku 1945 pociąg z profesorami Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki, Akademii Weterynarii jechał ze Lwowa do Krakowa "stosunkowo niedługo, bo trzy dni" - jak pisało wówczas prasa. Ale bywało inaczej. Na przykład 6 grudnia 1945 r. w Bieżanowie stały cztery pociągi, około 1600 ludzi, z okolic Lwowa, Brodów, Tamopola, Kopczyńsk, Czortkowa. Ich droga wyglądała tak: dwa miesiące oczekiwania na załadunek, dwa tygodnie podróży. Dziennie kierowano do ambulatorium około 100 chorych. Panowała czerwonka. Tego samego dnia w innym transporcie, stojącym na stacji Podłęże, na skutek mrozu zmarło sześćdziesięć dzieci. Jak wyglądała droga alumnów wileńskiego Seminarium Duchownego przez nową granicę?

- Lepiej niż droga przesiedleńców, o których pan wspominał. Jechaliśmy latem, w sierpniu 1945 roku, i jechaliśmy bliżej - do Białegostoku. Warunki przesiedlenia mieliśmy niezłe. Wieziono nas wagonami towarowymi, ale dobytek można było zabrać ze sobą i nie został on zrabowany po drodze. Nie było rewizji, dlatego udało mi się przewieźć cenne szaty i naczynia liturgi-

czne jednego z zakonów. Jechałem w jednym wagonie z profesorem muzyki i śpiewu liturgicznego, śp. ks. Władysławem Rusznickim, który wioził swojego starszeńkiego i schorowanego ojca. Wyładowano nas na dworcze tworowym w Dziatymstoku. Szliśmy na drugi koniec zburzonego miasta, do dzielnicy Skorupy, na ulicę Stonimską 8, gdzie w dawnym zakładzie Eraci św. Józefa pomieścilo się wileńskie Seminarium. Przyjechałem tym samym transportem, co arcybiskup Jędrzykowski. Z nim przeniosły się do Białegostoku z Wilna - oprócz Seminarium - Kuria, Kapituła i Papieski Wydział Teologiczny. Miałem miesiąc wakacji, miesiąc, bo od października zaczął się nowy rok akademicki. Koledzy, którzy wstąpili do Seminarium w Wilnie, rozproszyli się. Było nas, w roku 1945, na pierwszym roku, razem z zakonnymi klerykami - 37, a tutaj wyświęconych zostało w roku 1950 - sześciu. Niektórzy przeszli do innych seminariów, na przykład do Łodzi, inni do zgromadzeń zakonnych, a niektórzy poszli w świat.

- Jakże były pierwsze wrażenia Eminencji z Białegostoku?

- Miasto wydawało mi się strasznie długie, brzydkie, zniszczone, nie mające żadnego z tych wspaniałych walorów architektonicznych jakie miało Wilno. Zresztą Wilno śniło mi się każdej nocy, śnili się rodzice, rodzinne strony, nasze mieszkanie na Popławskiej, Wilenka, Góra Trzech Krzyży, Góra Zawalna, Katedra, śniło się to wszystko...

- A dzisiaj?

- Dzisiaj już nie tak często, ale zdarza się.

- Jest Eminencja duszpasterzem diecezji niezwyklej. Witold Wirpsza tak pisał na temat "ducha" Wrocławia. "Cóż więc przeniosło się w roku 1945 ze Lwowa do Wrocławia? Krajobraz stepowy, "burzanów morze", które niespodzianie zakotyssało się, czy zakipieło na łagodnych stokach Zielonego Śląska czy w poszarpanych ruinach zmiażdżonego Wrocławia? Czy też może raczej przeniosła się ze Wschodu na Zachód dwuwiersz rozpoczynający długi i zawły poemat o Maurycym Beniowskim, którego postać jest i historyczna, i wytworem mitologicznym z zarzewiem: "Ze panowania króla Stanisława, mieszkał ubogi szlachcic na Podolu".

- Moje wizja nie dórówna z pewnością wizji artysty, jakim był śp. Wirpsza. Ale chciałbym powiedzieć jedno: na Zachód, ze wszystkich terenów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, trzeba myśleć nie tylko o Lwowie, diecezji Luci Oriensis - Luck, Pińsk, Wilno, ale także i o terenach bliźszych, Centralnej Polski, szli ludzie rozmaici. Większość jednak była ukształtowana na pograniczu wielu kultur Kresów Wschodnich. Byli to ludzie odważni, przedsiębiorczy, zaradni. Te trzy cechy, plus doświadczone przeżycia, dawały osobowość człowieka, którego trudno doprawdy było przestraszyć. Wężny taktik lwowiaków - szli tutaj w zgłiszczca i ruiny podobne do tych, które widzieli u siebie. Byli ludźmi doświadczonymi okrutnie przez wojnę i obciążonymi, równie nieraz okropnymi, wypadkami wojennymi. Co gorszego - myśleli - może nas spotkać tutaj? Gnęła ich chęć bycia w Polsce. Wszatko jedno narazie jakiej, aby w Polsce.

- Z rzeczy materialnych nieśli ze sobą niewiele, często jedynie kwity za zdane gospodarstwa i słabą nadzieję na rekompensatę.

- Domu zabrać ze sobą się nie dało. Ale przenieśli coś najważniejszego - wartości duchowe, przywiązanie do języka ojczystego, do wiary ojców, tradycje rodzinne, tęsknotę ze tym wszystkim, co tam zostawili, co z dziada pradziada było ich własnością; gdzie każdy kamień, każdy krzew i każde większe drzewo znało się na pamięć i wiedziało, patrząc na nie, ile jeszcze kilometrów jest do domu. Ta właśnie tęsknota kazała im stwarzać tutaj jakieś namiastki stron rodzinnych; kazała pracować. Jeśli odbudowali kościół, to chcieli, żeby było w nim coś przypominającego ich kościół parafialny.

- Mówi się często o wielkim zapale do odbudowy, zagospodarowania

tych terenów.

- To prawda. Tylko nie zdejmuje się, niestety, równie często pytania: skąd ten zapał czerpał swoją moc? Otóż o obliczu Dolnego Śląska zdecydowały wartości duchowe.

- Dość często spotykałem się na Dolnym Śląsku z tym, że pamięć o miejscu pochodzenia kultywuje jedynie pokolenie starsze. Młodzi mniej się nim interesują. Bardzo rzadko ktoś z nich chce jechać z ojcem i dziadkiem w rodzinne strony. Za to starsi, zdarza się, jeżdżą. Ich dzieci spoglądają na to ze zdziwieniem. Niezbyt przychylnie odnoszą się do opowieści snutych przez dziadków wnukom.

- Myślę, że jest to kalkulacja dość krótkowzroczna. Każdy ma prawo znać swoje korzenie. Nie ma w tym nic zdrożnego. Kiedy Żydów zabranono od Boga, żeby przypominać o ziemi ojców, żeby pamięć o niej nie została wymazana. A przecież oni nie byli zabrani w niewolę na miesiące, lecz - jak wiemy - na długie dziesiątki lat.

- Dewiza księdza kardynała brzmi: "Cierpliwość i Miłość"...

- W mojej rodzinie było motto: "Frangas non Flectes" (złamięś ale nie zegniesz).

- To się chyba zgadza z zawołaniem biskupim Eminencji. "Cierpliwość i Miłość" odnosi się do wszystkich?

- Do wszystkich, z którym Pan Bóg mnie zetknął. Do pana również.

- Dziękuję. A do nieprzyjaciół?

- Także. Z urodzenia jestem optymistą i songwinikiem. Mam wrodzoną łatwość bycia z ludźmi. Stąd ta dewiza nie jest szczególnie uciążliwa. Myślę, że człowiekowi o innym temperamencie, nieufnemu, bojaźliwemu, byłoby trudniej. To nie znaczy, oczywiście, że trzeba nieraz nad sobą panować.

- Dużo ma Eminencja tych nieprzyjaciół?

- Myślę, że w ogóle ich nie mam. Może są ludzie, którzy mnie nie rozumieją. Dlatego, ilekroć spotykam się z kimś o innym światopoglądzie, nie uważam z miejsca, że jest on moim wrogiem, że mnie nienawidzi.

- Ci, którzy spalili Eminencję samochód, też tylko księdza kardynała nie rozumieli?

- Myślałem raczej o tych, którzy nakazali to zrobić. Do wykonawców nie miałem nienawiści i nie sądzę, żeby oni czuli ją do mnie. Wykonywali polecenie. Często kiedy przychodzą do mnie, z trudnymi problemami, ludzie odmiennego, czy tego samego co ja światopoglądu, wydaje mi się, że wzajemne zrozumienie jest kwestią czasu. Liczy się dobre wola, wola porozumienia. Jeśli człowiek jej nie ma, nie trafia do niego żadne argumenty. Wtedy mści się. Ale czy to znaczy, że trzeba czuć do niego nienawiść? Nie, trzeba mu współczuć.

- Nie ma więc Eminencja, we własnym odczuciu, nieprzyjaciół. A przyjaciół?

- Pojęcie jest rozciągliwe, wieloznaczne. Powiedziałbym, że wielu uważa się za moich przyjaciół. Ale czy naprawdę nimi są, czas pokaże. W przyjaźni, oprócz serca, szacunku, ufności i przywiązania liczy się bowiem i rozum.

- Jakie znaczenie ma dla Eminencji popularność wśród wiernych? Polityk w kraju demokratycznym dla popularności będzie kłamał, w kraju rządzonym na sposób autorytarny - ma tę popularność, w gruncie rzeczy, za nic. A jak to jest z księciem Kościoła, który politykiem nie jest, ale zdarza się, że musi publicznie odnieść się do rzeczywistości?



- Nie wiem, co to jest popularność w tym znaczeniu, jakie jej pan nadaje i dlatego trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Długo popularność nie imponuje, jest jakaś obca. Czy jestem popularny? Nie, nigdy o tym nie słyszałem. Znacznie lepiej wiem, gdzie lubiany nie jestem.

- Nigdy nie zdarzyło się Eminencji spotkać z opiniami, że jeden z biskupów jest mniej a inny bardziej popularny wśród wiernych?

- Chyba nigdy. Nie zwracam na to zupełnie uwagi. Dla mnie sprawą ogromnej wagi jest obowiązek, jaki na mnie spoczywa; należyte wywiązywanie się z tego, czego spodziewa się po mnie Pan Bóg, Kościół, ci ludzie, którym służę pełniąc funkcję biskupią. Dlatego nigdy nie dostosowuję swoich wypowiedzi do tego, czego by się po mnie, jakby, spodziewano. Chcę być najbliższej obiektywnej prawdy, tak jak jestem ją w stanie zrozumieć. Podstawą do zajmowania takiego stanowiska jest nauka Kościoła i Ewangelia. Dlatego też choć wiem, że spotkałoby mnie łatwiejsze życie, gdybym wielu rzeczy nie mówił, czy mówił inaczej, nie mogę tego zrobić. Decyduje bowiem ciągłość pracy Kościoła z narodem. Moją troską jest więc zrozumieć istotne dążenia narodu i na miarę wnych możliwości, odpowiedzieć na nie. Pomaga mi w tym Arcybiskupia Rada Społeczna, która stanowią wyłącznie ludzie świeccy. Oni ułatwiają mi poznanie i zrozumienie wielu spraw społecznych, pomagają odpowiedzieć we właściwym czasie, i we właściwy sposób, na społeczne potrzeby, oczekiwania. My, księża, odpowiadamy na nie z konfesjonału, od ołtarza, z ambony, w sali katechetycznej. Ale czasem trzeba odpowiedzieć konkretem realnej pomocy, albo interwencją, jak po 13 grudnia 1981 roku. Czy jest tu gdzieś miejsce na popularność?

- Może troszkę jest. Jak odnosił się ksiądz kardynał do przydomka "Milczący Henryk". Czy przekazywał on coś z osobistego stosunku wiernych do duszpasterza?

- Nie sądzę. Przydomek ten urobili ludzie niezyczliwi Kościołowi.

- Nie Eminencji?

- Kościołowi, podkreślam, Wszystko co zmierza do skłócenia, zdezorganizowania pracy Kościoła, musi być oceniane w ten sposób. Proszę pamiętać, że przyszedłem do diecezji, której nie znałem. Nie miałem tu znajomych księży, ani kolegów, nie znałem wiernych. Byłem na obcym sobie terenie. Nie znałem tradycji. We Lwowie byłem przejazdem, dopiero w 1971. Stąd głównym moim zadaniem było patrzeć i słuchać. Poznać diecezję. To nie znaczy, że nie mówiłem kazań. W lutym 1976 był ingres, a w marcu zaczęły się wizytacje. Ale ponieważ mówiłem kazania na końcu mszy świętej, niezyczliwi twierdzili, że tylko podsumowuję to, co inni powiedzieli już wcześniej. Pisałem listy pasterskie. Czy to było milczenie? Ale to się nie liczyło, bo niezyczliwi nie chcieli tego liczyć. Nie głosiłem bowiem wielkich, wstrząsających kazań, nie wprowadzałem żadnych reform...

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie miałem dostatecznego rozeznania. Gdybym coś zrobił pochopnie, byłoby to despektem wobec moich poprzedników.

- W swej pracy duszpasterskiej związany był ksiądz kardynał z dwoma niezwykle regionami Polski: Białostocką oraz Warmią i Mazurami. Był to w latach pięćdziesiątych tereny szczególne. Czy dało się to zauważyć z wikariatu w Szudziałowie, bądź, w kilka lat później, z katedry warmińskiego Seminarium Duchownego?

- Parafia w Szudziałowie ciągnęła się w jedną stronę 18 km i ocierała się niemal o Puszcę Białowieską, z drugiej zaś strony miała 15 km, i z przodu kaplicy można było przetrząść kamień przez granicę ze Związkiem Radzieckim. Bo na krańcach parafii proboszcz pobudował kaplicę. Nie było w moim Szudziałowie tego szczególnego natężenia konfliktów, jakie charakteryzowały ówczesną Polskę, czy nawet Białostocką. Było spokojnie, jeśli nie liczyć

- typowego dla tamtego czasu - lęku o indywidualne gospodarstwa. Urok tej parafii, liczącej wtedy 3000 wiernych, pozostał na zawsze w mej pamięci. Mówi się wśród nas, księży, że pierwsza parafia, to "pierwsza miłość". Pierwszej miłości nigdy się w życiu nie zapomina. Ja też tej parafii nie zapomniałem i do dziś utrzymuję z nią kontakt.

Warmię i Mazury miałem zaś okazję poznać jeszcze przed objęciem wykładów w Olsztynie, ponieważ w 1946 roku osiedli tutaj moi rodzice. W szczególności ciepły sposób ludność Warmii przyjmowała polskiego księdza. Inaczej było na Mazurach. Natomiast, generalnie, podobny był stosunek administracji polskiej do miejscowej ludności. Kwestionowano jej narodowość.

- Znam taką wieś mazurską - Kurki...

- Też ją znam. Kurki, obóz przejściowy w Kostrzyniu... Są pewne symbole, oddające atmosferę tamtych lat na Warmii i Mazurach. Dużo krzywd, wiele niesprawiedliwości, wobec ludzi, którzy bronili przez lata niemieckiego panowania swej narodowej odrębności.

- Wrocław był dla Eminencji czymś nowym. Już o tym mówiliśmy. Ale, czy nie sądzi ksiądz kardynał, że takie, na przykład, białostockie obchody 300-lecia kultu Najświętszej Maryi Panny Miłosierdzia z Ostrej Bramy, mogły, również ukanie, wypaść we Wrocławiu.

- Myślę, że takie obchody można byłoby z powodzeniem urządzić w wielu miastach Polski, a także poza jej współczesnymi granicami.

- Wiele wsi Dolnego Śląska pustoszeje, budownictwo wiejskie stanowi tu nader, w wielu okolicach, odstępstwo od wieloletniej tradycji nie budowania i nie remontowania; wzrasta area gruntów rolnych we władaniu PGR; przypominamy zresztą, że akcją osiedleńczą objęto około połowy terenów tak zwanych Ziem Zachodnich; młodzi w miastach i miasteczkach sprawiają wrażenie wykorzenionych. A równocześnie mamy wielki, kulturotwórczy i społeczny ferment takiego na przykład Wrocławia. Czy da się ten obraz złożyć w jakąś całość, wytłumaczyć nie tylko ucieczką ze wsi do miast - powszechnie nazywaną ewansem.

- Proszę pamiętać, że zagospodarowanie Ziem Zachodnich, to nie tylko sprawa Kościoła. Nikt dziś, jak myślę, nie kwestionuje już wielkiej pracy Kościoła katolickiego na tych terenach. Ale jest przecież i inny rodzaj pracy - praca administracyjna. Pierwsi osadnicy, o czym już mówiliśmy, szukali Polski spokojnej. Mieli świeżo w pamięci swoje wojenne i powojenne przeżycia. Łaknęli spokoju, potrzebowali domu. I potrzebowali odrobiny pewności. Tej pewności nie mieli. Ciągłe przypominało im o jakimś zagrożeniu, o tym, że rewizjonizm wyciąga ręce po ich gospodarstwa. A oni już raz przecież gospodarstwa stracili. Pamiętali o tym. W takiej atmosferze wzrastało następne pokolenie, uboższe o wspomnienia wojennego koszmaru, ale bogatsze wiedzą, bystrzejszą i wnikliwszą obserwacją otaczającej ich rzeczywistości. Z tej obserwacji wyciągnęli wnioski na długo przed sierpniem 1980 roku i Solidarnością. Ktoś zauważył, dopiero niedawno, że większość protestów społecznych w powojennej Polsce rozpoczynała się na zachód od Wisły. Przypadek?

- Raczej nie. Natomiast, czy przypadkowy - lub jak twierdzą niektórzy - koniunkturalny jest napływ tych ludzi do Kościoła?

- Mówienie tu o koniunkturze jest nieporozumieniem. Czego szukali ludzie w Kościele, w bardzo trudnych czasach, po grudniu 1981 roku? Sławy, pieniędzy, władzy? Guzik prawda. Szukali poczucia bezpieczeństwa, wytchnienia, jak wielu z tych, którzy znaleźli się w Seminarium w Wilnie w 1944 roku. Kościół o tym wie. Wie, że pewnie niektórzy z nich odejdą. To ich sprawa. A ci, którzy zostaną, znajdują może drogę do Boga. Dać inteligencji, twórcom,

robotnikom, możność pracy w tych ideałach, które głosi Kościół, jest naszym obowiązkiem.

rozmawiał: Janusz Jankowski

Rozmowa ta została skonfiskowana przez cenzurę. Miała ukazać się w "Przeglądzie Katolickim". Tekst publikujemy bez wiedzy i zgody rozmówców - redakcja.

## O CAŁĄ WIORSTĘ

Nie podejmuję tu tak trudnego zadania, jakim byłaby ogólna ocena XXVII zjazdu KPZR z perspektywy polskiej opozycji. Chodzi tu raczej o pewne uporządkowanie myśli i refleksji, dotyczących zmian zachodzących w systemie politycznym, w strukturze gospodarki ZSRR, ujawnionych w związku ze zjazdem lub na jeździe. Już pierwsze pytanie: jakie jest znaczenie tego zjazdu? - bardzo trudno odpowiedzieć. Można właściwie uzasadnić równie dobrze zupełnie skrajne odpowiedzi: "żadne" i "bardzo duże". Twierdzenie, że XXVII zjazd KPZR, podobnie jak wiele innych, o niczym nie zdecydował, dość łatwo uzasadnić. Bo też naprawdę wszystkie decyzje personalne i wszystkie decyzje programowe zapadły przed zjazdem i poza nim.

### Zacznijmy od spraw personalnych.

Wiadomo, że odbyła się w ZSRR bardzo gruntowna, największa od 30 lat zmiana na wszystkich węzłowych, ważnych i drugorzędnych stanowiskach. Ale to wszystko odbyło się przed zjazdem, częściowo po nim. W organach kierowniczych państwa, tzn. w Biurze Politycznym i sekretariacie pozostało tylko dwóch "starych" z poprzedniej ekipy. Jeszcze kilka dni przed otwarciem zjazdu dokonano kilku ważnych przesunięć, jakby dla podkreślenia, że sam zjazd nie ma tu nic do powiedzenia.

Uważni dziennikarze zachodni odnotowali, że sam XXVII zjazd dokonał, w stosunku do stanu zastanego, tylko jednej nominacji, a mianowicie do Biura Politycznego powołano 62-letniego Lwa Zajkova, sekretarza do spraw produkcji zbrojeniowej. Była to drobna korekta, która chyba tylko przypadkowo dokonana została właśnie w czasie trwania zjazdu. Wiadomo bowiem, że 4993 delegatów na zjazd nie ma w sprawach personalnych - zresztą w żadnych innych też - nic do decydowania. Ma tylko jedynomyślnie głosować, popierać i burzliwie okłaskiwać. To nie oni wybierają, lecz ich samych bardzo dokładnie i skrupulatnie, przy współudziale KGB, wybrał potężny szef kadrowy partii Jegor Ligaczow, bliski współpracownik Michaiła Gorbaczowa. Zresztą nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby stanowisko I sekretarza, członków Biura i Sekretariatu, było naprawdę wybierane i powoływane na tak licznyemu zgromadzeniu mianowców, jakim jest zjazd.

No dobrze, ale kto wybrał Michaiła Gorbaczowa, jak odbyło się powołanie I sekretarza KPZR, obsadzenie jednego z dwóch najpotężniejszych stanowisk na kuli ziemskiej? Tego naprawdę nie wiadomo, ale warto się nad tym zastanowić, aby pojąć niepojętą, właściwie tajną, strukturę polityczną ZSRR. I Sekretarz partii, a nie kto inny rządzi w tym państwie, chociaż w 270-milionowym Związku Radzieckim KPZR liczy 19 mln. czyli 7% ludności. Pozostałe 93% ludności także formalnie nie ma żadnego wpływu na wybór władzy państwowej. Rząd i ministerstwa są powoływane przez Biuro Polityczne i kierowane przez odnośnych sekretarzy KC. Rząd też

odpowiada przed I-szym i jego doradcami.

Tak jest formalnie, i niektórzy dowcipnie nazywają to, u nas, partokracją. Nie jest to partokracja, bo owa 19-milionowa KPZR nie ma także żadnego wpływu na wybór władz. Dobrze to ilustruje właśnie wybór Gorbaczowa. Michaił Gorbaczow został "zarekomendowany" przez Biuro Polityczne, jeszcze przed pogrzebem Czernienki. Komitet Centralny popieszczenie wezwany do Moskwy całkiem jednomyślnie zatwierdził ten wybór, również przed pogrzebem, chociaż w tym pośpiechu i przy rosyjskich odległościach zdołała się na tej radośnej stypie zebrać zaledwie trzecia część składu KC, czyli - mówiąc po europejsku - nie było quorum. Tyle wiadomo. Wynika z tego, że w jakichś tajnych rozmowach uzgodniono kandydaturę Gorbaczowa bardzo szybko. Nie można było tego zrobić na posiedzeniu Biura Politycznego z dwóch powodów. Po pierwsze - Czernienko chory nie zezwalał na posiedzenia bez swojej obecności. Po drugie - nikt nie odważyłby się publicznie rozważać kandydatury, bo gdyby źle trafił, byłby potem spalony. Tak więc, jak opowiadał o poprzednich elekcjach na cara wiceminister spraw zagranicznych Szewczenko, który uciekł do USA, rozmowy przygotowawcze odbywają się prywatnie, raczej w dwie osoby, czasem w mieszkaniach, raczej gdzieś w odлюдnych daczach. W rozmowach tych kształtuje się ostrożnie jakaś kilkuosobowa większość.

Na przykładzie wyboru czterech ostatnich i sekretarzy: Breżniewa, Andropowa, Czernienki i Gorbaczowa stwierdzić trzeba, że elekcja potężnego i wszechwładnego przywódcy jest wynikiem tajnego spisku. Na jego przebieg i wynik nie ma żadnego wpływu 19-milionowa partia, ani Komitet Centralny, ani nawet ci członkowie Biura i Sekretariatu, którzy nie mieszkają stale w Moskwie, którzy z jakichś powodów nie są ważni, lub których organizatorzy spisku nie dopuścili do tajemnicy.

W momencie jednak publicznego ujawnienia wyników spisku cała nieograniczona władza przechodzi na elekcyjnego monarchę, w ręce którego spiskowcy, działający w sposób nieustalony, niejasny i tajny, złożyli losy ogromnego imperium, a przy okazji i swoje. Władza monarchy jest niekontrolowana, nieograniczona, dożywnia. W sytuacjach wyjątkowych może być obalona tylko przez inny spisek. Ludność żadnego wpływu na kształtowanie i postępowanie władzy nie wywiera. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich nie jest ani republika, ani tym bardziej związkiem republik. Nie jest naprawdę ani radziecki, ani naprawdę socjalistyczny. W tym bardzo trudnym do określenia, także ze względów semantycznych, systemie politycznym zaszyty pewne istotne zmiany.

Przed wszystkim silnie wzrasta w imperium rola rosyjskiego trzonu i nadal maleje rola szajtyckich posiadłości, chociaż Rosjanie stanowią obecnie tylko około połowy ludności państwa. Przeliczenie tych proporcji, na podstawie składu wybranego na XXVII zjeździe Komitetu Centralnego, jest tylko orientacyjne, bo przecież KC faktycznej władzy nie sprawuje. Jest to jednak - jak się uważa - wskaźnik niezłe obruszający proporcje etniczne. Otóż narody pozaeuropejskie, łącznie ok. 70 milionów mają tylko 3% członków KC. Rosjanie tworzą w KC najsilniejszą grupę etniczną - 81% składu. Inne analizy - obsada stanowisk sekretarzy obkomów i rejonów wskazują, że władza Rosjan obejmuje wszystkie bez wyjątku rejony imperium, a przy okazji ostatniego odmiedzenia kard - znowu wzrosła.

Drugim ważkim zjawiskiem w rozwoju systemu politycznego jest

znaczny wzrost władzy I-go sekretarza.

Michaił Gorbaczow po roku sprawowania rządów ma największą, najbardziej absolutną władzę w ZSRR od czasów Stalina. Nikita Chruszczow, który kilka lat walczył z konkurentami, a potem uwiłdł się w kilka niespójnych reform, nie zdołał nigdy skonsolidować i utrwalić swej władzy. Dopiero Breżniew ponownie ustabilizował władzę. Jedną z cech i metod tej stabilizacji było jednakże pewne, niekiedy daleko idące, usamodzielnienie różnych elementów i resorów władzy, co zresztą Gorbaczow poddał na zjeździe surowej krytyce.

Stabilizacja Breżniewa, w sensie politycznym, polegała na tym, że on sam, i sekretarz, był centralną postacią i symbolem władzy, ale wiele się do swoich paladynów nie mieszał.

Podobna struktura została stworzona także w republikach i obwodach. Komitety partyjne wszystkich szczebli były koalicjami władzy gospodarczej, wojskowej, bezpieczeństwa i administracji pod kierunkiem lokalnego I sekretarza. Koalicje te były ustawione hierarchicznie, aż do odpowiedniej koalicji w Biurze Politycznym. Ale autonomia sięgała daleko. Jak pisze wspomniany Szewczenko: autonomia resortu spraw zagranicznych pod kierownictwem Gromyki była całkowita, nikt się do tego państwa w państwie nie mieszał, sprawozdania składane w Biurze Politycznym były rzadkie i tylko formalne. To dotyczyło też bezpieczeństwa, wojska różnych działów gospodarki, a także "resortu" ideologii, kierowanego przez starców z czasów Stalina - Susłowa i Borisa Ponomariowa. Ta autonomia stabilizowała wprawdzie władzę, ale powodowała np. w gospodarce, ogromne zamieszanie.

Gorbaczow, znając wady tej nieruchawej feudalnej piramidy, z dużą energią, ale także z lekkomyślnością system ten burzy biorąc wszystko we własne ręce. To samo muszą robić w tej piramidzie "pierwsi". Doświadczony wyjadacz Andriej Gromyko został zastąpiony przez zupełnie niedoświadczonego nowicjusza Edwarda Szewardnadze, który się źle prezentuje, niewyraźnie wystawia, ale jest człowiekiem" szefa. Politykę zagraniczną robi - i to "gesto" - sam Gorbaczow.

Naturalnym jakby następcą Gromyki miał być "młody" jeszcze (64 lata), doświadczony, dyplomata, przez 25 lat ambasador w USA, Anatolij Dobrynin. Tu jednak Gorbaczow zrobił zaskakujący krok. Dobrynin byłby także zbyt samodzielnym i trzeba go było odsunąć. Gorbaczow wyznaczył więc tego dymnetycznego wyjadacza na sekretarza KC, na miejsce 81-letniego Borisa Ponomariowa. Dobrynin został szefem sławnego Wadima Zagladina, który się szykował na następcę Ponomariowa. Jest to sekretariat zajmujący się partiami komunistycznymi, ruchami społecznymi za Zachodzie i w Trzecim Świecie. Dobrynin - Zagladin, to ogień i woda. Szewczenko cytuje opinię Zagladina o resorcie spraw zagranicznych, wygłoszoną na odprawie ideologicznej: "W tym wdzysz ministerstwie nie macie pojęcia o ideologii komunistycznej i nie wiecie, jak trzeba wzmacniać nasze wpływy ideologiczne na świecie". A teraz taki ideologiczny imbecyl został jego szefem, a gościć ich będzie oczywiście Gorbaczow. Resort "ideologii na świecie" stracił autonomię.

Takie same zmiany - lub jeszcze większe - są w Sekretariatach i resortach gospodarczych. Wszędzie Gorbaczow wsadzał swoich ludzi, częściowo z owej technokratycznej "szkoły" nowosybirskiej, pod wpływem której sam się znajdował, czasami znajomych z Podkaukazia. Ale wydaje się, że tak ich ustawił, aby samemu pozostać arbitrem. Nie wiadomo bliżej jak Gorbaczow układa swe stosunki z potężnymi ośrodkami władzy w KGB i wojsku. Wygląda na to, że - za sprawą swego zmarłego protektora Andropowa - ma poparcie KGB, natomiast wojsko kontroluje poprzez osobiste kierownictwo ogromnym przemysłem zbrojeniowym.

Zdumienie obserwatorów zachodnich wywołał pewien dziwny fakt. Dawniej najliczniejszą grupę we władzach stanowili ideolodzy, "fachowcy od komunizmu". Po XXVII zjeździe na 12 członków Biura i Sekretariatu najliczniejszą grupę, bo aż 5, tworzą inżynierowie z przemysłu zbrojeniowego. Czy znaczy to, że człowiek, który osobiście kieruje partią, polityką zagraniczną, ideologią i przemysłem zbrojeniowym, uzależnia tym samym od siebie marszałków? Nie wiadomo.

Dlaczego Gorbaczow tak szybko i tak zdecydowanie skoncentrował w swych rękach tak ogromną władzę?

Czy chodzi tylko o żądze władzy?

Nie sądzę. Wydaje się, że chodzi o dwie rzeczy. Przede wszystkim, początkowo przynajmniej, władza Gorbaczowa w strukturze breżniewowskiej była

bardzo niepewna, jakby rozparcelowana. Jest pierwszy władca na Kremlu, który nie należy do diadochów stalinowskich i okresu postalinowskiego. Poprzedni układ nie zapewniał mu stabilności, a zwłaszcza pełnej swobody ruchów. Zaczął zresztą od pozbycia się, nie wszystkich, ale prawie wszystkich, diadochów łączniczych chyba z tymi uczestnikami spisku, którzy go w tajemniczy sposób wynieśli do władzy. Ale to także nie gwarantowało jeszcze bezpieczeństwa. Musiał więc unocnić i skoncentrować władzę. Poza tym - i w tym upatruje m.in. rolę XXVII zjazdu - potrzebna mu była możliwie uczynna koronacja. Im bardziej mgliste są okoliczności nabycia korony, tym ważniejsze staje się koronacja, owe rytualna legalizacja czy namaszczenie nowego władcy.

Warto przytoczyć pewną historyjkę ze zjazdu. Spośród 4993 delegatów dopuszczono do głosu na zjeździe tylko wybranych 72. Jeden z nich, niejaki Kulidżanow, po owej potwornie długiej, zawierającej 210 stron maszynopisu i trwającej ponad pięć godzin, mowie Gorbaczowa, zaczął chwalić przemówienie szefa: "Z całego serca podzielim najwyższą ocenę przemówienia Michaiła Siergiejewicza. Dziękuję Michaiła Siergiejewiczu za wasz znakomity referat. Gdy Michaił Siergiejewicz zakończył, odczułem głęboki smutek z tego powodu, że przestał mówić". Było to tak śmieszne, że Gorbaczow przerwał mu brutalnie: "Przestańcie odmieniać Michaiła Siergiejewicza...". Biedny i przestraszony Kulidżanow z bizentyjską pokorą powiedział: "Tego także musimy się wszyscy dopiero nauczyć".

Wbrew temu skromnemu wtrętowi oficjalny protokół zawierał obowiązującą tradycyjnie za Stalina formułę: "Burzliwe, długotrwałe, nieustające oklaski. W Wszyscy wstają".

Poza potrzebą ugruntowania owej, przez poprzedników rozparcelowanej władzy, zmierza Gorbaczow do jeszcze jednego celu. Jest przekonany, że szybko i zasadniczo poprawa ciężkawego, stagnacyjnego systemu rządzenia i gospodarowania nie da się pogodzić z daleko posuniętą resortowością, której fatalne skutki wielokrotnie obserwował z wielką szczerbią swojej dotychczasowej kariery partyjnego i gospodarczego aparatchyka.

Gorbaczow wręcz powiedział na zjeździe, że środki produkcji nie są własnością poszczególnych resortów, ministerstw i branż, ale własnością państwa. Dostrzegając jednak niebezpieczeństwo resortowości, Gorbaczow przeczuje niebezpieczeństwo jeszcze większe - koncentracji władzy politycznej i gospodarczej na skalę nieznaną w historii. Przy ogromnej liczbie różnorodnych, bardzo rozproszonych decyzji - do samej góry może docierać tylko nikła część niezbędnych informacji, co generuje wysoki procent decyzji przypeklowych lub błędnych. W nerwowej, trochę historycznej atmosferze wytworzonej na samym zjeździe i po nim, gdy właściwie nie bardzo wiadomo, co jest złe, naturalną reakcją aparatchyków musi być spychanie z siebie odpowiedzialności. Ta tendencja gwałtownie wzrosła przy pierwszych niepowodzeniach nowego kursu. Koncentracja decyzji z powodów czysto technicznych, stwarza więc przesłankę klęski, niż rejonizacja i resortyzacja z czasów Breżniewa.

Zanim przejdę do zasadniczych dla zjazdu zagadnień gospodarczych, chciałbym - z pewnymi wahaniami - zatrzymać się jeszcze nad, niezbyt przystającą do rosyjskiej tradycji i do sowieckiej rzeczywistości

problematyką legalizmu władzy.

Rozpatrując rzecz w kategoriach europejskich, i w europejskiej tradycji historycznej i prawnej, ogromna władza i sekretarza KPZR nie ma żadnych podstaw, żadnych pozorów legalizmu. Nie jest to też władza legalna w kategorii rewolucyjnej euforii, ani nawet władza legalna, jako władza charyzmatyczna, jaką przecież była władza i Lenina i Stalina. Mimo to, nikomu właściwie przez myśl nie przechodzi kwestionować legalizm tej uzurpatorskiej, a zresztą absolutnej władzy. Przyczyna jest nader prosta - europejskie tradycje i kategorie legalizmu zupełnie nie pesują do współczesnej Rosji. Pasują

do niej jeszcze znacznie mniej niż w XI. wieku. W ciągu prawie 70 lat po rewolucji październikowej, zostały bardzo gruntownie zniszczone struktury społeczeństwa cywilnego, i to w kraju, w którym nie zdołały się właściwie nigdy dobrze rozwinąć.

W ogromnym krwawym mýnie stalinowskim zniszczone zostało chłopstwo, inteligencja, robotnicy. Sens wielkiego terroru prewencyjnego w latach 30-tych i 40-tych, gdy nie było już ani opozycji, ani żadnych grup czy struktur społecznych, upatruje w niszczeniu jakiegokolwiek potencjalnej nawet możliwości artykulacji interesów grupowych, łącznie z możliwością artykulacji tych interesów wewnątrz samej partii.

Mimo że nowe pokolenia imperium nie pamiętają już epoki wielkiego terroru, nie nastąpiło nigdy odrodzenie ludności sowieckiej, jako struktury społecznej. Władza jest akceptowana z tej racji, że jest Człowiek nie należy do określonej grupy społecznej. Nie zależy też od własnych możliwości. Jest całkowicie zdany na władzę. Mówi o tym dokładnie Michaił Gorbaczow, chcąc podkreślić jaki dobry powinien być sekretarz partyni: "czyż trzeba przypominać, że z postacią kierowniczego działacza, zwłaszcza partyjnego, ludzie wiążą wszystkie plusy i minusy tego konkretnego i realnego życia, jakie przypadło im w udziale". Gorbaczow ma rację, w Rosji tego nie trzeba przypominać. Każdy wie dobrze. Ale za Bugiem warto to przypomnieć i zapamiętać. Na tym właśnie polegała, i polega nadal, wielka rola Solidarności: aby ludzie w tym kraju, nie wiazali "wszystkich plusów i minusów realnego życia, jakie im przypadło w udziale, z postacią kierowniczego działacza, zwłaszcza partyjnego". Takiej potwornej zależności od władzy państwowej w Polsce nie ma. Walka toczy się o to, aby oczywiste stwierdzenia Gorbaczowa nigdy Polski nie dotyczyły.

Gorbaczow zakończył swe przemówienie pewną retoryczną wolą, która podkreśla

**ubezpieczeniowienie społeczeństwa radzieckiego**

Wzywając do poparcia wylicza wszystkie klasy i grupy społeczne: robotników, chłopów, inteligencję pracującą, kobiety, młodzież, weteranów, wszystkie grupy społeczne, wszystkie narody i narodowości, dodając za każdym razem słowa swojej litanii: "albowiem polityka partii, to ich polityka". Żadna grupa społeczna i narodowościowa nie może wiec, i nie może wyrażać innych interesów, niż wyrażone przez partię, czyli aktualnego dyktatora.

Gorbaczow stwierdzając, że jest dramatycznie źle, trzeba wszystko naprawić przez skupienie sił, lepszą pracę, a przede wszystkim usunięcie złych nieudolnych i nieuczciwych aparatczyków. - wyraża opinię licznej warstwy działaczy partyjnych i gospodarczych, wyraża też opinię przytłaczającej części tej 19-milionowej partii, która wprawdzie jego sama nie wybrała, ale nie do tego celu służy. A przeciwny, pozbawiony jakiegokolwiek materialnej i intelektualnej alternatywy Rosjanin, którego losy zależą zawsze od władzy, "tej, która wie lepiej" - jak głosi rosyjskie przysłowie - także liczy na to, że młodszy i energiczniejszy "chazajin" (gospodarz), może zrobić coś aby było lepiej. Gdyby miał wybierać, a tego mu władza nie da, to wybrałby Gorbaczowa, bo kogo? Poza częścią mniejszości narodowych w Azji i Europie, większość ludności imperium raczej zgadza się z przedstawioną przez Gorbaczowa wizją. Na publicznym przedstawieniu, czy objawieniu tej wizji i na uzyskaniu biernej akceptacji, polega także znaczenie XXVII zjazdu. Ta, z europejskiego punktu widzenia, całkowicie nielegalna władza, jest "po komunistycznym" tożelna, ponieważ nie ma tu nowoczesnego państwa prawnego i nowoczesnego społeczeństwa, które powstało w Europie w ciągu ostatnich dwustu lat i rozrosło się na kilka innych kontynentów.

Dramatyzm sytuacji polega jednak na tym, że tych zadań, przedstawianych na zjeździe, nie może wykonać zbiorowisko poddanych. Do tego potrzebne jest nowoczesne społeczeństwo, którego mechanizm gospodarczy jest stymulowany i regulowany przez rynkowe sprzężenie zwrotne.



Gorbaczow uznał za konieczne poddać sytuację gospodarczą i społeczną ZSRR gwałtownej krytyce. Aby taką krytykę przeprowadzić, uczynić ją strawną, musiał podać ją

w odpowiednim opakowaniu

Tym opakowaniem stoła się niezmiernie brutalna retoryka antykapitalistyczna, przedstawienie świata zachodniego jako piekła na ziemi. Przypomnił, że starym Markssem, że kapitaliści "spijają nektar tylko z czaszek zamerczowanych". W Ameryce "nienawidzą wszystkiego co demokratyczne", zaś w kulturze propagują "obyčzaje świata przestępczego". Gorbaczow wprowadził kilka nowych terminów propagandowych, jak: "neoglobalizm", "imperializm informacyjny, który depcze suwerenność, kulturę i historię narodu". W tej powodzi słów Gorbaczow chyba przeholował twierdząc, że imperialiści "zamiennili Afganistan w jedną krwawiącą ranę". Wynikałoby z tego, że człogi i rakiety sowieckie strzelają w Afganiskie nie plastrami na rony...

Główną intencją przemówienia Gorbaczowa i całego XXVII zjazdu było poddanie społeczeństwa kuracji wstrząsowej. W tak ostrych słowach i w tak dramatyczny sposób nie oceniano nigdy w przeszłości na zjazdach całokształtu działalności partii i jej wyników. Gorbaczow na samym początku swego 5-godzinnego przemówienia powiedział: "... kierownictwo KPZR uważa za swój obowiązek uczciwie i otwarcie powiedzieć partii i narodowi o naszych uchybieniach w działalności politycznej i w praktyce, o niepomysłnych tendencjach w gospodarce i w sferze społeczno-duchowej, o przyczynach takich zjawisk. W przeciągu wielu lat nie tylko z powodu przyczyn obiektywnych, ale także z przyczyn o charakterze przede wszystkim subiektywnym, działania praktyczne organów partyjnych i państwowych nie nadążały za wymogami czasu, samego życia. Problemy w rozwoju kraju narastały szybciej niż były rozwiązywane. Inercja, skostnienie form i metod zarządzania, obniżenie dynamiki w pracy, narastanie biurokratyzmu - wszystko to wyrządzało spore szkody sprawie. W życiu społeczeństwa zaczęły zarysowywać się zjawiska stagnacji".

#### Zwalanie winy na poprzedników

nie jest czymś nowym w krajach realnego socjalizmu, nie tylko w Polsce, ale także w ZSRR. Chruszczow wszystko zwał na Stalina, Breżniew na Chruszczowa, obecnie zaś Gorbaczow "na lata 70-te i 80-te", czyli na Breżniewa i Czernienkę. Każdy następca buduje swój scenariusz na podstawie krytyki swego poprzednika, bez sięgania jednak do strukturalnych przyczyn chronicznej niewydolności systemu. Okres Breżniewa przyniósł Związkowi Radzieckiemu długotrwałą stabilizację, najdłuższą w jego historii. Po chaotycznych, nieprzemyślanych eksperymentach Chruszczowa - które początkowo dały pewne efekty, potem zaś zwiędły i zamieszanie - dewizą Breżniewa było: niczego nie zmieniać, niczego nie ruszać. Był to prawie 20-letni okres wewnętrznego leseferyzmu, powiedzielibyśmy: stabilizacji adaptacyjnej.

Mówiliśmy już o pewnej stabilizacji władzy przez tworzenie na różnych szczeblach koalicji czterech aparatów władzy. Autonomię uzyskiwały nie tylko potężne aparaty, ale także resorty i wielkie księstwo partyjno-aparackie, jak: Moskwa, Leningrad, Ukraina czy Kazachstan. Nastąpiła pierwsza w historii ZSRR stabilizacja kadry kierowniczej i rządzącej. Środowisko rządzącej kadry utrzymywało nie tylko stosunki służbowe, ale także związki towarzyskie, obyczajowe. Z wielu przyczyn wewnątrz tej stabilizującej się warstwy zawierane są małżeństwa, przyjmowany jest pewien model kulturowy i standard życiowy. Rosną też jej potrzeby i aspiracje materialne. Powszechna korupcja, a w niektórych regionach, zwłaszcza w Azji, także nepotyzm, były zjawiskami nie tylko tolerowanymi, ale stanowiły także czynnik stabilizujący gospodarkę, czynniki motywacyjne ułatwiający kooperację i cyrkulację.

Negatywne wyniki systemu nakazowo-rozdzielczego mają zawsze tendencje narastające, ponieważ skutki się splećniają, stają się same przyczynami dalszego marotrawstwa i dalszego powolnego obniżania efektywności. Ale są

to w radzieckim systemie społeczno-gospodarczym zjawiska stałe występujące i same przez się nie powinny być zakłócać stabilności systemu.

Związek Radziecki dysponuje takim ważnym czynnikiem stabilizacyjnym, którego nie ma np. w Polsce, a mianowicie wielką cierpliwością i odpornością ludności na okresowe pogarszanie się warunków życiowych, na braki w zaopatrzeniu podstawowych towarów konsumpcyjnych. Nawet długotrwałe, wielomiesięczne braki mięsa, cukru, masła występujące w mniejszych lub średnich miastach, w całych regionach nawet, nie powodują zakłóceń społecznych. Nawet niezadowolone ludności bez żadnej możliwości jego artykulacji, bez publicznego ujawniania, nie mówiąc już o oporze, wywołuje raczej apatię, obniżo w pewnych granicach wydajność pracy, ale nie destabilizuje jeszcze systemu, jest jakby w ten system wpisane. Zasadniczego znaczenia nabiera zaopatrzenie pozarynkowe, różne przydziały, talony, żółte firanki, rozdzielnictwo w mądrzakładowe. Wszystko to należy również do mechanizmów adaptacyjnych.

Władza państwowa całkowicie kontroluje wszystkie kanały komunikacji społecznej, co przy terytorialnej rozległości Imperium, kulturowej różnorodności, powoduje atomizację i sperelizowanie społeczeństwa.

Podstawą owej adaptacyjnej stabilizacji okresu brzeźniewowskiego, oraz ekstensywnego rozwoju, ogromnego marnotrawstwa sił i środków, było niezmiernie, zdawałoby się, niewyczerpane bogactwo zasobów Imperium. I tu dochodzimy do obiektywnych przyczyn nowej sytuacji, w jakiej znalazł się Związek Radziecki w latach 80-tych. Wszystko: ekonomistów na Wschodzie i Zachodzie, autorzy różnych analiz i prognoz, czasem bardzo się między sobą różniących, zgodni są całkowicie w jednej sprawie: w krajach socjalistycznych, ostatnio zaś również w ZSRR, nastąpiło

wyczerpanie się rezerw i czynników ekstensywnego wzrostu.

Na tych rezerwach bazowały w całym 70-leciu swego istnienia, lepiej lub gorzej, ekonomika i system sowiecki. Dziś pogorszyła się sytuacja na rynku pracy. Rezerwy demograficzne, zwłaszcza w europejskiej części ZSRR, głównie w samej Rosji, kurczą się, rośnie jedynie liczba ludności narodów turkmeńskich w sowieckiej Azji. Po drugie - wyczerpała się możliwość większej eksploatacji zasobów energetycznych dla potrzeb własnych i na eksport. W ciągu ostatnich dwóch lat zmniejszyło się wydobycie ropy naftowej, przy dalszym wzroście zapotrzebowania i gwałtownym spadku cen światowych. Przewidywany jest wzrost trudności energetycznych. Po trzecie - wyczerpane zostały możliwości wzrostu wydobycia surowców, zwłaszcza rud metali (przy trwającej całe dziesięciolecie rabunkowej eksploatacji rezerw). Po czwarte - wyczerpane zostały rezerwy wzrostu, a nawet utrzymania na dotychczasowym poziomie, produkcji rolnej, szczególnie w rosyjskiej strefie nieczarnoziemnej, gdzie starzeje się i spada liczba ludności zatrudnionej w rolnictwie. Dotyczy to także, w innych proporcjach, ukraińskiej strefy czarnoziemnej.

Wycofano się ostatecznie, już w okresie zjazdu, z awanturnych zamysłów, projektów zmiany biegu wielkich rzek syberyjskich Obu i Irtyżu, które miały nawodnić wielkie pustynie nad Jeziorem Aralskim.

Radziecki deficyt rolny, pokrywany w okresie brzeźniewowskim przez ogromny import zboża, będzie się raczej powiększał.

Po piąte - narasta, podobnie jak w Polsce i innych KDL-ach, proces dekapitalizacji majątku wytwórczego. Dostęp do najnowszej technologii pogarsza się, co zwiększa dystans technologiczny wobec rozwiniętych krajów w Europie, Ameryce i Azji.

Po szóste wreszcie - rzecz dla Związku Radzieckiego nowa - wyczerpuje się możliwość uzyskiwania wolnych dewiz wymiaralnych. W 1985 roku ZSRR miał po raz pierwszy agronijny deficyt w handlu zagranicznym (ok. 6 mld dolarów), przy spadku cen ropy naftowej i niemożności korzystać o z większych kredytów. Skutki trudności finansowych ZSRR odczuje dopiero, gdy podejmie próby intensywnego wychodzenia z "dołka". Nie zapomniał się o

wszystkie te problemy, dobrze zresztą znane na tle polskiego kryzysu. Dla imperium są to jednak problemy stosunkowo nowe. Wyczerpanie się dotychczas niewyczerpanych i "nieograniczonych" rezerw jest procesem stopniowym, ale bardzo bolesnym i szybko spiętrzającym, jakby "zagęszczającym" trudności.

Wielką pretensją Gorbaczowa do poprzędników, którzy - jego zdaniem - stracili 20 lat, pretensją o "Inercję i skostnienie", polega na tym, że

wiernie trwali

przy gospodarce ekstensywnej, gdy te rezerwy jeszcze były, odprężenie zaś umożliwiło dostęp do technologii i zasobów świata zachodniego.

Należały jednak zaznaczyć, że Gorbaczow zapowiadając "uczciwie i otwarcie" powiedzenie narodowi prawdy, stara się ją jednak owijać w bawełnę. Mówi o "nie nadążaniu za czasem, za samym życiem", przytaczając rosyjskie przysłowia: "człowiek zatrzyma się chwilę a pozostaje o całą wiostę". W tę bawełnę owinięte są bardziej zrozumiałe pojęcia jak: ekstensywna gospodarka, stagnacja. Doros Jalcyn biadał w toku dyskusji: "Dlaczego w naszym partyjnym słowniku pojawiło się wyrośnięte obce słowo stagnacja?!" W słowniku partyjnym to na pewno obce słowo, ale w praktyce życia radzieckiego zjawisko powszechne.

Sens społeczno-gospodarczy XXVII zjazdu i przedstawiona przez Gorbaczowa recepta, stając się zrozumiałe dopiero przy połączeniu dwóch przesłonek wstępnych: okresu stabilizacji adaptacyjnej, stagnacyjnej Breżniewa - oraz wyczerpywania się we wszystkich dziedzinach zasobów i rezerw rozwojowych imperium komunistycznego.

Nasza propaganda usiłuje przedstawić referat Gorbaczowa jako niezwykłą, odważną, krytyczną analizę stosunków społecznych i stanu gospodarki radzieckiej. Cięż, mimo użycia wielu ostrych i dramatycznych słów, jest to

krytyka bardzo płytka

Gorbaczow, który przeszedł w epoce breżniewowskiej przez wszystkie kolejne szczeble kariery partyjnego i gospodarczego aparaczyka, zna doskonale słabości i nonsensy funkcjonowania systemu gospodarczego. Przez publiczne wyliczanie wielu tych objawów nie powiedział niczego rewelacyjnego; wszystko to wie każdy dyrektor fabryki, zjednoczenia, każdy sekretarz rejonowy. Przez ujawnienie tych zjawisk z trybuny zjazdu zdobył Gorbaczow na pewno przychyłność dużej części owego wielomilionowego aparatu, z którego sam wyrósł.

Ale za tymi spostrzeżeniami pragmatyka nie kryje się żadna głębsza analiza intelektualna, żadna ocena przyczyn strukturalnych braków i słabości systemu radzieckiego, choćby na tym tylko poziomie, jaki od lat osiągnięty został w polskich lub węgierskich analizach, nawet w prasie społeczno-politycznej i gospodarczej. Nie pojawiły się na zjeździe takie, podstawowe dla zrozumienia sprawy, kategorie, jak: nakazowo-rozdzielczy system zarządzania gospodarką, brak rynkowych mechanizmów stymulacji i regulacji. Odwrotnie, w referacie i w całej dyskusji, podkreślane są s u b i e k t w n e przyczyny wszystkich kłopotów, owe wyróżnione już u nas "błędy i wypaczenia", spowodowane przez jakichś niewłaściwych ludzi. Wystarczy więc pozmiętać ludzi i odpowiednio ich "podkreślić", aby wszystko było lepiej.

Wspomniany już, często zresztą przez prasę cytowany, nowy sekretarz Komitetu Moskiewskiego, Boris Jalcyn, kokieteryjnie powiedział: "Delegaci mogą mnie zapytać, dlaczego nie mówię o tych sprawach występując na XXVII zjeździe? No cóż, mogę odpowiedzieć i to szczerze: widocznie nie starczyło wtedy odwagi i politycznego doświadczenia". Jalcyn i inni nie wykazali obecnie żadnej odwagi powtarzając za szefem krytykę poprzednich ekip, również bez wymienienia nazwisk, aby się nie wychylić. Na którymś z kolejnych zjazdów Jalcyn będzie mógł ponownie szczerze przyznać się do tchórzostwa i

głupoty, gdyż niczego nie powiedział o rzeczywistych niedomaganiach, o przyczynach chronicznej niesprawności systemu, chociaż wystarczałyby do tego ocena kryzysów w Polsce lub innych KDL-ach. Taką analizę, wykraczającą choćby o krok poza to, co powiedział monarcha, nie jest oczywiście możliwa i to jest także jedna ze strukturalnych słabości systemu sowieckiego.

Michał Gorbaczow uznał sytuację Związku Radzieckiego za niepomysłną i wręcz dramatyczną. Jakie zaproponował wyjście poza dość gruntowną, ale pozostającą ściśle w ramach rządzącej nomenklaturę, zmianę kadr kierowniczych? Owym powtarzaniem na wiele sposobów, po sto razy, panaceum jest "przyspieszenie", albo więcej:

"strategia przyspieszenia".

Co naprawdę znaczy w takim ujęciu "przyspieszenie" - dobrze nie wiadomo. Jest to termin z pogranicza polityki, gospodarki, spraw społecznych; temat "rzeka". W istocie pojęcie "przyspieszenie" jest antytezą, odwrotnością stagnacji. Gdy się jednak bliżej przyjrzyć przedstawionym na zjeździe propozycjom Gorbaczowa, to przypominają one do złudzenia koncepcje, jakie przedstawił i realizował na początku lat siedemdziesiątych Edward Gierek.

Gierek budował "drugą Polskę", Gorbaczow zapowiedział zbudowanie do końca stulecia w oparciu o nowoczesną technologię, "drugiego Związku Radzieckiego". Polska znalazła się wówczas, po okresie gomułkowskiej "małej stabilizacji", w obliczu wyczerpania rezerw i czynników ekstensywnego rozwoju. Przystawienie się na rozwój intensywny wymagałoby przebudowy bardzo gruntownej, kosztownej i sięgającej do podstaw strukturalnych systemu. Gierek i jego ekipa, poza paroma ogólnikami, czy niespójnymi eksperymentami, cofnęli się przed taką reformą. Zamiast tego chcieli uwolnić się od gomułkowskich ograniczeń, ciasnoty i faktycznej stagnacji, rzucając hasło "Polak potrafi", co jest dokładnie odpowiednikiem sowieckiego "przyspieszenia" na XXVII zjeździe KPZR.

Gorbaczow, podobnie jak Gierek, wyraża przekonanie, że system jest w istocie doskonały, ale szkodzą mu nieodpowiedni ludzie, a przede wszystkim należy go wzmocnić i ożywić przez nasycenie nowoczesną, przodującą technologią zapożyczoną z Zachodu. Wtedy wszystko znakomicie zagra.

Przyspieszenie Gorbaczowa oparte jest wyłącznie o metody technologiczne. Wreszcie Gorbaczow, podobnie jak Gierek, w dramatycznej sytuacji wyczerpywania się zasobów dotychczasowej gospodarki, chce uzyskać po przez swoje przyspieszenie nie tylko zwiększenie tempa rozwoju stagnacyjnej gospodarki socjalistycznej, ale równocześnie obiecuje zasadnicze podniesienie poziomu życiowego ludności, lepsze zaopatrzenie w towary rynkowe, zapewnienie wszystkim mieszkań lub własnych domów itd. Gierek wszystko to robił na kredyt, ale na czym opiera swoje przyspieszenie Gorbaczow?

Gorbaczow na zakończenie swego mamuciego przemówienia zwrócił się z dramatycznym apelem do wszystkich klas, grup społecznych, do wszystkich narodów i narodowości o poparcie. "Pomożecie? - Pomożemy!"

Zgodnie z niezmienną tradycją zjazd przedstawił w kolorowych barwach "świetlaną przyszłość", która wkrótce czeka ludność radziecką. Lenin w 1921 roku powiedział, że ludzie, którzy mają 15 lat dożyją komunizmu i wszelkiego dobrobytu. Gdy w 1930 r. kilka milionów chłopów na żyznej Ukrainie umarło z głodu, Stalin powiedział na XVI zjeździe WKP(b), że "żył stało lepiej, żył stało wesielej". Postanowiono wykonać pięcioletkę w ciągu czterech lat. Pięcioletki nie wykonano.

Chruszczow przypomniał potem na XX zjeździe, że z 1268 delegatów na ten "zjazd zwycięsców", ponad tysiąc zostało zamordowanych w czasie czystek.

W 1961 roku na XXII zjeździe KPZR Chruszczow zapowiedział, że do 1980 roku ZSRR dogoni i przegoni Amerykę i ostatecznie zbudowany zosta-

nie komunizm.

Breżniew nie uchwalał nowych programów, stary program pozostał w mocy wraz z jego terminami. Póki co, w drodze do komunizmu kazał Breżniew na XXV zjeździe rozdać delegatom zegarki elektroniczne, zaś już na XXVI zjeździe wszyscy delegaci dostali przenośne telewizory kolorowe, co świadczyło pośrednio o zbliżaniu się komunizmu.

Na XXVII zjeździe wszystkie poprzednie terminy komunizmu zostały odwołane. Stwierdzono, że celem nadrzędnym pozostaje zbudowanie komunizmu, ale na razie nie wiadomo bliżej, co to ma być i kiedy to będzie, na pewno jednak kiedyś w XXI wieku.

Gorbaczow stwierdził, że poprzedniego programu nie wykonano, nawet w zakresie budowy "rozwinętego socjalizmu", ale tym razem musi się już udać właśnie dzięki "przyspieszeniu". "Świełtlaną przyszłość" pozostaje więc nadal celem, mimo odłożenia komunizmu ad calendas graecas.

Niestety, bez zmiany zasadniczych mechanizmów gospodarczych sama zapowiedź "świełtlanej przyszłości"

i przyspieszenia pociąga za sobą wiele kłopotów, niektóre z nich są bardzo niebezpieczne. Przecież, jak wyriłka cięby z wygłoszonego na zjeździe referatu premiera Ryżkowa, a także z innych energicznych posunięć już po zjeździe, "przyspieszenie" zostaje odpowiednio skónkrétyzowane. Wydane zostaną tysiące, dziesiątki, setki nowych nakazów, poleceń i przydziałów, które dotrą do przedsiębiorstw, paraliżując - wbrew ogólnikowym zapowiedziom - jeszcze bardziej ich samodzielność.

Uruchomione zostaną równocześnie ogromne inwestycje zmierzające do unowocześnienia gospodarki. Oznacza to, że natychmiast, a zwłaszcza za dwa, trzy lata wzrośnie znacznie zapotrzebowanie na zatrudnioną przy tych inwestycjach siłę roboczą, która na razie nie będzie niczego produkować na rynek.

Wzrośnie gwałtownie zapotrzebowanie na materiały budowlane i energię, chociaż jednego i drugiego jest już teraz za mało. Wzrośnie zapotrzebowanie na kredyty i dewizy wymiennalne. Z góry zapowiedziano już zamrożenie pewnych rozpoczętych inwestycji, co oznacza, nie tylko wyrzucenie w błoto wielkich środków, ale w efekcie wpłynie jeszcze bardziej na pogłębienie dysproporcji.

Kurs na nowoczesność jest słuszny, ale nowoczesność opierać się powinna na solidnej infrastrukturze, a z tym właśnie już obecnie krucha; krucha z energetyką, komunikacją, bazą surowcową.

Przyspieszenie przemysłowe w krajach socjalistycznych odbywało się zawsze kosztem konsumpcji, chyba że środki na jedno i drugie - jak to robił Gierék - uzyskiwało się z pożyczek. A tymczasem na zjeździe zapowiedziano równoczesną poprawę warunków życiowych ludności. Sądzić też należy, że wzrosty aspiracji konsumpcyjnej, zwłaszcza dość licznej warstwy uprzywilejowanej. Wszystko to razem wzięte może doprowadzić do destabilizacji, do kryzysu na skalę nieznaną po wojnie w Związku Radzieckim (do kryzysu, do jakiego Gierék doprowadził Polskę).

Państwowa gospodarka typu sowieckiego z centralnym nakazowo-rozliczeniowym zarządzaniem nie dysponuje automatycznymi rynkowo-pieniężnymi regulatorami i symulatorami zapewniającymi dynamiczny rozwój. Jest to gospodarka strukturalnie ekstensywna. Stabilizacja adaptatywna i nawet stagnacja okresu breżniewowskiego mimo wszystkich negatywnych objawów uboższych, są w pewnym sensie, najbardziej bezpieczną dla systemu strategią. Wobec jednak wyczerpania rezerw i zasobów rozwoju ekstensywnego konieczna była zmiana kursu.

na reformy o głęboki charakterze - jak to zrobiono pod koniec lat 60-tych na Węgrzech - był w ZSRR obecnie znacznie mniej realny niż w Polsce lat 70-tych. Spowodowałoby to, początkowo, pewne pogorszenie ogólnej sytuacji gospodarczej, podwyższenie pozycji nomenklatury, na jakiej opiera się, i którą reprezentuje ekipa Gorbaczowa. Niezbędne byłoby stworzenie także sprzyjających warunków międzynarodowych, co nie odpowiada interesom imperialnym i nieotykałoby na opór potężnych marszałków.

Gorbaczow oczywiście ani nie chciał, ani nie mógł przystąpić do głębokiej przebudowy strukturalnej, która uruchamiałaby mechanizmy rynkowe. Żadna grupa w establishmentie do takich zmian nie dążyła, z wyjątkiem małej garstki ekonomistów-teoretyków, pozbawionych wpływu. W istocie nie miał Gorbaczow dużych możliwości manewru, ale w ramach tych możliwości jego program "przyspieszenia" jest jednak zbyt ryzykowny (i awanturniczy), sądząc na podstawie znanych już doświadczeń i przykładów w realnym socjalizmie.

Te rozważania należałoby jednak uzupełnić pewną refleksją. Przede wszystkim, doświadczenie uczy, że każda zmiana kursu, zmiana scenariusza, daje początkowo pewne, niekiedy nawet całkiem znaczne efekty dodatnie, choćby przez usunięcie nonsensów, przez okresową aktywizację kadry. Pierwsze lata rządów Gierka przyniosły wiele sukcesów, mimo że ekonomiści ostrzegali przed awanturniczym rozmachem. Gorbaczow chyba także znacznie od sukcesów, chociaż wydaje się, że krótszych niż gierkowe. Mogą one jednak pozwolić złapać oddech. Po drugie - o tym pisałem już - w ZSRR społeczeństwo jest zupełnie inne niż w Polsce; ma inną świadomość, inne aspiracje. Po trzecie - ZSRR ma za sobą wprawdzie wiele i to bardzo głębokich kryzysów, nie było tam jednak ani 1956 roku, ani grudnia 1970 roku. Ewentualna reakcja na załamanie kryzysowe pozostaje więc całkowicie niewiadomą. Po czwarte - tym wielonarodowym imperium czynnikiem stabilizującym był i pozostaje wielkoruński szowinizm oraz silnie rozwinięte aspiracje mocarstwowe, zwłaszcza warstwy rządzącej.

Snucie więc jakichkolwiek prognoz na podstawie polskich analogii jest na pewno przedwczesne. Jednakże wszelkie przemiany, wstrząsy, czy tylko kryzysy gospodarcze, w Związku Radzieckim nie mogą pozostać bez wpływu na sytuację międzynarodową, na Europę Wschodnią, na dalszy bieg wydarzeń w Polsce.

Justyn

## WĘZEL GOR...BACZOWA

W swoim interesującym artykule Justyn pominął problematykę międzynarodową. Uczynił to zapewne dlatego, aby tym mocniej uwypuklić wagę problemów wewnętrznych: społecznych i ekonomicznych, z jakimi ma do czynienia Gorbaczow. Kryzys ZSRR, który można najkrócej określić jako kres możliwości dalszego rozwoju przy zachowaniu dotychczasowych metod rządzenia, jest przede wszystkim zagadnieniem wewnętrznym. Nie chodzi tylko o to, że ZSRR osiągnął granicę możliwości rozwoju ekstensywnego (powiększanie siły roboczej, coraz gwałtowniejsze, rabunkowa eksploatacja zasobów naturalnych itp.). Sam Gorbaczow powiedział, że jego państwu grozi nie tylko zahamowanie dalszego rozwoju, ale i coraz wyraźniejsza możliwość regresu; że taka możliwość jest realna, świadczy najlepiej przykład polski i Rumuni. Niezbyt daleko od tej możliwości jest także Czechosłowacja. W ZSRR w wielu dziedzinach (służba zdrowia, oświata) ten regres następuje już dzisiaj.

Uznając więc, że sprawy wewnętrzne ZSRR są dziś problemem najbardziej palącym, trzeba jednak zwrócić uwagę, że nie jest możliwe rozwiązanie którejkolwiek z tych spraw, bez osiągnięcia przez politykę radziecką poważnej zmiany w sytuacji międzynarodowej kraju. Rysują się tutaj dwie groźby, które mogą przekreślić wszelkie gorbaczowowskie plany przełamania zastoju i zmodernizowania kraju.

Po pierwsze: jeśli nie uda się osiągnąć jakiegoś wynegocjowanego porozumienia z USA na temat ograniczenia zbrojeń, to ZSRR stanie wobec alternatywy: albo podjąć wyzwanie i wdać się w nową rundę zbrojeń (łącznie ze zbrojeniami w kosmosie), albo wyzwania nie podjąć i zrezygnować z roli supermocarstwa.

Pierwsze rozwiązanie przekreśli możliwość reform i unowocześnienia gospodarki. Cały przemysł, z wyjątkiem zbrojeniowego, będzie się nadal starzeć, ponieważ już dziś nie jest on w stanie (jak to przyznał Gorbaczow) zapewnić odtwarzania swych narzędzi produkcji i ulega procesowi dekapitalizacji. Siergiej Plechanow z moskiewskiego Instytutu Stosunków z USA i Kanadą ujął sprawę tak (wg. "Business Week" z 11.11.1985): "Dalszy wyścig zbrojeń z pewnością zmusi nas do rewizji naszych planów rozwoju gospodarczego. Dla nas jest to większym ciężarem, bo wy jesteście bogatsi". A jeden z dyrektorów instytucji badawczej Plan Econ Inc. w Waszyngtonie, Jan Vanous, określił problem następująco: "Rosjanie dekapitalizują gospodarkę. Zaciągają dług na hipotece przyszłości kraju".

W wyniku takiego postępowania cierpi nie tylko przemysł; przede wszystkim: rolnictwo, transport, energetyka, oświata, służba zdrowia. Oficjalne dane o skróceniu długości życia ludzkiego (poza realnym socjalizmem nigdzie nie ma dziś takiego zjawiska), powiększającej się śmiertelności niemowląt - mówią same za siebie. Trzeba dodać, że to wpływa negatywnie również na zdolności wojskowe kraju.

Podjęcie następnej rundy wyścigu zbrojeń zaostrzy i przyspieszy te wszystkie zjawiska, a co gorsza - i tak nie da rezultatu. Albowiem przy dzisiejszym stanie gospodarki, przy braku postępu naukowego i technicznego - ZSRR nie jest w stanie dotrzymać kroku postępom zbrojeniowym Zachodu - partya na rozwijającej się w tempie eksplozji, nowej rewolucji naukowo-technicznej. I nic tu nie pomoże przysłowiowe rosyjskie "zaciskanie pasa". Jest to droga prowadząca donikąd.

Może więc Rosjanie zrezygnują z podjęcia wyzwania? Wtedy utracą pozycję supermocarstwa. Żadnej bezpośredniej groźby w tym dla nich nie będzie, bo Zachód, nawet gdyby miał całkowitą przewagę, i tak ich nie zaatakuje. Jednak na dłuższą metę taka decyzja zawierałaby w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Amerykańskie pismo "US News and World Report" (nr z 3.03.1986) przytoczyło następujące zdanie nie wymienionego z nazwiska radzieckiego uczonego: "To, co w sprawie amerykańskiej obrony kosmicznej naprawdę niepokoi nasze kierownictwo, to nie nowe możliwości wojskowe. Chodzi o podjęty wysiłek skupienia wokół Ameryki nowego "sojuszu wysokiej technologii" wraz z Europą Zachodnią i Japonią, co skazać musi Rosję na trwałe zacofanie".

Decyzja taka ostatecznie pozbawi ZSRR wpływów w Trzecim Świecie (co się rysuje już dziś). Pozbawi też reżim jego ideologicznego uzasadnienia. Wszak miał to być system bardziej postępowy i szybciej się rozwijający, którego przeznaczeniem miało być zaprowadzenie socjalizmu na całym świecie. Rezygnacja z roli supermocarstwa byłaby rezygnacją z ostatniego uzasadnienia teoretycznego jego istnienia. Pozostałoby już tylko niespełnione obietnice, połączone z trwałą zacofaniem i niższą niż gdzie indziej stopą życiową.

Ale to nie wszystko. Jednostronne wycofanie się z wyścigu zbrojeń natychmiast postawiłoby przed Kremliem problem Chin. Czy ZSRR mogłyby zaryzykować sytuację, w której Chiny dokonują spektakularnych postępów, podczas gdy ZSRR usuwa się z gry i rezygnuje z najnowszej technologii wojskowej? Na to pytanie nie próbują nawet odpowiedzieć, sygnalizując tylko istnienie problemu. Oto co wiąże się z zagadnieniem rozmów rozbraterowanych z USA.

Wspomniałem jednak o drugiej groźbie, jaka wisi nad Gorbaczowem. Ta groźba jest możliwością destabilizacji i zaburzeń w bloku sowieckim, w krajach uzależnionych od ZSRR, a więc przede wszystkim w Polsce i Rumunii. Taka możliwość nie wydaje się obecnie zbyt duża, musi być jednak brana pod uwagę. Nie trudno wyobrazić sobie, jak ciężkie konsekwencje miałyby to dla wszelkich planów Gorbaczowa, zarówno w polityce międzynarodowej, jak i w dziedzinie wewnętrznej, przede wszystkim gospodarczej. Mogłoby to w ogóle zagrozić pozycji sekretarza generalnego.

Do tego dochodzi problem Afganistanu. Jak dotąd nie wydaje się, aby wojna afgańska powodowała poważniejsze skutki społeczne w ZSRR, choć oczywiście komplikuje to dodatkowo naszą sytuację. Koszta w sensie materialnym rosną, powiększając i tak już nadmierny ciężar zbrojeń (a istnieją też koszty wspierania Kuby, Angoli, Etiopii, Wietnamu). Najważniejsze jednak jest to, że owa wojna stanowi ogromne obciążenie radzieckiej polityki zagranicznej. Bez jej zakończenia dokonanie poważnego zwrotu w polityce zagranicznej nie wydaje się możliwe. Czas płynie. Do tej pory Gorbaczow miał szansę by likwidując wojnę afgańską zrzucić winę na swoich poprzedników, zwłaszcza na Breżniewa. Jeżeli jednak nadal nie będzie porwał podjąć takiej decyzji, wtedy wojna Breżniewa stanie się wojną Gorbaczowa - i wycofanie stanie się jeszcze trudniejsze.

Oto z grubsza zarysowany pakiet problemów międzynarodowych, który znalazł się przed Gorbaczowem, gdy obejmował on władzę. Czysta persona, którą sekretarz generalny przeprowadzał we wszystkich dziedzinach, objął również resort spraw zagranicznych. Stary, zaskorupały wyje Gro-



myko musiał odejść, zastąpił go nieznany nikomu w dyplomacji Szewardnadze. Jak słusznie zauważa Justyn, wszystko wskazuje na to, że szef Kremla postanowił wziąć sprawy zagraniczne we własne ręce. Wkrótce po objęciu władzy przystąpił do energicznych kampanii we wszystkich kierunkach. Wyraźnie widocznym zamiarem było zmniejszenie napięcia i złagodzenie politycznej izolacji ZSRR.

Przed wszystkim Gorbaczow odrzucił czysto negatywne podejście, jakie od lat cechowało radziecką politykę zagraniczną. Jak gdyby zapominając o niedawnych pogroźkach i warunkach od których uzależniano wznowienie rozmów (wycofanie "eurorakiet", rezygnacja z amerykańskich projektów obrony kosmicznej itd.), pojechał do Genewy na spotkanie z Reaganem. Była to odważna decyzja. Podjął też rozmaite kroki w stosunku do Europy Zachodniej. Nawiązał rozmowy z Japonią i Chinami. Zainicjował wielką kampanię dyplomatyczną i propagandową w kwestiach rozbrojeniowych.

Zamiar był czytelny. Można się było domyślać, że Gorbaczow potrzebował sukcesu dyplomatycznego, który mógłby przedstawić na XXVII zjeździe jako dowód, że zerwał z dotychczasowym zastojem i negocją, że jego podejście już przynosi rezultaty, a światowa opinia publiczna wita nowe inicjatywy radzieckie z otwartymi rękami.

Jednak takiego dowodu zabrakło. W rzeczywistości kolejne inicjatywy dyplomatyczne Gorbaczowa albo w ogóle nie przynosiły rezultatu, albo bardzo ograniczony. Prezydent Reagan nie dał się nakłonić do rezygnacji z SDI (inicjatywy obrony strategicznej w kosmosie), tak więc wycofanie warunków wstępnych nie dało ZSRR korzyści. Nie mogło zresztą ich dać, bo przecież owe warunki nie stanowiły żadnej radzieckiej oferty, lecz były żądaniem ustępstw, do których prezydent nie jest skłonny. No, bo dlaczego miały być? Kalkulacje radzieckie nie sprawdziły się pod pewnym bardzo ważnym względem: twarde stanowisko Reagana bynajmniej nie naraziło go na trudności polityczne - ani w kraju, ani wśród sojuszników. Przeciwnie: umocniło go. Coś się na świecie najwyraźniej zmieniło, coś, do czego radzieckie przywództwo dotąd nie przywykło.

Nie dała też wyników wizyta Gorbaczowa w Paryżu. Była ona ryzykownym i chyba słabo przemyślanym posunięciem. Gdyby Gorbaczowowi udało się nakłonić Mitteranda do wywarcia nacisku na Reagana, wówczas pozycja Gorbaczowa na szczycie w Genewie byłaby oczywiście o wiele mocniejsza. Ale gdy to się nie udało - Gorbaczow znalazł się w Genewie w pozycji słabszej niż przedtem. Wizyta w Paryżu była więc swego rodzaju zagrożeniem pokerowym, które się nie powiodło. Ale świadczyła też o niezbyt dobrym rozeznananiu sytuacji.

Przez dwa do trzech tygodni wydawało się, że otwarcie w kierunku Japonii przyniosło pewne wyniki. Ogłoszono, że obie strony postanowiły podjąć rozmowy w sprawie zawarcia układu pokojowego. Sprawa ta była od wielu lat zablokowana japońskim żądaniem zwrotu czterech wysp Kurylskich oraz radziecką odmową prowadzenia na ten temat jakichkolwiek rozmów. Teraz więc wielu obserwatorów uznało, że skoro postanowiono rozpocząć rozmowy o układzie pokojowym, to albo Japonia odstąpiła od swych żądań (co jest nieprawdopodobne), albo ZSRR zgodził się w końcu rozmawiać na ten temat. Byłaby to wielka nowość. Zdzenia trwały krótko. Już po 10 dniach Moskwa oświadczyła, że nadal uważa iż sprawa wysp nie istnieje. Ale tym samym - czego już Moskwa nie powiedziała - przestała znów istnieć sprawa układu pokojowego, a także szerokiej współpracy japońskiej przy zagospodarowaniu Syberii. Efektami końcowym natomiast było to, że Japonia wyraziła zainteresowanie amerykańskimi propozycjami przystąpienia do prac nad SDI. A to było właśnie rzecz, której ZSRR pragnął uniknąć.

Niewiele też przyniosły rozmowy z Chińczykami. Wprawdzie zawarto pewne porozumienia handlowe i o współpracy technicznej, ale Chiny powtórzyły swoje warunki: wycofanie z Afganistanu, z Kambodży i Wietnamu, zmniejszenie

szczenie wojsk radzieckich na granicy. W praktyce więc wszystko pozostało bez zmiany.

W rezultacie tych niepowodzeń Gorbaczow nie miał na XXVII zjeździe niczego, co mógłby przedstawić jako sukces w dziedzinie polityki zagranicznej. Nie miał więc podstawy, na której mógłby oprzeć ewentualną wizję nowej polityki zagranicznej. Powszechną uwagę zwróciło, że na zjeździe nie ujawniła się żadna nowa idea, żadna nawet nowa myśl w tej dziedzinie. Nie mogąc powiedzieć niczego nowego (jak uczynił to swego czasu Chruszczow), Gorbaczow prawdopodobnie poczuł się zmuszony do odwrotu. Ten odwrót był bardzo wyraźny zarówno w argumentacji, jak i w języku.

Znowu - jak ze czasów Breżniewa, Andropowa i Czernienki - z sali zjazdu popłyną potok piętrowych epitetów o imperializmie i o tym, że Związkowi Radzieckiemu zagraża cały niemal świat, wszędzie bowiem krutę są spiski przeciw ojczyźnie światowego socjalizmu. Był to na nowo sztywny język stalinowskich dogmatów.

Wszyscy, którzy liczyli, że Gorbaczow, jeśli nawet nie wprowadził rzeczywistych zmian, to przynajmniej zmieni styl - musieli się poczuć rozczarowani. Jeżeli ktoś pragnie uzyskać sukcesy w stosunkach dyplomatycznych z Zachodem - musi brać pod uwagę zachodnią opinię publiczną. Jeśli zaś bierze ją pod uwagę, musi szczególnie dbać o język. Zrozumieć tej prostej prawdy nie potrafią, na przykład, Jeruzelski, Urban i Górnicki. Ale mniejsza z nimi. Nie potrafił się do tej prawdy dostosować również ich potężny mocodawca. Nie ulega wątpliwości, że język użyty na zjeździe rozwiął sporo złudzeń Zachodu w stosunku do Gorbaczowa. Bez wątpienia utrudnił mu to dalsze działania, wzmacniał natomiast argumenty, jakimi spoukazuje się Reagan.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego, mimo że Gorbaczow miał na początku pewien kapitał dobrej woli na Zachodzie (dość wyraźnie zauważalny w prasie), mimo że w porównaniu z poprzednimi stercami robił nappewno lepsze wrażenie i mimo że Zachód, podobnie jak Japonia, z pewnością chciałby odprężenia - dlaczego, mimo tego wszystkiego, nie udało mu się odnieść sukcesów? Podstawowa odpowiedź jest taka: dlatego, że czas płynie, świat się zmienia i zmienia się też układ sił. W porównaniu z sytuacją sprzed 10 lat Zachód jest dziś silniejszy i bardziej pewny siebie, a ZSRR słabszy. I to we wszystkich dziedzinach, gospodarczej, technicznej, naukowej, a także wojskowej, co zresztą wynika z poprzednich przyczyn. Ale ZSRR wciąż stawia takie żądania, jak przed 10 laty - jakby się nic nie zmieniło. Wciąż chce aby płacono mu ustępstwami za samą tylko zgodę na rozmowy. Tego zaś nie da się dzisiaj osiągnąć. Nikt nie pójdzie dziś bezinteresownie na rękę Związkowi Radzieckiemu.

Taka jest sytuacja kraju, któremu nikt nie ufa, który zawsze nadużywał siły i zawsze interpretował wszelkie porozumienia jednostronnie na swoją korzyść, który zawierał układy w złej wierze i łamał je, gdy mu przyszła na to ochota - a który jednocześnie słabnie. Dlaczego ktoś miałby dziś płacić Związkowi Radzieckiemu ustępstwami za samo podjęcie rokowań, kiedy wszyscy wiedzą, że Związek Radziecki musi rokować, bo nie ma innego wyjścia?

Druga odpowiedź jest taka: ZSRR wciąż nie dojrzał do uznania realiów i do rokowań zgodnych z wymogami rzeczywistości. We wszystkich sprawach, które omówiliśmy, ZSRR chciał wprowadzić rokować - ale tylko na własnych warunkach. Żeby Mitterand ograniczył swą niezależność nuklearną i poparł Gorbaczowa przeciw Reaganowi; żeby Reagan zrezygnował z SDI; żeby Japonia zrezygnowała z wyspi; żeby Chiny wyrzekły się swoich trzech warunków. W zamian za to ZSRR zechce z nimi rozmawiać. O czym? Nie wiadomo, ale pewnie o podpisaniu nowych układów, które zaproponuje ZSRR. Problem jednak w tym, że ZSRR nie ma środków, aby zmusić partnerów do takich ustępstw i takich rokowań. Dziś nie wystarczy już groźenie radzieckim niezadowolaniem i gniewem, nie wystarczają pogroźki "że w przeciwnym razie gwałtownie wzrośnie napięcie". Taka była dotychczasowa radziecka taktyka

dyplomatyczna. Ale dziś wszyscy już wiedzą, że jeśli ZSRR spowoduje wzrost napięcia, to będzie to miało katastrofalne skutki dla Związku Radzieckiego, a nie dla Zachodu. Wszyscy dokładnie przeanalizowali kulka lekcji z ostatnich lat, szczególnie historię rakiety europejskich i SDI. Wiedzą dziś, że są to czcze pogroźki. Wiedzą, że rozmów najbardziej potrzebuje właśnie ZSRR, a w przyszłości będzie ich potrzebował jeszcze bardziej. Oni mogą poczekać.

Można zapytać: czy Gorbaczow i kierownictwo radzieckie jeszcze nie zrozumieli sytuacji? Może nie imieści im się w głowie, że czas działa przeciw najbardziej postępowemu państwu świata? Może mają nadzieję, że wystarczy trochę poczekać, aż znowu nastąpi lepsza dla nich koniunktura? Na pewno wielu aparaczyków partyjnych tak właśnie myśli, bo nie mogą pogodzić się z utratą dawnych złudzeń i nawyków myślowych, z rozwianiem się dotychczasowych snów o nieograniczonej potęgze. Ale nie dotyczy to chyba samego Gorbaczowa. W jednym z przemówień przed zjazdem powiedział: "Stawką dzisiaj jest to, czy Związek Radziecki będzie mógł wkroczyć w nowe milenium w sposób godny wielkiego i pomyślnie rozwijającego się mocarstwa... Bez ciężkiej pracy i całkowitego poświęcenia każdego z nas nie będzie możliwe zachowanie, nawet tego, co już osiągnęliśmy".

Wynika z tego, że Gorbaczow zdaje sobie sprawę z wysokości stawki. Lecz jeśli tak, to wynika z tego następny wniosek: wciąż nie ma on dość władzy i nie czuje się dostatecznie pewnie, by zaoferować przeciwnikom prawdziwe rokowania oparte na rzeczywistym uznaniu realiów. To znaczy takie rokowania, w których ZSRR byłby gotów uznać również i cudze interesy, po wyjściu na daleko sięgające ustępstwa. Zapłacić wysoką cenę za to, czego pragnie i co musi kupić.

Trzeba by wtedy nie tylko wycofać się z Afganistanu (nie bacząc na utratę twarzy), lecz i przywrócić się na nowo porządkowi w Europie. Trzeba by zrezygnować z wysp Kurylskich i przestać zakładać bazy na tyłach Chin-czyków w Wietnamie. Trzeba by postarać się o umocnienie zaufania międzynarodowego, otworzyć kraj, wyzwolić się z maniakalnej obsesji tajemnic państwowych, dopuścić pewien stopień kontroli międzynarodowej. Z pewnością nikt nie będzie się domagał od ZSRR jednostronnego rozbrojenia, ale z pewnością nikt też nie zaakceptuje tego, by ZSRR był jedynym krajem, którego nie obowiązują prawa obowiązujące resztę społeczeństwa na świecie. Kraj, który wbrew podpisanym przez siebie układom buduje elektrownie atomowe pozbawione niezbędnych zabezpieczeń, nie może twierdzić, że to jest jego sprawa wewnętrzna i nie możliwościyczyć na zaufanie. Mówiąc ściśle: może tak twierdzić i liczyć, ale nie może do tego przekonać innych, ani odnieść sukcesów dyplomatycznych.

Czy jednak jakikolwiek przywódca radziecki może pogodzić się z taką wizją i podjąć niezbędne działania? Wydaje się to dzisiaj nieprawdopodobne. Wszak ZSRR przestałby wtedy być sobą. Zmieniłby się w normalne państwo. A państwo normalne nie może być jednocześnie totalitarnym państwem monopartyjnym. Wątpliwe, czy Gorbaczowa stać na rozpoczęcie demontażu tego systemu, takiego demontażu, jaki zapoczątkował Franco w Hiszpanii.

Sądzić można raczej, że nikt na Kremlu, nawet gdyby rozumiał taką potrzebę, nie będzie w stanie zrealizować koniecznych decyzji. Dlatego najprawdopodobniej nadal będzie tak, jak jest: reformy ograniczą się do "udoskonalenia", zainteresowanie pracą pobudzać się będzie karami i apelami, a zamiast dalekowzrocznej polityki zagranicznej uprawiane będą działania propagandowe mające na celu odwiecznienie decyzji. I tak jeszcze przez dłuższy czas.

Wynikiem tego będzie przyszła utrata przez ZSRR pozycji wielkiego mocarstwa. Kraj stanie się anachroniczną oazą zacofania. Przyjdzie mu za to zapłacić gorzką cenę. Niech nikt nie sądzi, że oto roztaczam tu wizję na pozór katastroficzną, lecz w gruncie rzeczy przepojoną optymizmem. Tak nie jest. Jeżeli na pokładzie "Titanica" znajdował się pasażer, który nie lubił ka-

pitana i uważał, że kapitan uprawia złą nawigację (co okazało się prawdą), to jednak gdy dno parowca zaczęło przeciekać, dla owego pasażera żadna otucha i żaden optymizm z tego nie wypływał. Ctdąd bowiem nie było ważne, kto miał rację, tylko jak się z "Titanica" uratować.

Oto jest właśnie główne pytanie. Kończę ten artykuł wśród wiadomości, że na Warszawę pada radioaktywny deszcz. Patrząc przez okno pełen współczucia dla Gorbaczowa. Nikt na świecie nie stoi przed trudniejszym i coraz bardziej chyba beznadziejnym zadaniem. Historia czernobylska i sposób, w jaki władze radzieckie zdecydowały się ją potraktować, stanowi dla niego ciężką klęskę polityczną. Być może on sam tutaj zawinił. Ale skutek będzie taki, że ogólna nieufność i niechęć do ZSRR wzrosnie i to najbardziej w tych, ostatnich już, kręgach na Zachodzie, gdzie tkli się jeszcze jakieś resztki złudzeń: wśród pacyfistów, obrońców środowiska naturalnego, wśród poczciwych ludzi nade wszystko obawiających się wojny i bomby.

Gorbaczow stoi przed problemami właściwie nie do rozwiązania. Sprawa czernobylska zniszczyła wszystkie pozory, jakie próbował stworzyć. Spoza uśmiechu sekretarza generalnego negle wynynęła nieludzka twarz tego systemu, jego całkowita pogarda dla życia i zdrowia ludzkiego, jego instynktowna, silniejsza niż wszelkie względy polityczne, nieprzeparta dążność, by wszystko, co dla niego niekorzystne, ukryć, zatrzeć, sfalszować i skłamać. Koszta opadów z Czernobyla będą dla ZSRR w polityce międzynarodowej ogromne, o wiele większe i bardziej długotrwałe niż te, które spowodowała sprawa samolotu koreańskiego. Choć brzmi to przygnębiająco - taka jest prawda: tamta sprawa dotyczyła głównie dwustu sześćdziesięciu pasażerów i ich rodzin, w większości Koreańczyków i Japończyków. Ta sprawa dotyczy wszystkich, a szczególnie Europejczyków. Dla opinii europejskiej stanowi to (niesłoty) różnicę.

Za jednym zamachem Gorbaczow stracił wszystko, co starał się uzyskać w oczach tejże zachodnioeuropejskiej opinii publicznej. Dziś może się pożegnać z ulubionymi pomysłami radzieckiej dyplomacji: osłabieniem NATO, wbiciem klina między USA a ich europejskich sojuszników. Biedny Gorbaczow.

Oczywiście nie musimy martwić się jego losem. Ale deszcz pada w Warszawie.

Karol Grodkowski

## CO PO XXVII ZJEŹDZIE KPZR

Najgroźniejszą pułapką czekającą na sowietologów wszelkich odmian jest ich - centryzm: polonocentryzm, europocentryzm czy też amerykanocentryzm. Nie chodzi mi tu o patrzeć przez pryzmat interesów własnego kraju czy narodu, to normalne. Chodzi mi o patrzeć przez własne okulary i sądzić według własnych doświadczeń. A to już jest nienormalne, a przy tym najczęściej wypływające ze zwykłego Chciejstwa. Był taki stary, jeszcze z lat dwudziestych, dowcip radziecki o Rabinowiczu, który złapał wsparcia posadę: miał mianowicie wchodzić na wieże Kremla i wypatrywać nadchodzącej rewolucji światowej. Wydaje się, że dziś nie mało ludzi w Polsce trudni się wypatrywaniem szybkiego upadku Związku Radzieckiego. Jest to posada równie dobra, jak ta Rabinowicza. I zajęcie trwające już od 70 niemal lat. Z miernym skutkiem.

Próba analizy znaczenia przyjścia Gorbaczowa i XXVII zjazdu partii radzieckiej, musi sprowadzać się do odpowiedzi na pięć podstawowych pytań, z których każde dzieli się na krocie innych.

- Co oznacza dla imperialnej polityki Związku Radzieckiego dziś i w przewidywanej przyszłości;
- Co oznacza dla układów władzy;
- Co oznacza dla społeczeństwa radzieckiego;
- Co oznacza dla świata - Europy Zachodniej, Ameryki, III świata;
- Co oznacza dla Polski.

Nie wiem czy jest ktoś, kto potrafi odpowiedzieć na wszystkie te pytania. Je - nie. Mogą tylko potusić się o naszkicowanie pewnych wątków, aby przynajmniej usystematyzować problematykę.

Polityka radziecka od końca II wojny światowej była, w zasadzie, defensywna. Z wyjątkiem, szybko poniechanej przez Stalina, próby opanowania perskiego Azerbejdżanu i blokady Berlina, koncentrowała się ona na wchłonięciu i strawieniu ogromnego imperium satelickiego, zdobytego przez Armię Czerwoną. Poza tym polityka ta przy wydatnej pomocy nauki musiała szybko nadrobić techniczno-wojskowy awantaz amerykańskiej bomby atomowej.

Słotek Stalina niewiele zależało. Pozwolił sobie wprowadzić Chruszczowowi kilka bardziej swobodnych przedsięwzięć (najbardziej ryzykowny był transport rakiet na Kubę), ale główne kierunki agresji militarnej, czy politycznej znajdowały się, aż do końca lat siedemdziesiątych, wewnątrz obozu. Aż też na jego socjalistycznych okolicznościach (Węgry, Czechośłowacja, polityczna wojna z Chinami, Jugosławia, Albania itp.).

Zasadniczą zmianę wprowadziła dopiero

inwazja Afganistanu.

Nie wiem czy ktoś zna pełną odpowiedź na pytanie: dlaczego popamiętany został ten bezsensowny krok? Afganistan od samego początku był przyjazny wobec ZSRR (był to pierwszy kraj, który uznał rząd Rosji po Rewolucji Październikowej). Poza tym jak wiadomo z każdego podręcznika historii, jest to kraj najmniej nadający się do podboju, o czym przez cały niemal XIX wiek przekonywali się, krwawym kosztem, Anglicy. Być może radziecki kompleks wojskowo-przemysłowy, wykorzystując słabość starszej ekipy Breżniewa i jej nieruchawość, postanowił jednym uderzeniem zbliżyć się o setki kilometrów do Zatoki Perskiej, co po obaleniu szacha mogło się wydawać strategicznie ważne. Jeśli tak było, świadczy to tylko o tym, że wojskowi, w każdym systemie i pod każdą szerokością geograficzną, nie nadają się do prowadzenia polityki.

Wkładem tym razem agresja na Afganistan bardzo poważnie nadwyżyła opinię ZSRR, jako wiernego sprzymierzeńca Trzeciego Świata, obrońcy narodów muzulmańskich etc. Symptomatyczne, że jedyne głosowania w ONZ w ostatnich latach, które skupiły większość przeciwko ZSRR, odbyły się nad problemami Afganistanu i Kambodży; w obu wypadkach dotyczyły radzieckiej agresji wojskowej bezpośrednio lub przez zaprzyjeźnione wojska wietnamskie.

Od tego czasu datuje się szybki spadek komunistycznych wpływów w Europie Zachodniej, którego nie spowodowały ani Węgry w 1956 r., ani Czechosłowacja 1968. Od tego czasu narasta gwałtownie antysowietyzm w krajach zachodnich, a propaganda na temat agresywności polityki radzieckiej zdobywa szeroki posłuch w kołach dotychczas na toodpornych.

To właśnie Afganistan, a nie zdławienie Solidarności, w którym bezpośrednio Moskwa nie uczestniczyła, spowodował znaczne przesunięcia opinii światowej, wbrew temu, co skłonna jest sądzić większość zapał, we własny pępek rodeków. Dopiero na tym tle może Reagan wykorzystać sytuację i asymilować w opinii światowej sytuację w Angoli czy Nikaragui - ktę przesyła autentyczną i autonomiczną rewolucję - z Afganistanem, który stał się obiektem ordynarnej wojskowej agresji.

Nie ulega wątpliwości, że Gorbaczow zdaje sobie sprawę z tej sytuacji. Świadczy o tym choćby ton i język, którego się używa (mowa jest np. o "tragedii afgańskiej", a nie tylko o "bandach kontrewolucjonistów"). Nie ulega wątpliwości, że chciałby się wypłatać z tej maśni, tylko nikt mu tego nie chce ułatwić. Bo i po co? Dla USA jest to grałka nielada - podobna do tej, jaką miało Moskwę, kiedy Ameryka była wplątana w bezradziejną wojnę w Wietnamie. (Być może częściowa odstawka Karmela jest początkiem jakiegoś zwrotu).

Widać także pewną intensyfikację wysiłków na froncie kambodżańskim, chociaż autonomia działań Wietnamczyków jest tam o wiele większa, niż się na ogół sądzi. Wydaje się pewne, że Moskwa wywiera nacisk na Hanoi, by znaleźć jakieś modus vivendi z opozycją kambodżańską - tak, by zyskać oprobatę Chin. Usunięcie bowiem konfliktów w Afganistanie i w Kambodży - to podstawowe warunki porozumienia Chin z ZSRR, na czym, jak się wydaje, Gorbaczowowi bardzo zależy.

Oprócz tych działań, na razie mało widocznych, na tych dwóch frontach, Gorbaczow rozwija szeroką zakrojoną ofensywę pokojową, przede wszystkim w dziedzinie rozbrojenia. Jak dotychczas nie osiągnął on wiele na głównym kierunku natarcia - USA. Reagan, jak widać, skłonny jest do różnych gestów i drugorzędnych, czy trzeciorzędnych porozumień (wymiana naukowa, komunikacja, spotkania na szczytach etc.), nie zamierza natomiast ani o krok ustąpić w sprawie zbrojeń.

Trudno jednak ocenić jakie efekty ofensywa ta przyniesie na dłuższą metę. Z jednej strony doktryna amerykańska odmawiająca ZSRR statusu wielkiego supermocarstwa, z wyjątkiem dziedziny wojskowej, zmierzać musi do przewagi militarnej, aby zepchnąć Związek Radziecki z zajmowanej pozycji

równowagi. Z drugiej strony ta uporzycza ofensywa nie pozostaje bez wpływu na opinię publiczną Zachodu (nawet zresztą w Stanach Zjednoczonych). Rozwiaz między 70% Amerykanów, którzy poparli rajdy na Libię, a 70% obywateli RFN, którzy skrytykowali je - jest nader wymowny. Podobnie zresztą jak wzrost nastrojów neutralistycznych w łonie socjaldemokratycznej opozycji w RFN, czy Wielkiej Brytanii, a także zachowanie się - właśnie przy okazji Libii - rządów w Paryżu i Atenach.

Trudno więc teraz przesądzić, czy uda się Gorbaczowowi zmusić USA do jakichś decyzji w dziedzinie redukcji zbrojeń lub też, czy uda mu się pogłębić sprzeczności między Europą Zachodnią a Stanami Zjednoczonymi, czy też on sam stanie się ofiarą niepowodzeń w polityce zagranicznej, które będą być może głównym argumentem przeciwników. Do tych ostatnich, jak się wydaje, zaliczyć trzeba dużą część starszego establishmentu wojskowego oraz aparatu partyjnego - o czym jeszcze będzie mowa.

Reasumując więc należy stwierdzić: Gorbaczow stawia na koegzystencję i gotów jest zapłacić za to poważną cenę, w tym w Afganistanie, czy Kambodży, nie tracąc z oczu głównego celu, jakim jest porozumienie z USA. (nie nadarmo wieloletni ambasador w Waszyngtonie Dobrynin został sekretarzem KC ds. zagranicznych). Stawia on na pozyskanie sympatii Europy zachodniej, pokazując się jako przywódca dążącego za wszelką cenę do pokoju wielkiego mocarstwa, oferującego bardzo korzystne rynki wymiany handlowej i innej. Nadal przedstawia się on jako jedyny przywódca wielkiego mocarstwa, który bez zastrzeżeń i przyjmuje linię arabską w konflikcie palestyńskim. Jeszcze jedna czy dwie takie "wizyty" czy równoczesnym radzieckim disengagement w Afganistanie - a Gorbaczow publicznie gotowa będzie dokonać revirement. Na to liczy i ku temu wydaje zmierza Gorbaczow.

co to oznacza

dla układów władzy w ZSRR?

Ale - co to jest właściwie ta władza? Możemy się tu pokusić co najwyżej o najbardziej szkiecowe ujęcie. Z około 280 milionów mieszkańców ZSRR nieco ponad 50% ciągle jeszcze stanowią Rosjanie, przy tendencji malejącej tego wskaźnika, ale ich udział w establishmentie rządzącym sięga 80-90%. Jedną piątą ludności zatrudniona jest "poza sferą produkcji materialnej". Sądzę, że należy to podzielić na potów usługi i różne aparaty władzy. Liczba ta pokrywa się z danymi ukazującymi około 20 milionów członków partii, stanowiących przytaczającą większość czterech podstawowych aparatów partyjnego, wojskowego, policyjnego i nomenklatury gospodarczej.

Z tych czterech aparatów wyłania się ścisła czołówka władzy, przy czym nie wygląda to tak, że gdzieś przy lampie naftowej zbiera się grupa spiskowców, która kreuje wodza. Selekcja jest tu procesem znacznie bardziej skomplikowanym, choć trudno przejrzystym w warunkach pełnej tajności.

W KPZR nie ma dziś wprawdzie politycznie zróżnicowanych frakcji, ale są, jak w każdym większym organizmie politycznym, grupy nacisku i lobbie's zorganizowane na różnej bazie: szeroko zawodowej, wąsko profesjonalnej (np. tzw. stałozercy sprzymierzeni na ogół z wojskiem), terytorialnej (znane grupy z Dniepropietrowska Breżniewa i inne, a obecnie wielu ludzi Gorbaczowa wywodzi się z północnego Kaukazu, jak on sam). Są również grupy skupione wokół i kiejś wybitnej osobowości, jakiego lokalnego kacyka czy też dysponującego odpowiednim prestiżem i poparciem starszego merszałki itp. Istnieje poza tym podział generacyjny: ponad dwa dziesięciolecia gerontokracji i zastojów zablokowały awansu całego pokolenia młodych oficerów i inżynierów, działaczy partyjnych i państwowych, polityków i dyrektorów kółchozu. Każdy pretendent do tronu musi więc w tych warunkach budować swoją machinę polityczną i zdobywać poparcie nie tylko mecenasa od góry (u Gorbaczowa był to Andropow, który go "przyuważał" na Kaukazie, w Stavropolu), ale i poszczególnych pressure groups u dołu. Tylko w ten sposób wyłoniony być może sekretarz generalny, który musi dać się poznać różnym grupom, zabiegać o

ich poparcia, a więc

Wydaje mi się, że wybór Gorbaczowa był już zdecydowany za życia Andropowa. Jednakże dość nagła choroba i śmierć tego oślatniego spowodowała osunięcie inwestytury Gorbaczowa i objęcie - jak mi się wydaje, za zgodą Gorbaczowa - stolca genseka przez Czernienkę. Była to pozycja wygodna dla Gorbaczowa, dawała możliwość rządzenia zza kulis, jako szerego eminencji, przy formalnie sprawującym władzę, ale ciągłe chorym i nieobecny Czernienko. Być może dzięki temu starannemu przygotowaniu Gorbaczow potrzebował mniej niż roku dla obsadzenia wszystkich stanowisk i zdobycia niemal pełni władzy. Mógł się oprzeć na kilku elementach. Przede wszystkim jednym z przegrywających jest aparat wojskowy. Awantura afgańska, afera z samolotem koreańskim, klapa z rozmieszczeniem SS20 w Europie - wszystko to to znacznie osłabiło pozycję starych marszałków, którzy ze czasów Breżniewa pod osłoną Ustinowa mieli się jak państwo w państwie. Skorzystał z ich osłabienia Gorbaczow, mając zapewne również poparcie młodszej i średniej kadry oficerskiej, lepiej wykształconej, a więc więcej myślącej o obecnym odstawianiu ZSRR, niż upajającej się samozadowoleniem z powodu zwycięstwa odniesionego 40 lat temu. W efekcie, po raz pierwszy od dziesięcioleci w Biurze Politycznym nie ma ani jednego wojskowego, jest tylko zastępca członka, wiekowy marszałek Sokolow, który niewątpliwie jest kandydatem przejściowym, aż Gorbaczow znajdzie własnych ludzi, których wojsko będzie mogło zaakceptować. Za błędy awanturnictwa zapłacili już ci, którzy nie umarli śmiercią naturalną: marszałek Ogarkow, admirał Gorszkow i inni.

Przy analizie składu władz centralnych KPZR po XXVII zjeździe uderzają, poza osłabieniem pozycji armii dwa spostrzeżenia: po pierwsze - aż 1/3 członków Biura Politycznego powiązanych jest lub było z policją (Czerbikow, szef bezpieczeństwa oraz Gejdar Alijew, I wicepremier, były szef bezpieczeństwa w Azerbejdżanie i minister spraw zagranicznych Szewardnadze, były szef bezpieczeństwa w Gruzji). Takiego zagęszczenia nigdy jeszcze nie było i świadczy to dobitnie o tym, który z czterech aparatów był (jest) główną podporą Gorbaczowa. Po drugie - całkowite niemal zniknięcie ideologów od "marksizmu-leninizmu" jak mówią na Śląsku. W skład ścisłego kierownictwa, obejmującego 26 osób, wchodzi przede wszystkim technokraci i fachowcy, przy czym cała ta ekipa uległa radykalnemu odmłodzeniu, zwłaszcza jej rosyjska część - 19 Rosjan tylko Gromyko i szef kontroli partyjnej Sołomiencaw oraz marszałek Sokolow mają powyżej 70 lat). Poza reprezentacją terytorialną aparatu partyjnego (I sekretarze Kazachstanu, Ukrainy, Moskwy i Białorusi) jedyne dwa lobby, to technokraci i grupa o prowienienności policyjnej. Jak wideć dla speców od ideologii zabrakło miejsca w BP, a jest ich w sumie tylko 3 w pozostałych gremiach (Diemiczew, Miedwiediew, Zimianin).

Czy jest to już ostateczna ekipa, rządząca pod wodzą Gorbaczowa, pokaże przyszłość. W każdym razie jej skład wskazuje na to, jakimi drogami szedł proces selekcji, na kim opiera się nowy szef partii i na kogo liczy w realizacji postawionych celów.

Co to wszystko oznacza

dla społeczeństwa radzieckiego,

dla jego rozwoju i przyszłości? Główny zarzut, z jakim spotyka się Gorbaczow ze strony krytyków na Zachodzie jest taki, że w jego wystąpieniu brak elementów zasadniczej reformy systemu, a bez tego niepodobna wyobrazić sobie jakiegokolwiek postępu w ZSRR.

W tym wyraża się może najpełniej postawiony na wstępie zarzut - centrizmu, czyli przymierzania do Związku Radzieckiego własnych kryteriów oceny. Cióż nie sądzę, aby Gorbaczow w ogóle widział potrzebę zmian systemowych, jeżeli rozumiemy przez nie odejście od reżimu monopartii. Co więcej, nie wydaje mi się, aby za tego typu daleko idącymi reformami stały jakiegokolwiek



znaczniejsze siły w ZSRR. Pozostaje więc problem co da się zrobić w ramach systemu, jakimi rezerwami dysponuje ZSRR, aby odrobić przynajmniej część opóźnienia i wyjść z kryzysu stagnacji, w którym znalazł się w breniowskiem bezruchu?

Nie miejsce tu na analizę gospodarczej części XXVII zjazdu. Zwłaszcza, że roi się ona odprzyszczeń i zapowiedzi budzących sceptycyzm (np. dążenie do osiągnięcia niezwykle szybkiego tempa wzrostu niemal wyłącznie przez zwiększenie wydajności pracy, co wydaje się utopią). Nie wchodzi o jednak w szczególności wydaje mi się konieczne podkreślić, że rezerwy rozwojowe ZSRR w ramach panującego systemu są dostatecznie duże, aby Gorbaczow mógł za kilka lat, pochwalić się poważnymi sukcesami.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład. ZSRR produkuje na głowę ludności niewiele mniej zboża (oprócz kukurydzy) niż Stary Zjednoczony - oczywiście globalnie a nie na 1 ha. A jednak od wielu już lat USA jest wielkim eksporterem zboża, a ZSRR - importerem, przy czym import sięga niekiedy dziesiątków milionów ton. Dlaczego? Jeżeli wierzyć dyskusji i referatowi na XXVII zjeździe, nigdzie chyba na świecie nie ma takiego marnotrawstwa, jak w Związku Radzieckim. Sięga ono 1/5 - 1/4 plonów. Złe organizowane zbiory, fatalny transport, masowe rozkładanie, brak właściwych możliwości przechowywania, itp. - wszystko to razem powoduje, że współczynnik wykorzystania wyprodukowanego zboża w ZSRR jest znacznie niższy, niż w USA. A w ostatecznym rachunku to, a nie abstrakcyjny zbiór decyduje o poziomie zaspokojenia potrzeb.

Weźmy inny przykład: zapowiedziana w referacie możliwość wydzierżawienia poszczególnym rodzinom kołchoźników ziemi dla rodzinnej gospodarki. Jak wiadomo podobne systemy istnieją w krajach demokracji ludowej. W NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech dają rezultaty na tyle dobre, że wszystkie te kraje mimo kolektywizacji, stoją rolniczo bardzo dobrze, mają średnią wydajność niewiele niższą, niż najbardziej rozwinięte kraje zachodnie i nie muszą co roku importować wielkich ilości zboża.

System radziecki jest zresztą bardziej "zasznurowany" i openczerzony magią tajności ze wszystkich odmian "realnego socjalizmu" Zdjęcie, choćby częściowe, tego gorsetu, ułatwienie przepływu informacji naukowej i technicznej i szereg posunięć, choćby tego typu, już może dać znaczne efekty, bez naruszenia tego, co dla Gorbaczowa zapewne także jest tabu: monopolu władzy partii.

Oznacza to, że społeczeństwo radzieckie może spodziewać się w najbliższych latach jakiegoś wzrostu poziomu życia, lepszego zaopatrzenia, polepszenia - być może - infrastruktury państwowej, czyli po prostu lepszego funkcjonowanie całego systemu. To wszystko, powtarzam, można uzyskać nie zmieniając przecież reżimu. A przy tym, wbrew temu, co sądzi wielu, społeczeństwo radzieckie, a w każdym razie jego rosyjska większość, na ogół akceptuje tę władzę, choć nie zawsze jest zadowolona z jej posunięć. Nie ma ono - w przeciwieństwie do krajów demokracji ludowej - uczucia straconej suwerenności i narzuconego z zewnątrz reżimu. Ma natomiast dumę z wygrania najstraszliwszej w dziejach wojny, powiększenia imperium do obszaru nigdy nie znanego, rozciągnięcia wpływów tego imperium na wszystkie kontynenty i oceany.

Ten czynnik motywacyjny - duma nacjonalistyczna czy imperialistyczna - bywa na ogół niedoceniany przez wszelkiego rodzaju sowiologów. A jest to niewątpliwie w rachubach Gorbaczowa czynnik poważny, jeżeli wziąć pod uwagę język, którego używa, a który zawiera szereg określeń mających na celu zawstydzenie społeczeństwa i skłonienie go do lepszej pracy (stagnacja, dryfowanie etc).

By użyć drastycznego porównania, najlepiej chyba oddającego stopień identyfikacji społeczeństwa radzieckiego z władzą, gdyby w ZSRR przeprowa-

dzono najbardziej wolne z wolnych wyborów, to dysydenci zdobyliby jeszcze mniej głosów, niż zdsbyweją na Zachodzie najbardziej dogmatyczne i promoskiewskie partie komunistyczne, jak np. w Austrii czy RFN. Można nad tym ubolewać, nie należy jednak własnych życzeń identyfikować z radziecką rzeczywistością.

Wydaje się więc, że Gorbaczow może liczyć na poparcie dużej części społeczeństwa radzieckiego, zwłaszcza że unika on posunięć brutalnych, mnożących wrogów, jakże stosował Chruszczow i że po latach zastoju jest nareszcie ktoś, kto budzi nadzieje.

Ale, oczywiście, znova pozostają pytanie zasadnicze: jeżeli ZSRR będzie musiał poświęcić coraz znacniejszą część dochodu narodowego na zbrojenia, jak władzy zareaguje na to społeczeństwo? Nie należy chyba oczekiwać masowych buntów i protestów, jak w Polsce, możliwe natomiast byłoby wówczas poważne przesunięcie w tonie establishmentu w stronę rzeczników starego stylu, obecnie odsuniętych, ale usuniętych w sposób nieporównanie bardziej humanitarny, niż za czasów Breżniewa. Czyli - nastąpić mogłoby powtórzenie "operacji Chruszczow": odsunięcie od władzy sekretarza generalnego.

#### W optyce światowej

ZSRR Gorbaczowa po XXVII zjeździe wygląda różnie, w zależności od "punktu siedzenia". Jeśli, jak się wydaje, kurs polityki waszyngtońskiej nastawiony jest na konfrontację (oczywiście nie wojenną), a nie na koegzystencję - to pojawienie się elementów nowego stylu w polityce radzieckiej budzi tzw. mieszane uczucia. Z jednej strony potrzeba ciągłego mówienia "nie", ciągłego odrzucenia kolejnych inicjatyw radzieckich w dziedzinie rozbrojenia, podważa wiarygodność USA w oczach opinii europejskiej, a być może nawet - pewnej części opinii amerykańskiej (więcej o tym będziemy wiedzieli po jesiennych wyborach do Kongresu w 1986 r.). Z drugiej strony, jak się wydaje, umocnił się w Stanach Zjednoczonych kierowiczy trzon obecnej ekipy, złożony z grup wywodzących się z nowych przemysłów - elektroniki, jądrowego etc. - i z geograficznie nowych terenów (zachód i południe, w miejsce tradycyjnego północnego wschodu). Przedstawicielem najbardziej wybitnym tych grup jest sekretarz obrony Gaspar Weinberger. Tezy tych grup dominują w polityce. Z tego punktu widzenia, właśnie teraz jest najbardziej dogodna chwila, aby w stosunkowo niedługim czasie wyeliminować ZSRR jako równorzędne supermocarstwo. Wydaje mi się, że każdy sukces Gorbaczowa w dziedzinie usprawnienia funkcjonowania systemu radzieckiego odczuty zostałby przez te grupy jako porażka; każde zaś niepowodzenie radzieckie przyjmowane jest jako sukces. Analizuje się więc uważnie w Waszyngtonie, co naprawdę piszczy w moskiewskiej trawie i ma się nadzieję, że nic poza brzękiem padających słów.

Europa zachodnia jest, z grubsza mówiąc, w innej sytuacji: nastawiona raczej na koegzystencję niż na konfrontację, chciałaby dojść do jakiegoś modus vivendi ze Związkiem Radzieckim, nie rezygnując zarazem i z nuklearnego parasola amerykańskiego, i ze szczególnych więzów transatlantyckich wewnątrz NATO i poza nim. Tu Gorbaczow przyjęty został na ogół z pewną przychylnością - nawet w konserwatywnej Wielkiej Brytanii, najbardziej pro-radzieckiej z krajów europejskich. Ale tu też ZSRR ma najwięcej do stracenia. Ofensywa pokojowa, nie poparta żadnymi faktami, staje się ofensywą propagandową. Jeżeli dodać do tego nowe, już wspomniane przez Gorbaczowa władzy, co naprawdę okazać się mało pozytywne. Takim błędem na dużą skalę była sprawa elektrowni jądrowej w Czernobylu.

Wrzascie - Trzeci Świat. Tu jeszcze, mimo Afganistanu, zachowało się stosunkowo najwięcej radzieckich wpływów. Po pierwsze dlatego, że od początku ZSRR zajmował stałe stanowisko przeciwko mocarstwom kolonialnym i wspomagał różne ruchy narodowe w tych koloniach. Po drugie dlatego, że w różnych sprawach wywołujących konflikty między "kolorowymi" kontynen-

tami, a "białymi" mocarstwami, Związek Radziecki - już po dekolonizacji - stał po stronie tych pierwszych.

Nie jest przy tym ważne, że motywem takiego działania, od dziesiąt lat nie jest żadna ideologia, lecz po prostu interes imperialny wymagający ustanowienia przyczółków gdzie się tylko da. Obiektywnie rzecz biorąc, wychodziło to na korzyść ruchów antykolonialnych, tak jak na korzyść niepodległości bułgarskiej zagrały działania wojenne prowadzone przez tych samych generałów carskich, którzy zdiawili powstanie styczniowe. Klasycznym przykładem jest choćby konflikt na Bliskim Wschodzie, w którym ZSRR popierała stałe stronę arabską, zyskując sympatię bardziej radykalnych rządów i neutralną przychylność - innych.

Trzeba zresztą przyznać, że w tym Trzecim Świecie ZSRR ciągle jeszcze ma duże szanse - również dzięki niezręczności mocarstw zachodnich. Obsesja Reagana na temat Ameryki Środkowej, czy też współpraca z Republiką Południowej Afryki przeciwko Angoli i Mozambikowi, to posunięcia wzmagające nastroje antyamerykańskie w Trzecim Świecie, a tym samym sprzyjające wzrostowi wpływów radzieckich.

Czy to wszystko

dla nas

jest dobre czy złe? Nie łatwo dać na to pytanie odpowiedź jednoznaczna i prostą. Ale spróbujmy ustalić przynajmniej kilka faktów. Czego Polska może spodziewać się w razie konfliktu międzynarodowego? Na pewno wielkich zniszczeń, niepewnego rezultatu, jeszcze mniej pewnego całkowitego uwolnienia się. Możliwość nacisku na ZSRR, by dał Polsce większą swobodę, są także ograniczone. Wyjść z Polski nie może, bo zaprzepeszczyłby główne zyski z II wojny światowej; zaś rozluźnić obręcz Moskwa mogłaby tylko wtedy, kiedy byłaby pewna, że na puste - lub bardziej puste - miejsce nie wdrze się inne, wrogie jej mocarstwo. To z kolei wymaga lepszych, a nie gorszych stosunków między mocarstwami, koegzystencji a nie konfrontacji. Wiem, że to co piszę, jest niepopularne, i że wielu naszych rodaków sądzi wręcz odwrotnie, ale wishful thinking jest bardzo złą szkołą polityczną, a złudzeniami Polaków na temat wyzwoleńczej pomocy z zewnątrz, na przestrzeni dwustu niemal z górą lat, możnaby wybrukować drogę aż do innej galaktyki.

Wynika stąd kilka prawd oczywistych: nikt w dającym się przewidzieć czasie, nie wymorduje ponad 200 milionów Rosjan, Ukraińców i Białorusinów; nie ma żadnych szans na ewentualne powstanie demokratycznego, antyimperialistycznego, cofniętego za Ural organizmu państwowego, na miejsce obecnego ZSRR; wobec tego na długo jesteśmy skazani na to sąsiedztwo i t a k i e sąsiedztwo. Ale w ramach tego sąsiedztwa mamy do wyboru albo wersję stalinowską, albo - być może - wersję znacznie lepszą i miłszą. Czy istnieje taka możliwość i czy możemy coś w tym kierunku zdziałać? Oto dylemat. Oto pytanie.

Pisze gdzieś w jednym z listów Norwid, że tak jak Rosja ma swoją partię w Polsce, tak Polacy powinni śmieć swoją partię w Moskwie. Na pozór to utopia. Przy tym układzie sił i w tych warunkach nie wydaje się to Moskwie potrzebne. Ale, czy to bardziej utopijne, niż np. powstanie z barykadami? Czy nie warto się zastanowić nad sytuacją, kiedy możnaby zainteresować jakiegoś koła radzieckie propozycją takich akomodacji, które dałyby ZS strategiczną ułność, a Polsce znacznie więcej swobody? I czy do tego celu nie nadawałby się bardziej oświecony absolutyzm, który zapewne będzie dziełem Gorbaczowa, od prymitywnego, XIX-wiecznego, zamordyzmu jego poprzedników? Nie wiem, być może, że taka szansa istnieje. No, ale to temat do zupełnie innych rozważań, a tu tylko sygnalizujemy go w wielkim skrócie.

Równie dobrze może być zresztą wręcz odwrotnie; brak sukcesów w polityce zagranicznej może tylko wzmocnić nieufność Moskwy wobec satelitów,

w pierwszym rządzie wobec Polski, tak często buntującej się. Wobec tego, by móc przeprowadzić przynajmniej minimum reform w kierunku modernizacji gospodarki, potrzebne może być wzmocnienie dyscypliny na okrainach imperium, aby nie płynęły stąd "mieszmaty" i aby nie wybuchła nagle konieczność interwencji zbrojnej. I w jednym i w drugim wypadku rozwój wydarzeń w Polsce stanowi nie jakiś autonomiczny proces, lecz część ewolucji całego systemu.

Polepszenie więc lub pogorszenie sytuacji w Polsce zależy nie tylko od samych Polaków, ale zarówno od np. jakiejś fali pokojowej koegzystencji, jak i od wydarzeń wewnętrznych w Związku Radzieckim. A może być i tak, że dla władców Kremla kraje "realnego socjalizmu" mogą być wygodnym poligonem doświadczalnym zasięgu i skuteczności reform. Ryzyko jest tu znacznie mniejsze, niż w ZSRR, bo w razie czego można zawsze przyjść z "bratnią pomocą". A jeżeli procesy te okażą się efektywne, można je importować.

Zdaję sobie sprawę, że są te rozważania w niektórych miejscach mało konkretne. Wątpię jednak, czy można je w tej chwili bardziej uściślić. Zarówno przyjęcie Gorbaczowa, jak XXVII zjazd, to wydarzenia bardzo niedawne i na pewno za wcześniej jeszcze na ich definitywną ocenę. Jeżeli jednak rozważania te do czegoś prowadzą, to do stwierdzenia: jedyną naszą realną i możliwą w przewidywalnym czasie szansą, jest stawka na daleko idące reformy w Moskwie. Wątpię, czy Gorbaczow jest do tego skłonny i czy ma na to siły. Ale jeśli wyniknie z tego nawet niewielka dla nas ulga - dobre i to.

Obserwator

## Tradycja wobec zmian

Główne postanie Piotra Wierzbickiego jest jasno wyłożone. Chodzi o restrykcję prawicy społecznej, pravicowych postaw, pravicowego ruchu społecznego. Tytuł - "Myśli staroświeckiego Polaka"<sup>x</sup> - jest oczywistą i świadomą trawstacją znanej książeczki programowej Romana Dmowskiego. Staroświeckość oznacza tu zarówno kokieteryjną chęć przeciwstawienia się modzie na nowoczesność, jak i wskazanie, że spótwem zasiedniczym owej prawicy ma być tradycja.

W uwagach poniższych darujemy sobie pamfletową rozprawę Wierzbickiego z polską inteligencją, ze swoiście (pamfletowo właśnie) pojmnianą "formacją lewicową", z radykalizmem Solidarności. Dbańcami tych spraw tylko o tyle, o ile jest to potrzebne do wypełnienia jego głównej myśli postulatywnej.

Ideatem Wierzbickiego jest skrajny typ prawicy społecznej, niekamufowanej hasłami radykalnymi. W tym sensie Dmowski byłby często na lewicy Wierzbickiego. Niemal automatycznie pojęcie lewicy jest u Wierzbickiego niezwykłe szerokie. Składają się na nią, oprócz komunistów, wszystkie radykalne partie polityczne, także ludowców i socjalistów, których przeciwieństwo ma być właśnie wespół z komunistycznym establishmentem. Lewicowa była również Solidarność, a zwłaszcza jej program Samorządnej Rzeczypospolitej, z czego wyłuskiwały się tylko jednostki lub małe grupy. Nie mogło być inaczej, gdyż Solidarność była emancypacją lewicowego narodu. Do "Polacy są w gruncie rzeczy głęboko przywiązani do socjalistycznych ideał państwowo-gospodarczych, do socjalistycznych praktyk w tej dziedzinie. Sami o tym nie wiedząc, są dziećmi tego systemu i wcale im się nie spieszy, żeby od niego na gwałt uciekać. Gdy mówią o jego reformie, o gruntownej reformie, gdy marzą o jego całkowitej przebudowie (tzw. Solidarności), mają na myśli albo nieistotne zabiegi kosmetyczne, albo nadbudowanie nad nim równie absurdalnego prógpusze z samorządnych ułpki. Mamy - ogólnie biorąc - bardzo lewicowy naród. A na jego ciele mamy jeszcze bardziej lewicową inteligencję" (48).

W tych warunkach lewica jest raczej pojęciem, postulatem, niż rzeczywistością. Front "lewicowy" rozumie autor "ogół ludzi i poglądów dających pierwszeństwo raczej tradycji niż zmianom, związanych z dziełem raczej potęgą niż samopokorą, przyznającym walory raczej państwu rządzonemu siłą, raczej niż państwu rządzonemu przez lud, bliższych raczej nacjonalizmowi niż kosmopolityzmowi, związanych raczej z tradycją ka-

<sup>x</sup> Piotr Wierzbicki: "Myśli staroświeckiego Polaka", Wydawnictwo GŁOS, Warszawa 1985, str. 94, cena 250 zł.

tolicką niż tradycją ateistyczną, nastawionych do socjalizmu w wydaniach zarówno realnych, jak idealnych, raczej krytycznie niż życzliwie, upatrujących ideał gospodarki raczej we własności prywatnej niż we własności państwowej, społecznej, ogólnonarodowej, samorządowej itp." (33). Szkoda jednak, że Wierzbicki nie ujawnia, jak rozumie ustrój społeczny, oparty na tej tradycyjno-polsko-autorytarno-nacjonalistyczno-katolicko-prywatnówłasnościowej ideologii, ograniczając się do ogólnego postulatu restytucji gospodarki kapitalistycznej (do czego powrócę poniżej).

Skoro lewica jest w Polsce tak wszechpotężna, skoro mamy bardzo lewicowy naród, to zadanie stworzenia ruchu prawicy społecznej, w dodatku prawicy wyciąskiej, rządzącej tym społeczeństwem, może się wydawać donkichoterią, pracą syzyfową. Syzyfowe, gdyby owa prawica miała dojść do władzy drogą powolnego przekonywania i pozyskiwania zwolenników, wygrać w wolnych wyborach. Takich iluzji jednak Wierzbicki nie żywi. Jeśli dobrać rozumie polityczną koncepcję Wierzbickiego, to jest ona pomysłem na rządy dyktatorskie, powstałe w wyniku umiejętnego wykorzystania nadarzającej się szansy. Chyba tak należy rozumieć jego odwołanie się do myśli politycznej wielkiej trójki: Mochnackiego, jako krytyka powstania listopadowego, oraz Piłsudskiego i Dmowskiego - którym zawdzięczamy "wybuch Niepodległej". W przyszłości, wskutek nieprzewidzianych zdarzeń i konfiguracji, naród polski znaleźć się może w obliczu szansy niepowtarzalnej. Do takiej chwili przygotowawać się trzeba latami - jak to czynili Dmowski i Piłsudski. Wierzbicki nie pochwała istniejących już ugrupowań narodowych, przede wszystkim KPN i dotychczasowej "Niepodległości", przelicytowujących się w radykalizmie, gdy tymczasem potrzeba jest realistyczna, wielka gra polityczna. Kanonem Wierzbickiego jest realizm polityczny. Potrzeba nam wielkich graczy politycznych, którzy zawieraliby sojusze, kluczyli, kłamali jeśli trzeba, byleby posuwać się w pożądanym kierunku. Nie pryncypializm spektakularny, nie rewolucyjne gesty i protesty, lecz umiejętność wygrywania ma być współczesną cnotą polityka.

Myślę, że dla wielu czytelników będzie niemałym zaskoczeniem, iż wzorami do naśladowania są dla Wierzbickiego - Lech Wałęsa i prymas Glemp. Wałęsa - gdyż robił wszystko, by nie przegrac, a jeśli wśród przegranych się znalazł, to z winy tzw. drugiego ognia Solidarności, "stanu drugiego", czyli inteligentkiej elity, dziecięcy i doradców. (34). Ów stan drugi izolował Wałęsę od mas członkowskich instynktownie stojących przy Wałęsie. Prymas Glemp - ponieważ w najtrudniejszej chwili stanu wojennego potrafił zwiększyć prestiż i awary Kościoła.

Szkoda jednak, że z powodów niejasnych (dyskrecja? względy taktyczne?) Wierzbicki czuje się zwolniony od powiedzenia, jakie to konkretne dążenia społeczne Prymasa i Wałęsy uważa za akceptowalne.

A być może tutaj właśnie ist der Hund begraben. Może nie tylko Wałęsa (którego Kisielewski słusznie uważa za "dziecko systemu") czuje się związany... z lewicą, raczej niż z prawicą? Wątpliwe, czy prymas Glemp szukałby wskazówek dla przyszłego ustroju społecznego w tradycyjnej myśli prawicowej. "Laborem exercens" nie jest tylko współczesną stylizacją "Rerum Novarum", lecz znaczącym przełomem w społecznej myśli Kościoła katolickiego.

Oczywiście zawsze można powiedzieć, że i Wałęsa i Prymas a nawet papież także, zezadzeni są lewicowością. Że również oni byli obecni na uwieńczonym przez Wierzbickiego zgromadzeniu w Kurii krakowskiej, gdzie Kisielewski nawracał wiernych na kapitalizm, a reakcja zebranych sprawiła, iż Wierzbicki miał wrażenie, że uczestniczy w zgromadzeniu Socjalistycznej Międzynarodówki. Fakt ten jeszcze raz potwierdza, że Kościół posoborowy dotęki jest od "starowieckiego". Do bezpowrotnej przeszłości należy jego naturalny niegdyś związek z prawicą społeczną. Gdyby Wierzbicki poświęcił Kościołowi choćby tyle uwagi co Solidarności, musiałby zadać pytanie, czy

aby jego program nie rozmija się zasadniczo z dążeniami odnowionego Kościoła.

Obecną pozycję Kościoła w Polsce przypisuje się "prymasowi tysiąclecia", którego prymas Giemba jest kontynuatorem. Ale nawet przy Micewskiego "kułcie jednostki", zaprzeczyc nie sposób, że to komunizm, polska jego odmiana, stworzyła dla Kościoła użyźnioną glebę. Zgoda. Na początku komunizmu przyczynili się do tego "po własnej głupoci" (jak powiedziała jednemu z nich pewna góralka). Teraz jednak obie strony nawzajem się potrzebują. Współdziałają ze sobą w czasach sztucznej koniunktury lat siedemdziesiątych, współdziałają w okresie ekonomicznej degrengolady. A w tym współdziałaniu dwie co najmniej sprawy trzeba wiedzieć. Jedną - to instytucjonalno-materiałno-końskie, jakie stąd płyną, a drugą - daleko ważniejszą - ociera się kolizyjnie o program Wierzbickiego. Zarówno Kościół, jak i władza, te same zagrożenia widzą i czują. Chodzi o uniknięcie niekontrolowanych wstrząsów społecznych, eskalującej destabilizacji państwa, zewnętrznych zagrożeń.

I znów - zgoda, że obie strony na to wymuszone przez okoliczności współdziałanie po cichu zwracają, zwłaszcza gdy słyszą chichot starej heglowskiej "List der Vernunft". Czy to można jednak brać za podstawę i punkt wyjścia prawicowej perspektywy?

I wreszcie sprawie najważniejsza - sprawie prywatno-kapitalistycznej perspektywy prawicowej Polski. Wierzbicki idzie "tropem Stefana Kisielewskiego, który głosi uparcie i konsekwentnie, iż punktem wyjścia wszelkiej dziś pracy programowej musi być uznanie, że model gospodarki kapitalistycznej wyszedł z wszelkich prób zwycięsko..." (88). Chociaż jednak sam Wierzbicki uważa to za problem Polski numer jeden, nic a nic na ten temat nie ma do powiedzenia, gdyż jak pisze: "Pan Wierzbicki nie zna się na gospodarce, nie twierdzi, że się zna, jest facetem z zupełnie innej branży" (89). Przypominając, że dziad jego był dyrektorem Lewiatana, przyznaje, że "Przedwojenni kapitaliści i organizatorzy przemysłu nie żyją. Ich wnukowie nie mają pojęcia o kapitalistycznej gospodarce" (89). Więcej. Wierzbickienie bardzo liczy na obcych kapitalistów i zagraniczny kapitał. Realistycznie brzmią więc jego słowa, iż propozycja "urządzenia przyszłej Polski" na sposób prywatno-kapitalistyczny "natrafia na karkołomne wprost trudności".

Zdaje się, że w tym punkcie zgoda byłaby powszechna. Wyjątkiem byłby może tylko p. Janusz Korwin-Mikke, który powiedziałby: "Wystarczy zdjąć hamulce, pozwolić ludziom działać swobodnie, a mądra catość sama się utoży". Od Wierzbickiego jednak oczekiwałbym zadania sobie pytania, jak się owa "karkołomność" ma do politycznego realizmu. Dopóki nie próbuje on na nie odpowiedzieć, wolno mi uważać jego jego propozycję za zwyczajną mrzonkę.

Zaklinanie się na realizm zobowiązuje Wierzbickiego do odpowiedzi przynajmniej na następujące pytania:

Ile dziesięcioleci potrzeba na powstanie warstwy przedsiębiorców i organizatorów kapitalistycznego przemysłu? Jakie są na to w Polsce widoki, biorąc pod uwagę niezbytubudujący z tego punktu widzenia obraz kapitalistycznej przeszłości kraju i zwłaszcza wszystko, co się zdarzyło od roku 1939?

Jeśli to proces długotrwały, to czy przewiduje on okres współistnienia przemysłu prywatnego i nieprywatnego? Jak władza o jakim zapleczu społecznym nadawałaby się do takiego współistnienia najlepiej?

W jakim otoczeniu geopolitycznym chciałyby realizować swoją antyutopijną propozycję totalnej reprivatyzacji? Czy również Związek Radziecki wtroczyłby na tę drogę? Czy też, że "staroswiecko" odtwarzalibyśmy sytuację międzywojnia? Kiedyż więc, w jakich warunkach i za jaką cenę wschodni sąsiedzi tolerowałyby restytucję kapitalizmu? Gdyby ona się doskonale udawała, lecz odwarzała wielkie konflikty społeczne? Albo też, gdyby przyniosła małą dynamikę wzrostu, lecz wielkie konflikty społeczne i rosnące nierówności?

Zgaduję, że Wierzbicki ma do zaproponowania przyrzeczenie poszanowania układów, granic, stosunków dobrosąsiedzkich. Gdy jednak sytuacja wew-

wnętrzną się gwałtownie zaostrza, każda władza, prawicowa jeszcze bardziej, ma tendencję do nacjonalistycznego rozładowywania konfliktów społecznych. Co na to silniejsi sąsiedzi? Tak, tak, sąsiedzi, nie sąsiad. Bo i kwestię niemiecką w tak zmienionej sytuacji dostrzegać należy.

Jaka jest więc nasza sytuacja, gdy również Niemcy mają swoją "niepowtarzalną szansę"? Oczywiście, jeździć się, odzyskują i powiększają swoją potęgę i zaczynają rozmawiać z Rosjanami jak równy z równym. Czy pozostała nadal dobrodusznia przy obecnej polityce wachodniej, czy też sięgną po tradycję Rapallo? Jakim polem manewru dysponuje wówczas Polska?

Wierzbicki chwali Dmowskiego, ponieważ dobrze przewidział, iż kluczową kwestią polityki polskiej w chwili odzyskiwania niepodległości będzie sprawa granic, do czego się długo i wyrwale przygotowywał. Z niezrozumiałych dla mnie powodów, uważa on, że ten problem nie byłby ważny w okresie wielkich wyborów i szans.

"Tym, czym był dla Dmowskiego problem granic i sojuszy, jest dla nas kwestia gospodarki w przyszłej Polsce. Gdy przyjdzie dzień, w którym Polacy będą mogli zrobić u siebie, co zechcą, nie to trzeba będzie mieć w głowie przemysłowe i rozwiązane, czy ma być senat, i nie to, czy ma być prezydent i nie to, czy ma być Lwów, tylko to, co zrobić z Hutą Lenina, aby wydajność jej była taka jak na świecie... aby znalazł się ktoś, kto chciałby ją przejąć i pokierować nią dalej" (88).

Taki ekonomizm byłby zrozumiały, jako profesjonalne skrzywienie u ekonomisty, a nie u kogoś, kto manifestacyjnie uznaje się za ekonomicznego ignoranta. My sami, Polacy, możemy zadeklarować, że Lwów to nie jest dla nas problem, bo resztki Kwiaków wymierają, a ich dzieci i nuczęta zamieszkuje Szczecin, Wrocław, Opole. Te zaś miasta nie stowiają problemu granic tylko w ściśle określonych konstatacjach międzynarodowych. W perspektywie zaś Wierzbickiego, tradycyjny problem Dmowskiego może okazać się bardziej aktualny, niż jego staroświecki entuzjasta przypuszcza.

W powyższych uwagach pominieliśmy kwestię cywilizacyjnego wyzwania, przed jakim Polska ponownie się znalazła. Czy Wierzbicki sądzi, że wszystko to można odłożyć aż do "godziny zero"?

Ma rację Wierzbicki twierdząc, iż siłą prawicy społecznej, jej *raison d'être*, bywało z reguły obstawianie przy tradycji raczej, niż stawianie na zmiany. Tymczasem największym niebezpieczeństwem, jakie grozi Polsce współczesnej, jest staroświeckość. Czasem względne, a często i absolutne cofanie się. Na zmiany musi stawiać zarówno lewica, jak i prawica. Sam Wierzbicki domaga się zmian "karkołomnych", jak je realistycznie nazywa. W jaki sposób prawica miałaby owe zmiany wprowadzić? Przy jakich kosztach społecznych? Co ma do zaoferowania zarówno własnemu społeczeństwu, jak i sąsiadom? Szkoda, że pamflet Wierzbickiego tych problemów nie stawia, a tym bardziej nie rozważa. Szkoda podwójna. Bo tylko w rywalizacji różnych koncepcji i programów może się odrodzić niezależna myśl polityczna. Bez niej zaś, bez niezależnej i nowoczesnej myśli politycznej, naturalnym podłożem dla prawicy społecznej pozostaną - jak to już w Polsce i gdzie indziej bywało "polityczne neurozy" (tytuł książki Mieroszewskiego). A to może w pewnych warunkach grozić katastrofą.



## inteligent PRZECIWIW inteligentom

"Myśli staroświeckiego Polaka" wywołały silne emocje i liczne głosy oburzenia. Osobiście byłem książką zachwycony, chociaż trudno byłoby mi znaleźć w niej myśl, którą bym jednoznacznie podzielał.

Wstrząśnięty wprowadzeniem stanu wojennego, przybity własnymi, które żywił przed 13 grudnia, Wierzbicki napisał rzecz będącą gwałtowną, brutalną krytyką postaw polskiej inteligencji. Ponieważ osiá książki jest analiza książki Solidarności, autor, obok wyzłościwienia się na głupotę inteligentów działających w Związku, dokonuje oceny działań i zachowań politycznych. Poszukując drogowskazów w przyszłość odwołuje się do historii.

Autor podkreśla swoje prawicowe sympatie polityczne i we wszystkich poruszonych sprawach zajmuje zdecydowane stanowisko. Jak sam pisze, nie cierpi prawd pośrednich.

Chwali sukcesy rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego, publicystykę Adama Michnika, talenty polityczne kard. Józefa Glempa i Lecha Wałęsy. Podobne opinie rzadko można spotkać w jednej książce, w dodatku takiej, która jest głównie poświęcona jawdowej krytyce. Krytyki jest rzeczywiście dużo, chociaż autor unika wymieniania po nazwisku ludzi, do których ma pretensje. Można tam znaleźć krytykę TKK, za wzywanie do manifestacji i strajków pozbawionych szansy powodzenia, intelektualistów, za schronienie się pod skrzydła Kościoła, działaczy samorządowych, za popieranie samorządu i lewicy ze socjalistyczne zdżudzenia. To wszystko na 94 stronach. Wzorowe zwięzłość.

Zwięzłość ma swoje minusy. Znajdzie się tam tyle poglądów powierzchownych, przejawskrawionych i niesłusznych, że każdy niezadowolony znajdzie wystarczające powody do nieczytania tej książki. Szkoda, bo jakże nudne, a nawet szkodliwe, jest czytanie książek słusznych.

W tym tekście ograniczę się do tego, co istotne i nie będą zajmował się Mochnackim i szansami powstania listopadowego. To sprawy drugorzędne.

Inny problem - to styl. Styl autora, namiętny i prorocki, może utrudniać rozumienie ludziom wychowanym na logice Arystotelesa. Czytając książkę Wierzbickiego należy dokonywać zdroworoządkowej interpretacji. Jeżeli czytam, że inteligencja polska była rekordzistką świata w przedstawianiu tchórzostwa jako humanizmu i poświęcenia, to nie zastanawiam się, czy autor to dokładnie zmierzył, lecz rozumiem, że była bardziej bierna politycznie niżby to zadawała Wierzbickiego. Tak interpretując konsekwentnie książkę uniknę wielu jawnych sporów.

Książka jest zabarwiona emocjonalnie. Przedstawiony w niej obraz opozycyjnej lewicy jest dość czarno. Lewica nie ma racji, jej gra polityczna jest zarówno nieczysta jak niemądra, ostatnio przechodzi kryzys, wyraźnie zgłupiała, a poza wszystkim, usiłuje zachować monopol na występowanie w imieniu całego społeczeństwa i ma bardzo złe pochodzenie - zdeprawowany stalinowski rodowód. To zabolało. Tak bardzo, że zapomniano trochę o innych

obrazoburczych poglądach Wierzbickiego.

I Bronisław Wildstein na łamach redagowanego przez siebie "Kontakt" zarzucił prawicy chęć zdobycia tego monopolu, o którym pisał Polak Staro-  
świecki. Z punktu widzenia logiki oba poglądy na temat monopolu są ze sobą zgodne, lecz nie taka była intencja autorów. Takie spory też pominię.

W obronie rodowodu lewicy wystąpił Jan Józef Lipski w "Kulturze Niezależnej". Wyliczył wielu jej przodków o nieposzlakowanej konducie. W niektórych jednak sprawach przeczył faktom.

Wiem, iż nie jest zbyt kulturalnie wytykać innym niewłaściwe pochodzenie, lecz jest ciekawe, że nikogo to nie oburzało gdy o tym samym pisał lewicujący autor S. Żelazny na łamach lewicowego pisma "Krytyka". Czyżby ważniejsze było kto mówi, niż co mówi? Może o takiej reakcji zdecydowała różnica stylu. Gdy Wierzbicki pisze po prostu: "bcażki oprawcy wspierały subtelną jezę filozofa", to w bardzo interesującym artykule S. Żelaznego "Lewica - kryzys tożsamości" ("Krytyka" nr 18) można przeczytać: "To usztrój, którego karząca ręka nie była tak zwiotczała jak obecnie, ustosnowił przywilej dla lewicowego światopoglądu". To samo, lecz trochę inaczej.

Świadomie wyeksponowałem na początku spór o lewicę, bo jest on pewnym znakiem czasu. Ludzie potrzebują porządkujących rzeczywistość formuł. To zrozumiałe, i jest to jednym z głównych powodów posiadzania odniesień lewicowych czy prawicowych. Zespół wartości lub tradycja polityczna stają się miejscem zakorzenienia dzięki któremu uzyskujemy poczucie, złudne najczęściej, rozumienia tego co nas otacza.

Czy uważam te spory za zupełnie jałowe? Niezupełnie. Uważam raczej, że co innego jest ważne. Ze starych ideologii coś nam zostało, towarzyszące im postawy i style myślenia. Te zawsze są to cechy pożądane, lecz są one trwalsze i ważniejsze od konkretnych doktryn. I wokół tych tradycyjnych postaw i stylów myślenia będą się kształtowały nowe poglądy i programy. Czasami będą występowały pod starymi nazwami.

Spory ideowe są utrudnione przez jeszcze jeden czynnik - taktikę polityczną. Chodzi o sformułowane w różny sposób pytanie: czy system jest reformowalny, jakie są granice reform, czy i jakie zmiany Związek Radziecki jest gotowy zaakceptować, i jak te granice tolerowanych reform zmieniają się w zależności od sytuacji? To pytanie, spór o taktikę, bardziej różnicuje opozycję w praktyce niż spory lewicy z prawicą.

Jeżeli pominiemy to wszystko; malarskie problemy kolorowego stylu Wierzbickiego, architektoniczne problemy jego konstrukcji ideowych, sporne odwołania historyczne - to dotrzemy do tego, co jest, moim zdaniem, jądrem tej książki.

Zainteresowania autora skoncentrowane są na przyczynach klęski Solidarności poniesionej 13 grudnia 1981. Według niego, należy klęskę uznać, ogłosić ją i szukać jej przyczyn. Jego analiza klęski, po przełożeniu na język rzeczowy, daje sprowadzić się do takich następujących po sobie stwierdzeń:

- Lech Wałęsa, działający samotnie wiełki talent polityczny, ciężący się poparciem mas, miał szansę poważnie przeprowadzić Solidarność przez trudny okres;

- uniemożliwili to dostawcze, którzy kompletnie zawiadli, swoim całkowitym niezrozumieniem polityki;

- w Solidarności było za dużo demokracji, za dużo hańsliwego radykalizmu, a za mało skutecznej władzy wykonawczej;

- szczególnie winni są inteligenci - dostawcze z przedsierniowej opozycji politycznej - w Związku, bo mieli doświadczenie polityczne oraz byli wzorem postaw i zachowań dla innych;

- najbardziej winni są lewicowi inteligenci wśród ludzi z przedsięwziętej opozycji, bo to oni nadawali ton i gdyby poparli Wałęsę zamiast go zwalczać, sprawy mogły się potoczyć inaczej;

- obecnie, to właśnie ci winni klęsce lewicowi rydikałowie kierują podziemiem, nadal nie rozumiają przyczyn swojej klęski, nadal odrzucają zasady politycznego i krytykują tych, którzy to robią, tzn. Episkopat i Prymasa;

- lewicowi radykałowie trwają w błędach, okopali się na jałowych pozycjach, utracili kontakt z masami, powtarzają symboliczne gesty, narkotyzują się nadziejami.

Wierzbicki chce zdemaskować fałszywą świadomość, która zawiodła w czasie Solidarności i zawodzi nadal. Chce odebrać nadzieję i złudzenia, bo jak pisze: "By ktoś mógł znaleźć wyjście, ktoś inny musi wcześniej powiedzieć: wyjścia nie ma".

W dyskusji chciałbym pominąć sporne szczegóły, takie jak samotność Wałęsy (nie był on taki samotny w Związku, chociaż popierała go tylko mniejszość działaczy), czy przekonanie, że cała lewica była radykalna w swoich działaniach. W książce są fragmenty, które pokazują, że autor tek nie myśli, chociaż jego styl może skłonić nieuwważnego czytelnika do podobnych wniosków.

Cały wywód Wierzbickiego opiera się na dwóch ważnych, a ukrytych założeniach:

1. postępowanie władz państwowych i decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego zależały od postawy i taktyki Solidarności.

2. lewicowi radykałowie w Związku byli bez porównania bardziej niebezpieczni od prawicowych.

Te ukryte założenia przyjęte są bez dyskusji. Wymagają one omówienia, chociaż będzie to pewne dowiekiwanie Wierzbickiego, lecz sprawa jest ważna.

Wielu działaczy Solidarności odrzuca pierwsze założenie. Uważają, że Związek był skazany na taką konfrontację. Musiał przegrać, ale mógł przegrać inaczej, bardziej bohatercko, bardziej winnie. I o ileby pozostała po nich legenda wielkiego oporu. Mówią o klęsce w grudniu 1981 roku, bo opór był za słaby.

Nie podzielam takich poglądów. Znacznie bliższe jest mi przekonanie Wierzbickiego, lecz przy takiej dużej różnicy opinii trudno pisać na ten temat bez bliższego wyjaśnienia.

Mogę zgodzić się z tym, że wprowadzenie stanu wojennego zależało od postawy Związku, jeżeli opatry się odpowiednimi zastrzeżeniami. Przecież postawa Solidarności była w dużym stopniu, na pewno za dużym, określona przez działania władz.

Na jesieni 1981 roku władza państwowa przedstawiła się działaczom Solidarności jako słaba, niezaradna i pozbawiona programu. Pomijając skuteczne stosowanie represji taki obraz jest aktualny do dziś. Dominującą postawą wśród działaczy Solidarności była niewiara zerwana w porozumienie z rządem, jak i w jego obalaniu. Związek znalazł się w impasie ideowym, brakowało koncepcji: co robić dalej? W takich sytuacjach najbardziej widoczni są ludzie pozbawieni wrażeń, najbardziej radykalni. Możliwe, że Związek zdecydowałby się na konfrontację z władzami, lecz nie zrobił tego. Radykalizm działaczy wycofał się wyłącznie w rozmowach. Nie było żadnych przegotowań. Tych przegotowań było za dużo. I były niepotrzebne. Zgoda, lecz założony Wierzbickiego należy sprzymierzyć do właściwych wymiarów.

Dotyczy sprawa podjęta przez Wierzbickiego radykalizmu prawicy jest dla mnie kontrowersyjna. Radykalizm przejawień Kopaczewskiego, Kos-

mowskiego, Rozpłochowskiego i Ruliewskiego był przecież uderzający. Nikt z działaczy lewicowych - nie wymienionych przez autora, lecz jest oczywiste, że chodzi o Gwiżdżę, Kuronia, Modzelewskiego i Bujaka, oraz ich przyjaciół politycznych - nie posuwał się w swych przemówieniach tak daleko. Dopiero w swoich wystąpieniach po wprowadzeniu stanu wojennego Kuroń i Romaszewski wyróżnili się zdecydowanie swoim radykalizmem.

Możnaby starać się zrozumieć myśl autora tylko w ten sposób, że krytykowana przez niego lewica miała większy wpływ na politykę Związku, była zwarta i występowała jako spójna grupa w kierownictwie Solidarności.

Wbrew autorowi, należy w tym miejscu koniecznie podkreślić, że spory lewicy z prawicą miały raczej drugorzędne znaczenie, w porównaniu ze sporami między umiarkowanymi a radykałami, co wyznaczało główną linię podziału w Związku.

Jeżeli popatrzymy teraz na założenia autora i na jego rozumowanie, to stwierdzimy, że głównym przedmiotem krytyki jest postawa inteligencji, pewien etos lewicowo-inteligentki. Wierzbicki jest konsekwentnym krytykiem inteligencji. Parę lat temu w "Traktacie o gnidach" piętnował ją za bierność i ugodowość, teraz za romantyczne gesty i bezkrytyczną egzaltację. Wierzbicki pisze, że zmienił poglądy. Chętnie mu wierzę, lecz obie te krytyki mają wspólne jądro. W obu przypadkach autor zarzuca polskiemu inteligentowi zeldamanie; raz używa on umiejętności umysłowych do usprawiedliwienia swego pieszczenia się przed władzą, innym razem do uzasadnienia swej bezmyślnej tromtadracji, a za każdym razem nie rozumie rzeczywistości w której żyje, chociaż myślenie i rozumienie jest jego pierwszym, niejako zawodowym, obowiązkiem.

W "Myślach staroświeckiego Polaka" Wierzbicki skrytykował postawę, która głównie przyczyniła się do powstania opozycji w Polsce w latach 70-tych którą sam kiedyś popierał bardzo gorąco, która też wpłynęła na szybki rozwój Solidarności po sierpniu 1980. I jak myślę, ta krytyka właśnie wywołuje oburzenie czytelników, chociaż wyraża się ono w pretensjach do konkretnych wypowiedzi autora.

Opis tego etosu, w innym kontekście historyczny, znajduje się w książce Bohdana Cywińskiego - "Rodowody niepokornych" - opisującej postawę radykalnej inteligencji polskiej na przełomie XIX i XX wieku. Jeżeli o jakiejś książce można powiedzieć, że była ideowym wyznaniem wiary powstającej w latach 70-tych opozycji; że zawierała wzorzec postaw i zachowań, które usiłowała upowszechniać opozycja - to dotyczy to "Rodowodów niepokornych". Zgodnie z tą postawą w byciu inteligentem zawiera się, obok krytycznej aktywności intelektualnej, także obowiązek aktywności społecznej, wrażliwość moralna na zło i poczucie obowiązków społecznych; obok uczestniczenia w życiu umysłowym także obowiązek uczestniczenia w życiu społecznym i to w sposób bezkompromisowy moralnie.

Omawiany etos zakładał na pewno twórcze myślenie i aktywność umysłową, lecz nie każde myślenie i nie każde zainteresowanie współistniały z tą postawą równie łatwo. Postawa krytyczna i spoczeknikowska zdecydowanie łatwiej łączyła się z lewicowym zespołem wartości, wrażliwość moralna łatwiej przystawała do lewicowych programów politycznych.

W praktyce działacze przedsierpniowej opozycji częściej kierowali się w swoich działaniach postawą moralną, niż poglądami politycznymi. Polityka łatwo redukowana się do politycznego moralizatorstwa. Myślenie polityczne było niezbyt ważne, a nawet bywało szkodliwe. Nabierało się wtedy wątpliwości, co do sensu tej czy innej inicjatywy, bardziej pożyteczne była szczypta szaleństwa.

Myślenie polityczne, ze którego brak autor pastwił się tak nad inteligentami, nie przydaje się specjalnie słabym, którym bardziej potrzeba odwagi do zaryzykowania.

To symboliczne gesty polityczne, krytykowane przez Wierzbickiego, są

potrzebne słabym, one zwracają uwagę. Głódówki, apele, ulotki i manifestacje, to ich broń, ich krzyk zwracający uwagę, ale także sposób na integrację ruchu, sposób na cząstkowe chociażby, symboliczne zwycięstwa.

To co powiedziałem, w najwięcej stopniu, stosuje się do ludzi skupionych wokół KOR-u. To oni odnieśli przed sierpniem 1980 największą sukcesy także dzięki temu, że ich działania wydawnicze, udzielana przez nich pomoc represjonowanym, pomoc dla organizujących się chłopów, robotników i studentów, wszystkie ich poczynienia nie były wprost polityczne, chociaż miały polityczne konsekwencje. Dzięki temu uczestniczyła w tych działaniach duża grupa ludzi, może nawet zdecydowana większość, nie kierująca się motywami politycznymi. To nie przypadek, że grupa ludzi o najdalej określonych celach politycznych - Konfederacja Polski Niepodległej - stanowiła przed sierpniem 1980 margines opozycji.

Powstała Solidarność. Ludzie z przedsierpniowej opozycji tłumnie włączyli się do niej, traktowali ją zresztą jak swoje dzieło, lecz nie zawsze dojrze się w niej czuli. Zmieniły się warunki. Postawa, która była twórcza przed sierpniem, przestała wystarczać. Ludzie z opozycji zrobili bardzo dużo dla Solidarności, Związek był najsilniejszy tam, gdzie działacze opozycji byli jego pracownikami, a byli czytelnicy prasy niezależnej - jego działaczami.

A jednak, działania opozycji w Solidarności miały swoje zdecydowanie ujemne strony. Też podziwiany inteligentki etos przedsierpniowej opozycji, na którym wzorowali się inni członkowie Związku, wniósł do Solidarności bezkompromisowy maksymalizm moralny, dla którego każde porozumienie z władzami było złe, lekceważenie realizmu politycznego zmniejszało wrażliwość na polską geopolitykę, a skrytyzm społeczny nie dopuszczał do przekonania, że czasami lepiej powstrzymać się od działań. Doświadczenie małej grupy nie uczyło wrażliwości na negatywne konsekwencje polityczne własnych działań.

Tymczasem teraz, w nowych warunkach, dawne cnoty stawały się poważnymi wadami. Teraz potrzebna była giętkość, rozważa i kompromisowość. Nawet gdy nowe potrzebne cnoty chwalono, nic z tego nie wynikało, trudno przecieć z dnia na dzień zmienić swoją postawę.

Moralność łatwo zastępuje myślenie polityczne, gdy działa się w małej grupie, która nie ma bezpośredniej siły politycznej, lecz nie w wielomilionowej organizacji. Te same działania, które w pierwszym przypadku były tylko gestami, symbolicznymi działaniami politycznymi, stają się teraz czymś zupełnie innym. Co innego, gdy kilka osób głoduje w obronie kolegi, co innego, gdy milion członków związku zawodowego strajkuje w obronie kolegi. W pierwszym przypadku zowstydza się rząd, który chce uchodzić za cywilizowany, a nie czuje się zagrożony podjętymi działaniami. W drugim - stwarzają dla rządu poważne zagrożenie, dowodzi się mu, że nie ma poparcia. To drugie działanie wywołuje strach. Strach jest złym doradcą, nie sprzyja racjonalnemu myśleniu. Nie należy nikogo straszyć zbyt często.

Krytyka etosu, który odegrał tak wieloznaczną rolę w dziejach Solidarności, decyduje o znaczeniu książki Wierzbickiego. Można tu dodać tylko tyle, że wbrew autorowi po 13 grudnia sytuacja znowu się zmieniła. Jego krytyka tego etosu, w tym okresie, jest niezbyt sprawiedliwa. Powróciły złe czasy i powrócił pożytek z postawy pozwalającej czynie przeciwstawić się zrym czasom. Znowu uczynny się bezkompromisowości i sztywności. Gdyby sytuacja w naszym kraju zmieniła się jeszcze raz, co w Polsce zdarza się dość często, znowu będziemy do niej nieprzygotowani. Dlatego warto przejąć się poglądami autora "Krytyki...".

Jego krytyka inteligentkiej postawy, moim zdaniem, została zamącona ideologicznymi uprzedzeniami autora, chociaż połączenie tego etosu z lewicowością nie jest przypadkowe. Elity inteligentkie (coś trochę szerszego niż intelektualni i twórcy), o których myśli autor, gdy pisze o inteligentach, w całej Europie mają bliższe związki z lewicą niż z prawicą.

Lewicowa koncepcja polityki jest inna niż prawicowa, bardziej przejęta jest naprawianiem krzywd moralnych i więcej interesuje się wychowaniem ludzi. Taką postawą niekoniecznie musi mieć pożądaną konsekwencję, lecz zawsze bardziej pociąga intelektualistów, ogarniętych poczuciem misji wobec społeczeństwa. Późnym działaniom opozycji lat 70-tych i Solidarności po sierpniu 1980, dotyczyły głównie takich spraw, które są potocznie uważane za związane z lewicowością. Dotyczy to zarówno pomocy represjonowanym, działań wśród robotników, jak i zakładania związków zawodowych.

Jest wiele powodów, które sprzyjały przewadze lewicy, co tak merrwi Wierzbickiego. Mam nadzieję, wraz z autorem, że prawica nadrobi swoje opóźnienie. Nie jest jednak dla mnie jasne, czy myślimy o tej samej prawicy.

Na zakończenie swojej krytyki Wierzbicki przechodzi do części pozytywnej. Przedstawia to, co nazywa prawicą, i co propaguje. Zawiera się w tym połączenie ostrego widzenia rzeczywistości z zmyrnym, beznamiętnym myśleniem politycznym i niechęcią do utopijnego doktrynerstwa. Tradycyjnie nazywany taką postawą konserwatyzmem. Być może u nas rzadko spotykana. Dołączone zostały do niej niektóre wartości reprezentowane przez narodową demokrację, te bardziej demokratyczne. Natomiast zupełnie pominał autor tradycję niepodległościową, do której nawiązywał K.P.N., też uważany przez niego za formację prawicową. Ujawnia się tu pewien schematyzm autora, użyty przez niego podział lewica - prawica jest zbyt ubogi, by opisać podziały polityczne w opozycji polskiej.

Tak określona przez niego prawica za swój główny cel powinna uznać potrzebę powrotu do kapitalizmu, konieczność zrezygnowania z socjalistycznych złudzeń i odrzucenia samorządu traktowanego przez autora jako wyraz wyjątkowej aberracji umysłowej lewicy. Wierzbicki podkreśla ość arystycznie, że musi to być kapitalizm z bezrobociem i "dyrektorem z wielkim batem", co jest obrazem pożytecznej i pożądanej sprawności gospodarki kapitalistycznej. Bat nie jest dosłowny, lecz metaforyczny.

Książkę muszę uznać za najbardziej namiętną obronę beznamiętnego myślenia, z jaką się zetknąłem. Partie zawierające propozycje autora są znacznie słabsze od jego filipik, co niekoniecznie źle świadczy o talencie Wierzbickiego, lecz raczej o słabości prawicowego programu.

Cel prawicy jest jasny - powrót do kapitalizmu, takiego jaki istnieje w zrealizowanej postaci na Zachodzie. Jest tu parę spraw podstawowych, które autor zupełnie pomija. Nie wszystkie państwa kapitalistyczne rozwijają się gospodarczo, co wiąże się z faktem, że kapitalizm, to nie tylko odpowiednie swobody ekonomiczne i właściwa polityka gospodarcza rządu, lecz także grupa społeczna - kapitałści - kierująca się odpowiednio rozumianym racjonalizmem gospodarczym. Autor lekceważy duże różnice ustrojowe między poszczególnymi państwami demokratycznymi trudno bez dyskusji uważać zarówno Stany Zjednoczone, jak Szwecję za obraz tego samego kapitalizmu.

Wreszcie, co dla mnie najważniejsze, nie można dokonać takiej zmiany funkcjonowania gospodarki z dnia na dzień. Nawet najbardziej zafundzisty zwolennik kapitalizmu, będzie musiał reformować tę gospodarzę latami. Długo nie należy lekceważyć pytania: jak ją zreformować trochę, jak uczynić ten pierwszy krok?

W przedstawianiu wizji politycznej bez wskazania jej praktycznych konsekwencji, dostrzegalbym doktrynerstwo i sprzeniewierzenie się głoszonemu przez Wierzbickiego pragmatyzmowi politycznemu.

Gdyby było inaczej, autor nie zlekceważyłby tak łatwo zainteresowanie, jakie ludzi nowych, ludzi nie wyzwolonych jeszcze z socjalistycznych złudzeń, łączy z ludźmi o postawie pragmatycznej, którzy często zgadzają się z Wierzbickim, lecz wolą zastanawiać się nad tym, co tu można zrobić teraz, w tych realiach, lub też, jaki minimalny pakiet reform możliwych do przepro-

wadzenia, w sprzyjających okolicznościach, mógłby istotnie poprawić nasze życie.

Tacy ludzie zajmowali się samorządami pracowniczymi, krytykowanymi przez Wierzbickiego za utopijność, i moim zdaniem niewielu było tam lewicowych doktrynerów, więcej pragmatyków, którzy kierowali się przekonaniem, że:

- samorzady są łatwiejsze do uzgodnienia z władzami niż wolne wybory;
- mimo wszystkich zastrzeżeń trochę poprawią gospodarkę;
- umożliwią ograniczony kontakt opinii publicznej z rzeczywistością gospodarczą i pewne zawężenie nomenklatury;
- wykształcą grupę działaczy kompetentnych w sprawach gospodarczych, którzy zdażą się czegoś nauczyć zanim się zniechęcą;
- w okresie przejściowym, w dużych zakładach pracy, system samorządowy może być zupełnie sprawny.

Uwagi te zakładają uznanie, w dużym stopniu, opinii krytyków samorządu, o jego ograniczonej skuteczności, która oparta jest o niską ocenę zaangażowania załogi, poświęcania na to dodatkowego czasu i pewnej kompetencji. W praktyce zaangażowanie będzie niewystarczające i po pewnym czasie samorząd zamieni się w fikcję. To prawda, tak było zupełnie niedawno z wieloma samorządami studenckimi na uczelniach, które rozpadły się zanim minister zdążył je zlikwidować. Ta argumentacja nie dotyczy jednak okresów przejściowego ożywienia i, w pewnym stopniu, państwa niedemokratycznego, gdzie samorząd może być ograniczonym forum opinii publicznej. Dodatkowe funkcje polityczne mogą zwiększać jego atrakcyjność. Można zatem akceptować samorząd w imię realizmu i pragmatyzmu politycznego, a nie tępego doktrynerstwa.

Wierzbicki zawęził problem do samorządu pracowniczego. Jednak podobna argumentacja dotyczy całego programu "Samorządnej Rzeczypospolitej", który nie był wyrazem utopii politycznej, lecz pozytywnym sformułowaniem idei "samoo graniczającej się rewolucji". Był to zatem wyraz przekonania, że Solidarność, w imię realizmu politycznego, gotowa jest ograniczyć swój zapas reformatorski i nie naruszać pozycji rządu, wojska, przewodniej roli partii, która mimo wszystko, nie została usunięta z aneksu do statutu, oraz sojuszy międzynarodowych, czyli - mówiąc wprost - stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Program reform, uzasadniający nazwę "samorządna" zakładał, że Związek dąży do poszerzenia sfery wolności, do upodmiotowienia społeczeństwa, co wyraża się w poszerzeniu wolności stowarzyszania się, we wpływniu na życie lokalnych wspólnot przez samorzady terytorialne i pracownicze, przez zapewne niezawisłości sądom, oraz przez samorząd zawodowy (np. adwokatów i lekarzy). Miały to być różne formy samorządzenia się społeczeństwa, współistniejące z uznanymi przez Solidarność, wymienionymi wyżej, realiami politycznymi.

Był to oczywiście raczej wyraz rozumu, niż serca delegatów na Zjazd Solidarności i w niewątpliwej sprzeczności z tym uchwalono "Apel do narodów Europy Wschodniej", oraz uchwałę zawierającą wniosek o wolne wybory do Sejmu. Niekonsekwencje się zdarzają.

Wreszcie, jak każdy program wielkiego ruchu, w którym uczestniczy wiele grup, jego sformułowania były nieostre, i w różny sposób rozumiane przez różnych uczestników. Byli i doktrynerzy, lecz doktrynerstwo było w Solidarności najmniejszym z problemów.


"Myśli staroświeckiego Polaka" są kolejnym przykładem odradzania się myśli pravicowej w Polsce. Można nawet mówić o narastającej falie. Jest na to wiele przykładów. Jak dotychczas, pravicowa publicystyka karmi się głównie przypomnianiem pravicowej tradycji i krytyką lewicy. Wiele z tego nie wynika. W małym stopniu w tej publicystyce zawarte są analizy współczesności i pozytywne recepty na przyszłość. Cierni na to też książka Wierzbickiego, w której analiza wydarzeń z roku 1981 jest uproszczona, a nad pozytywnymi propozycjami przeważa emocjonalna krytyka lewicy.

Na zakończenie pozwolę sobie na uwagę marginesowa. W swojej książce, Wierzbicki wielokrotnie krytykuje demokrację w Solidarności. Było jej według niego za dużo, że funkcjonowała wtedy, gdy Związkowi potrzebna była dyktatura i dyscyplina. Byłbym bardzo ostrożny z używaniem takich sformułowań, lecz znając technikę piśmienną autora rozumiem, że chodzi mu o to, iż był bałagan, rozwiązania statutowe były niestety szczęśliwe, i Wierzbicki wolałby silniejszą władzę wykonawczą, demokratycznie wybieranych jednostek działających w ramach ustalonych praw. Jest dość dziwne, że autor w tej krytyce uważa za demokrację tylko taką jej formę, która jest bardzo lewicowa. Są przecież inne wersje demokracji, bardziej konserwatywne. Gdyby jego krytyka demokracji znaczyła coś innego, byłoby to smutne.


Tadeusz Taski



cena: 450 zł

Dotychczas nakładem Oficyny Wydawniczej  ukazały się następujące pozycje:

- |   |                                  |
|---|----------------------------------|
| - IV rozbiór Polski                             | - Syn a może sen                 |
| Grzegorz Przymek                                | - Postępy sowietyzacji           |
| Aleksander Zinowiew                             | - Chleb a socjalizm              |
| Paweł Reszke                                    | - Po wojnie...                   |
| Jerzy Kozakiewicz                               | - Pierwsza nowoczesna orga-      |
| Jacek Wileńczyk                                 | nizacja niepodległościowa        |
|   | /SOS nr 2/                       |
|   | - Afganistan                     |
| Paweł Pożarski                                  | - Pacyfiści kontra pokój         |
| Władimir Bukowski                               | - Opowiadania kołymskie          |
| Warłam Szalamow                                 | - Wolni wobec wyboru             |
| Milton Friedman                                 | - Wolność ekonomiczna wolność    |
| Milton Friedman                                 | polityczna                       |
|   | - Historia polityczna Polski     |
| Krystyna Kersten                                | 1944-1956 /zeszyt I/             |
| Krystyna Kersten                                | - Historia polityczna Polski     |
|   | 1944-1956 /zeszyt II/            |
| Janusz Anderman                                 | - Brak tchu                      |
| Paweł Pożarski                                  | - Bajka "O złym królu Wojcieszku |
|   | i dzielnym rybaku Leszku"        |
| Paweł Pożarski                                  | - Bajka "O Królowie Śnieżce      |
|   | i 10 mln kransoludków"           |
| Bohdan Cywiński                                 | - Doświadczenie Polski           |
| - Wybory - Kto na tym zarabia                   |                                  |
| Józef Lewald                                    | - Armia Krajowa /SOS nr 3/       |
| - Konferencja jałtańska w polskiej perspektywie | /ZEN - Historia/                 |
| Jerzy Holtzer                                   | - Solidarność                    |
| Leonard Schapiro                                | - Totalitaryzm                   |
- oraz
- Specjalne emisje znaczków: - Madonny Polskie
  - Wydawnictwa niezależne
  - 1976-1984
  - Prasa niezależna 1976-1984
  - Prasa niezależna 13 XII 1981-1984

ponadto nakładem Oficyny Wydawniczej  ukazują się:

- prasa zakładowa, -ulotki, -plakaty, -pocztówki itp.